

Sądy chronią
gwałcicieli

Kup pan cegłę – czyli
street art na aukcji

Kto się boi
Jeża Jerzego?

20

42

36



Polko, wrzuć na luz!

Raport „Przekroju”: kobieta 2011

10

**PRZE
KROJ**

NR 10 (3428) / 8 MARCA 2011 / CENA 5 ZŁ
WWW.PRZEKROJ.PL w tym 8% VAT



INDI CS
371 24

ISSN 0033-2488
10



Dbamy o Twoje Oczy.
Okulary przeciwsłoneczne z Twoją korekcją.

Przy zakupie opraw przeciwsłonecznych Rodenstock
otrzymasz w prezencie przeciwsłoneczne soczewki
okularowe zgodne z Twoją receptą*

*adresy wybranych salonów optycznych Partnerów Rodenstock
oraz szczegóły promocji dostępne na www.rodenstock.pl



R
RODENSTOCK
See better. Look perfect.



**PRZE-
KROJ**

Założył w roku 1945
w Krakowie redaktor
Marian Eile

„Przekrój” w sieci:

To było coś w rodzaju mokrego mlaśnięcia. Wiedział, że słyszał je tysiące razy, choć nigdy dotąd nie dotarło tak głęboko do jego świadomości. Ale teraz działało się coś dziwnego – miał wrażenie, jakby szara lepka wata owijająca jego mózg zaczęła się topić, rozpuszczać i spływać, odsłaniając kolejne warstwy rzeczywistości. Poczut, nie, raczej zdał sobie sprawę, że ma nogi, plecy, ramiona, szyję i oczy. I to właśnie w nich skupiła się cała wyrwana z letargu świadomość – podniósł wzrok ku niebu i uświadomił sobie, że ma ono kolor ekranu telewizora nastrojonego na martwy kanał. Zawrót głowy odrzucił go i wtedy jego spojrzenie padło na regularną, sięgającą horyzontu matrycę złożoną z identycznych, pozbawionych włosów, szarawych głów pochylonych nad drgającymi ekranami. Tysiące, miliony rytmicznie kiwających się postaci dotykało wilgotnymi palcami niewielkich, świecących ekranów w czarnych ramkach. Każdy z nich wyświetlał podobny obraz, mieszaninę kolorowych obrazów i liter. Nagle najbliższy sąsiad oderwał miękki palec od ekranu i rozległo się znajome mlaśnięcie. W głowie mężczyzny zaczęła narastać panika, chciał zerwać się z miejsca, ale słabe ciało przytrzymała wiązka wychodzących z kręgosłupa przewodów. W tym momencie błysnął niebieski napis www.przekroj.pl i postać bezwładnie zawisła nad swoim ekranem.



28 tysięcy postaci



twitter.com/przekroj_pl Szok!



przekroj.blip.pl Młask!

Cała prawda:
redakcja@przekroj.pl

W T Y M T Y G O D N I U

NIEPOWSTRZYMANI JAK GRZYBNIA NIE PISZEMY...

...że w końcu rozpoczyna się ogólnopolska kampania, która ma sens. Jest to kampania „Ja, pieczarka”, a na konferencję prasową w jej sprawie zaprosił nas Prezes Stowarzyszenia Branży Grzybów Uprawnych.

...że na konferencji nie byliśmy, ale hasło „Ja, pieczarka” wgrzyzło się nam w mózg jak grzybnia w glebę i nie dość, że wspaniale objaśnia świat, to jeszcze wszędzie teraz widzimy pieczarki i ich tryumfalną kampanię.

...że kiedy na przykład posłanka Beata Kempa

mówi w wywiadzie, że świat ogląda „przez pryzmat własnej osoby”, my ją widzimy na billboardzie z hasłem „Ja, pieczarka”! I ślemy jej pozdrowienie: Blaszką, siostró!

...że kiedy minister Arabski, który w zwykłym kraju musiałby poszukać sobie nowej roboty, uznaje sterowanie dziennikarzem PAP za niezręczność, a pan premier przekonuje, że to jest OK, to wiemy, że obaj panowie zostali właśnie ambasadorami kampanii „Ja, pieczarka”!

...że kiedy Polska płacze, bo Małgorzata

Kożuchowska odchodzi z „M jak miłość”, zapowiadając, iż w jej życiu „czas już na nowe, zawodowe, i nie tylko, wyzwania”, my już wiemy, że zobaczymy ją w superprodukcji HBO „Pieczarka z przodu i z tyłu”.

...że tylko pieczarka na stanowisku szefa Europejskiego Centrum Solidarności dogodzi Lechowi Wałęsie!

...że pora na pieczarkowe parytety w polityce, biznesie i sporcie.

...że znamy już odpowiedź na leninowskie

pytanie „Co robić?”. Odpowiedź brzmi „Być pieczarką!”. I mamy nadzieję, że wkrótce nie tylko przeczytamy o tym w obficie podlewanym miesięczniku „Krytyka Polityczna Pieczarek”, ale i usłyszymy w kontrowersyjnym tokszole „Warto rozmawiać z pieczarką”!

...że kiedy już pieczarkowy kapelusznik nieodwołalnie zapanuje między Odrą a Bugiem, wspomnicie, że to myśmy to wyprorokowali. My, wasze wierne pieczarki!

MARCIN PIECZARKA SENDECKI

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

Ostatki i Wielki Post: Małysz ogłosił ostatki swojej kariery. Czy nasze skoki czeka wielki post?

W TYM TYGODNIU

- 6 Świat według „Przekroju”
Katarzyny Janowskiej
i Orbita „Przekroju” Agnieszki Graff
i Elżbiety Korolczuk
8 Tydzień z „Przekrojem”

PRZED WSZYSTKIM

- 10 Jaka jest Polka Anno Domini 2011?
Raport Anny Szulc i Agaty Jankowskiej
14 Egipt i Tunezja chcą wzorować się
na tureckim modelu demokracji.
Czy im się to uda, zastanawia się
Łukasz Wójcik
16 Atlas picia – czyli jak alkoholizuje się
ludzkość. Trzeźwa analiza
Rafała Kostrzyńskiego
19 Sporu o Monar ciąg dalszy.
Z Przemysławem Boguszem
polemizują Anna Szulc,
Maciej Jarkowiec
20 Gwałciciele w Polsce są bezpieczni.
Dlaczego sądy tak o nich dbają,
pyta Donat Szyller
22 „Dragons’ Den” to program telewizyjny,
w którym ludzie z pomysłem trafiają
na ludzi z pieniędzmi.
Aktualnym i przyszłym milionerom przygląda się
Małgorzata Świąchowicz
25 Krótko

ROZMOWA „PRZEKROJU”

- 26 Robert Mazurek o samotności polityków
rozmawia z Jerzym Fedorowiczem

OD AUTORÓW



Anna Szulc

Kim jest Polka 2011 roku? Siedmiorgą boginią Kali czy chomikiem z zadyszka biegającym w kółku? Razem z Agatą Jankowską śledzimy drogę, którą od lat przemierzają Polki, od zniewolenia do wyzwolenia. W połowie tej trasy Polki czekają trudne wybory. Czy nadal być matką Polką? A może superwoman? Próbuje udowodnić, że ani jedno, ani drugie nam nie popłaca (str. 10).

Rafał Kostrzyński

Rosjanin, gdy ma Eskulap, szuka kolegi, bo we dwóch łatwiej znaleźć trzeciego do picia – bo picie to radość, a radością trzeba się dzielić. Ugandyjczyk tak kocha adżono, że nie odmówi go sobie nawet za cenę głodu. A Japończyk ma przechrzlapane z tym swoim niedoborem ALDH2, bo jak tu pić, gdy pierwszy tyk kładzie. Po znaczeniu słów Eskulap, adżono i ALDH2 odsyłam na s. 16, gdzie poddaję wybiórczej analizie raport WHO o picu.

Jacek Tomczuk

Jeżeli komuś street art w Polsce kojarzy się z nocnym malowaniem po ścianach, ucieczkach przed policją, to ma nieaktualny obraz tej sceny. Co nie znaczy, że są tam wielkie pieniądze i sława Bank-śy’ego. Większość ludzi zajmujących się tą sztuką uzyskuje zezwolenia i fundusze od miasta, a pseudonimy służą tylko kreowaniu wizerunku. Oni sami zaś klepią biedę jak kiedyś. I aukcja w Rempeksie tego nie zmieni (s. 42).

CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 30 Każdy chce wiedzieć, jak oni to robią.
Nie, tym razem nie o seks, ale o siku chodzi.
O trudach dnia codziennego kosmonautów
pisze Urszula Dąbrowska
33 Korzystaj z nowego iPada
34 Dorothy Eady – egiptolożka i kochanka
faraona. Niezwykłą historię brytyjskiej badaczki
opowiada Szymon Zdziełowski

KONIEC Z KULTURĄ

- 36 Jeź Jerzy wkracza do kin. Dla młodzieży lektura
prawie obowiązkowa.
Poleca Karolina Pasternak
40 O powstawaniu filmu „Italiani”
i roli Krzysztofa Warlikowskiego
pisze Małgorzata Sadowska
42 Street art idzie pod młotek. Aukcyjny.
O tym, jak sprzedawać mury,
w tekście Jacka Tomczuka
42 Lektura: Karolina Pasternak
pyta Sławomira Idziaka, jak naprawić kino

OTWÓRZ OCZY

- 48 Neo Rauch malarz milczących obrazów

RECENZJE

- 54 Film: Kałużyńskiego Allen nie kręci
55 Muzyka: Dunaj wsłuchany w Mogwai
56 Książki: Sendecki nie do końca
zahipnotyzowany DeLillo
58 Gry: Stanisławski i Szewczyk strzelają
i przeklinają
59 Pożegnanie Ireny Kwiatkowskiej

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

- 9 Kroniki popkultury
Orbitowskiego
60 Rozmaitości z krzyżówką
i jolką. Obyczajówką
Witkowskiego,
Lewomysłnie
Kurkiewicza, Ładnymi
rzeczami Salwy i kuchnią
Gesslera
64 Dziennik Jerzego
Piłcha
3, 25, 66 Raczkowski



Ilustracja
na okładce:
Tomasz Karelus
studioilustracji.com

PRENUMERATA

PRZYZYWIADNICTWO – należy
dokonać przelewu na konto:
Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,
ul. Nowogrodzka 47 a,
00-695 Warszawa, Alifor Bank SA
80 2490 0005 0000 4600 1542 1792
i wysłać dowód wpłaty faksem:
22 525 99 88 lub e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl.
Cena prenumeraty w 2011 r.: rocznej
– 218,40 zł, półrocznej – 109,20 zł.
Informacji udziela Dział Dystrybucji
tel. 22 525 99 69 Prenumerata przez
Ruch SA – RUCH SA prenumerata
krajowa – 804 200 600, prenumerata
zagraniczna – (+48) 22 532 88 16;
22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

PRZE KROJ

ADRES REDAKCJI:
ul. Nowogrodzka 47 a,
00-695 Warszawa,
tel. 22 525 99 33, faks 22 525 99 88,
www.przekroj.pl
e-mail: redakcja@przekroj.pl
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNA:
Katarzyna Janowska
ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ:
Marek Zajac
DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
Kasper Skirgajło-Krajewski
SEKRETARZ REDAKCJI:
Magda Gędziorowska, Piotr Witek
SEKRETARIAT:
Karolina Lajkowska, tel. 22 525 99 33
PRZED WSZYSTKIM:
wydarzenia@przekroj.pl,
Paweł Wieczorek (szef),
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),
Agnieszka Fiedorowicz,
Maciej Jarkowiec, Rafał Kostrzyński,
Anna Szulc, Donat Szyller,
Małgorzata Świąchowicz,
Joanna Wozniczko-Czczot;
stałe współpracują: Agata Jankowska,
Marcelina Szumer
CYWILIZACJA OD ŚRODKA:
nauka@przekroj.pl, Piotr Stanisławski
(szef), Milena Rachid Chehab,
Olaf Szewczyk; stałe współpracują:
Irena Cieślńska, Urszula Dąbrowska,
Piotr Kossobudzki

KONIEC Z KULTURĄ:
kultura@przekroj.pl, Jacek Wakar (szef),
Marcin Sendecki (zastępca szefa),
Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak,
Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk;
stałe współpracują: Kuba Dąbrowski,
Łukasz Drewniak, Sebastian
Frąckiewicz, Mariusz Herma, Anna
Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sieradzki,
Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski
ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk;
stałe współpracują: Kaliber 45
PRACOWNIA GRAFICZNA:
Władysław Buchner (wicedyr. art.),
Agnieszka Kwiatkowska,
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski
FOTODYSCJA:
foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef),
Marek Szczepański; stałe współpracują:
Anna Bajorek
KOREKTA:
Dorota Dul, Tatiana Hardej
PROJEKT GRAFICZNY:
Kasper Skirgajło-Krajewski
STRONA INTERNETOWA:
Marcin Cichoński
ARCHIWUM: Dominika Bok
OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE
DO DRUKU: Andrzej Tchórzewski

GREMI GRUPA

Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,
ul. Nowogrodzka 47 a,
00-695 Warszawa,
tel. 22 525 99 55, faks 22 525 99 88

WYDAWCA:
Grzegorz Hajdarowicz
PREZES WYDAWNICTWA:
Jan Godłowski
DYREKTOR WYDAWNICTWA:
Sławomir Mokrzycki
DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:
Artur Rumianek
PROMOCJA I MARKETING:
promocja@przekroj.pl,
Agata Stremiecka (szef),
Jakub Maszkowski
BIURO REKLAMY:
reklama@przekroj.pl, Grzegorz
Makowski, p.o. dyrektora biura
reklamy, 695 414 905, Małgorzata
Skorupa 601 432 821, Beata
Drogowska 785 855 883, Agnieszka
Pawelec 601 550 348, Elżbieta Smoleń
501 227 979, Eliza Zyromska
785 855 886
DYREKTOR DYSTRYBUCJI:
Elżbieta Maciążek
DRUK: RR Donnelley

Artykułów niezamówionych nie
zwracamy. Redakcja zastrzega
sobie prawo do zmian i skróć
w nadesłanych artykułach i listach.



ŚWIAT WEDŁUG PRZEKROJU

KATARZYNA JANOWSKA
REDAKTOR NACZELNA

Łapanie pionu

Czy coś łączy „Salę samobójców”, debiut Jana Komasy, który właśnie wchodzi do kin, i amerykański film Lisy Cholodenko „Wszystko w porządku” o parze lesbijek wychowujących wspólnie dwoje dzieci? I jeszcze na dodatek czy ma z tym wszystkim jakiś związek „Mewa” Czechowa wyreżyserowana przez Agnieszkę Glińską w Teatrze Narodowym? Dla mnie te z pozoru bardzo od siebie odległe opowieści układają się w jedną historię. Minęła pierwsza dekada XXI wieku i w sztuce jak w lustrze odbija się labirynt pustki i chaosu, jakim stało się życie.

„Sali samobójców” Komasa opowiada o nastolatku, który wyszydzony przez kolegów na Facebooku wycofuje się z codzienności. Niezauważany przez rodziców wkręconych we własne kariery całkowicie zapada się w internetowy *second life*. Zaczyna grę o najwyższą stawkę: o siebie samego. Szuka kogoś, dla kogo będzie ważny. Kto pomoże mu odkryć, kim jest. I wydaje mu się, że w wirtualnym świecie znajduje. Ale kiedy umiera, krzyczy: „Zadzwońcie do moich rodziców”.

W filmie „Wszystko w porządku” dzieci dwóch lesbijek odnajdują dawcę spermy, czyli swojego biologicznego ojca. Facet okazuje się sympatycznym luzakiem. Zaprzyjaźnia się z dziećmi, romansuje z jedną z matek lesbijek, rozsadzając powoli związek dwóch kobiet. Zaczyna odczuwać pustkę wygodnego i beztrudnego życia, jakie do tej pory prowadził. W wieku 50 lat nie chce być żalonym lowelasem. Tęskni za bliskością i więzią. Ojciec z niczym, bo odnalezienie drogi w tym labiryncie wymaga trudu i wytrwałości. A to dziś towar deficytowy.

W kapitalnej „Mewie” Glińskiej postaci zaprojektowane przez Czechowa przed stu laty brzmią na wskroś współcześnie. Skoncentrowana na sobie, starzejąca się aktorka nawet nie zauważa, że demoluje uczucia i życie syna. Ten, jak Dominik w filmie Komasy, bezskutecznie woła o miłość albo choćby o chwilę uwagi. Finał jest podobny. Niepogodzeni ze sobą bohaterowie uciekają w sztukę. Ale to też ślepa uliczka.

...

Dziś można wszystko, wszystkiego spróbować, dotknąć, przyjąć każdą rolę i maskę, ale co z tego?

Co rusz potykamy się o jakieś dawno zapomniane wartości, które są jak stare rupiecie wielokrotnie zużyte, podeptane, zanegowane. Recykling jest w modzie, ale czy z rupieciarni można stworzyć coś trwałego, coś, czego można się chwycić?

Może najprościej wziąć kartkę papieru i zacząć spisywać to, co się dla nas liczy najbardziej. Łapać swój pion. Bez tego się nie da.

Widać to w sztuce i w życiu. Zaczynam wpisywać: wolność, ale nie od wszystkiego, wolność do...



ORBITA PRZEKROJU

AGNIESZKA GRAFF, ELŻBIETA KOROLCZUK

Statystyczna, niewidzialna, idealna

Pani Stasia to kobieta idealna. Dostosowała się do rynkowej rzeczywistości: jest dyspozycyjna, elastyczna, przedsiębiorcza i wszechstronnie opłacalna. Ma też niezły biceps. Poza tym łatwo ją „wyoutsourcować”. Statystyki mówią, że takich jak ona jest mnóstwo. Nie rzucają się w oczy. Z ich pracy korzysta każdy, ale nikt nie chce za nią uczciwie płacić. Nikt, a już zwłaszcza politycy, na co dzień ich nie zauważa. Tak jest wygodniej. Ma szansę załapać się na parytet. W końcu jest kobietą. A nawet „kobietą przedsiębiorczą”, bo ma jednoosobową firmę. Tylko trochę głupio, że nikt jej nie pytał, czy chce zostać bizneswoman. Zdecydował o tym dyrektor szkoły, w której jest woźną. Dyrektor szpitala, w którym jest salową. Zatrudnia się sama, sprząta te same sale lekcyjne lub operacyjne, opiekuje się tymi samymi pacjentami. Różnica jest taka, że nie wie, czy będzie pracować za miesiąc lub dwa, i ma w perspektywie głodową emeryturę. Do związku zawodowego zapisać się nie może, w końcu jest własnym pracodawcą. Drugi etat ma w domu, gdzie wykonuje 80% prac, tym razem zupełnie za darmo. Jako idealną uczestniczkę globalnego rynku pracy Panią Stasię można „wyoutsourcować”. Znowu będzie pracowała w tym samym miejscu co kiedyś w ramach umowy o pracę, a potem jako „firma”, na przykład przy kasie w hipermarkecie. Teraz zatrudni ją na umowę-zlecenie zewnętrzna firma – powiedzmy, że nazywa się Radosny Kwiatusek. Kwiatusek uwolni dyrektora od kosztów związanych z zatrudnieniem (ten okropny ZUS!). A Pani Stasia powinna wybić sobie z głowy plany rodzinne, bo nie ma prawa do urlopu macierzyńskiego, nie wspominając o wychowawczym. Jeśli dziecko już ma, może je „wyoutsourcować” babci, bo tylko dwa procent dzieci może liczyć na miejsce w żłobku. Jeśli Kwiatusek uzna, że Pani Stasia jest niepotrzebna, to ona dyskretnie zniknie na parę tygodni. Jest elastyczna i dyspozycyjna.

Przy stawce godzinowej rzędu siedmiu–ośmiu złotych Pani Stasia nie czytuje raczej prasy. A szkoda. Dowiedziałyby się, ile kosztował Stadion Narodowy (około 1,5 miliarda złotych), ile pieniędzy z budżetu idzie na fundusz kościelny (w 2010 roku ponad 86 milionów) i na zakup broni (4,9 miliarda). „Właścicielki firm” takie jak pani Stasia sprawiają, że wysuwamy się na czoło europejskich statystyk. Kobiety stanowią w Polsce 35% ogółu przedsiębiorców. Jest super.

Agnieszka Graff, członkini „Krytyki Politycznej”, autorka między innymi „Magmy”
Elżbieta Korolczuk, socjolożka, współorganizatorka tegorocznej Manify.
Pani Stasia – bohaterka z plakatu tegorocznej Manify. Postać fikcyjna, ale reprezentatywna. Można ją zobaczyć tu: www.manifa.org.



SPRING
SUMMER
2011

vistula.pl

VISTULA
the men's world



Kulturalnie polecamy



Spośród zastępów smooth jazzowych wokalistek **FREDRIKA STAHL WYRÓŻNIA SIĘ NIE TYLKO URODĄ**. Jej głos będziecie mogli docenić na koncercie w warszawskiej Fabryce Trzciny

WTOREK 8 MARCA

Romans z traktorem

W socrealizmie miała go przeżyć niejedna Polka. Wystawa „Matki, żony i... traktorystki” to galeria przodownic pracy, artystek, sportsmenek, kobiet w domu, pracujących na roli, stojących w kolejkach, walczących o pokój. Ciekawostką przełamującą stereotyp „męskich” kobiet w socrealizmie będą „proletariuszki na cokółach” (wielkoformatowe wydruki rzeźb lub detali architektonicznych przybliżą dzieła, które często już nie istnieją). Wśród 120 prac nie zabraknie dzieł Fangora i Kobzdeja, a także mniej oczywistych w tym kontekście artystów.

Stalowa Wola, do 15 maja, Muzeum Regionalne

Serwetki seksu pełne

Zobaczcie (między innymi) w „Łaźni damskiej”. To kolejny w tym tygodniu projekt poświęcony kobietom. „Stół mojej babci” Justyny Kukło jest specyficznym hołdem złożonym matce swojej matki. Na wystawie „Targi sztuki kobiet” będziecie mogli nabyć dzieła między innymi Anny Orbachewskiej, Kasi Swinarskiej oraz Doroty Nieznalskiej. A już we wtorek koncert tunezyjsko-niemieckiej artystki Frau Kraushaar, która zaskoczy was... awangardowymi organami.

Gdańsk, do 30 marca, CSW Łaźnia, więcej na www.laznia.pl

Jazz zglobalizowany

Z pochodzenia Szwedka, z wyboru Francuzka, a gdy idzie o muzykę – obywatelka świata. Fredrika Stahl uprawia ten gatunek nieśmiało jazzującej piosenki, który cieszy wielu, a przeszkadzać nie może. Po wydaniu trzeciej płyty jej kariera zaczyna nabierać tempa. Aha, śpiewa po angielsku.

Warszawa, Fabryka Trzciny, godzina 21

ŚRODA 9 MARCA

„Kill Bill” po męsku

Black Label Society grają mieszankę wirtuozerskiego rocka ze szczeniackim heavy metalem, ale traktują ją z przyzwyczajeniem oka. Z nowym albumem „Order of the Black” dadzą dopiero drugi w 12-letniej karierze koncert w naszym kraju. Na zachętę proponujemy obejrzeć w sieci teledysk do utworu „Overlord”, w którym lider grupy Zakk Wylde wciela się w główną bohaterkę „Kill Billa”.

Warszawa, Stodoła, godzina 20

Co robią księżniczki w łóżku?

Dowiecie się podczas wystawy „Kobiece komórki” łączącej kobiecość i... technologie (projekty zostały zrealizowane aparatem komórkowym Nokii). W programie ekspozycji

znalazły się: dokument intymny Anny Musiatówny zrealizowany w sypialniach („Łóżko”), mozaika fotograficzna Jolanty Rycerskiej oraz humorystyczne rebusy Basi Sokołowskiej. Coś nie tylko dla księżniczek i królów!

Warszawa, do 1 kwietnia, Stara Galeria ZPAF

CZWARTEK 10 MARCA

O dzieciach nie dla dzieci

Album Zofii Rydet „Mały człowiek” z 1965 roku zawierający kanoniczny już dzisiaj cykl fotografii dzieci zainspirowany został myślą Korczaka: „W świecie dziecięcym dzieje się to wszystko, co dzieje się w brudnym świecie dorosłych”. W roku setnej rocznicy urodzin mistrzyni polskiej fotografii możecie zobaczyć projekt „Mały człowiek/Oczekiwanie”. Wybór prac dokonany przez młodą fotografkę Julię Staniszewską został skonstrastowany z jej zdjęciami wykonanymi w klinice leczenia bezpłodności. Wystawa to część projektu fundacji Archeologia Fotografii.

Warszawa, do 22 kwietnia, Galeria Asymetria

PIĄTEK 11 MARCA

Próbowanie parkietu

W zespole mają syntezator, śpiewającą dziewczynę i nawiązują do lat 80., więc wypłyneli na tej fali co Little Boots czy La Roux. Chew Lips woleliby się z nikim nikomu nie kojarzyć, bo – jak sami mówią – mają „uniwersalny priorytet – piosenkę”. Mają też nowy materiał, który będą testować na dwóch polskich parkietach.

Warszawa, 11 marca, 1500 m², godzina 21
Poznań, 12 marca, SQ, godzina 22

Pocisk z Bronksu

Grupa Grandmaster Flash & the Furious Five to pierwszy hiphopowy skład przyjęty do Rock and Roll Hall of Fame. Zobaczymy samego Grandmastera zwanego ojcem hip-hopu, w którym lider grupy Zakk Wylde wciela się w główną bohaterkę „Kill Billa”.

Warszawa, Butiklub, godzina 20

SOBOTA 12 MARCA

„Woyzeck” i Waits

Wydarzeniem tej edycji łódzkiego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych będzie grany 12 i 13 marca „Woyzeck” Georga Büchnera w reżyserii Jorinde Dröse według wskazówek Roberta Wilsona. Zrealizowany przez Deutsches Theater spektakl przypomina jedno z najoryginalniejszych arcydzieł niemieckiego romantyzmu, łączące z genialnymi songami Toma Waitasa.

Łódź, do 6 kwietnia, Teatr Powszechny, więcej na www.powszechny.pl

Co ma Zorro do Azorka?

Odpowiedz na to pytanie poznacie (lub nie) podczas wystawy „Ostatnia wystawa – Supergrupa Azorro”. To kolejna retrospektywna „Ostatnia wystawa” (po toruńskiej „Idealnej wystawie”) polskiego Monty Pythona. Od 10 lat kręcą filmy, drwią ze świata sztuki, konsekwentnie głoszą jej koniec, celebrują absurd. Prezentowany na ekspozycji „Ostatni film” ujawnia kulisy ich pracy. A teraz coś z zupełnie innej beczki: gorąco polecamy!

Wrocław, do 10 kwietnia, Galeria Awangarda

NIEDZIELA 13 MARCA

Festiwal laboratorium

Tak najkrócej można opisać charakter Temps d'Images, festiwalu sztuk wizualnych i performance'ów stworzonego w 2002 roku z inicjatywy Europejskiego Kanału Kulturalnego ARTE. Szybko stał się on platformą wymiany dla artystów tworzących instalacje, projekcje, performance, spektakle. Na początek „Dzicy” – projekt stworzony na marginesie pracy nad spektaklem Nowego Teatru „Życie seksualne dzikich” w reżyserii Krzysztofa Garbaczewskiego. Zapraszamy. Z dziką przyjemnością!

Warszawa, od 11 marca do 11 kwietnia, CSW Zamek Ujazdowski, więcej na www.csw.art.pl

PONIEDZIAŁEK 14 MARCA

Sztuka związku

Lisa Cholodenko stała się znana szerokiej publiczności za sprawą nominowanego do kilku Oscarów obrazu „Wszystko w porządku”. Nie jest to pierwszy jej film opowiadający o nietypowych relacjach i ludziach, którzy układają sobie życie poza schematami. Mówi o tym także nakręcony przed 13 laty film „High Art”. Podczas pokazu poznacie historię Syd, która nad konwencjonalny związek z chłopakiem przedkłada porywającą relację z ekscentryczną, autodestrukcyjną fotograficzką. Myślicie, że będzie w porządku?

Warszawa, Nowy Wspaniały Świat, godzina 19



Na kanapie

Niemiec Alexander traci w wypadku samochodowym rodziców i pamięć. Tę ostatnią stara mu się przywrócić dziadek z Bułgarii. Mężczyźni nie widzieli się dwie dekady. Choć kino bułgarskie jest w Polsce bardziej egzotyczne niż tajskie, ma znajomy smak. Trochę tu Kusturicy,

trochę czeskiego ciepła i sporo nostalgii za czasami komunizmu, która u nas pojawia się raczej we wzornictwie, a nie w filmie. Poszukując rozrywki, sięgamy za ocean, a zabawa czai się za rogiem.



„Świat jest wielki, a zbawienie czai się za rogiem”, reż. Stephan Komandarev, Bułgaria 2008, Solopan, 34,90 zł

Myśl jak król

Czyli laufer ponad crackiem



LUKASZ
ORBITOWSKI

Cały mój problem z postrzeganiem kultury popularnej polega na radostnej gotowości ulegania stereotypom. Naprawdę chciałem wierzyć, że młodzieżka Britney Spears ceniła ponad życie swój pierścionek cnoty, a wszystkim rockandrollowcom, którzy nie umarli przed trzydziestką, zarzucam porzucenie ideałów z młodości. Analogicznie amerykański raper jawi mi się jako osoba unurzana w zielsku, z „klamką” w łapie, odziana wyłącznie w wypełnione silikonem kochanki. Taki obrazek mam za nowoczesną mutację raję, gdzie w miejscu Eufratu jest basen, węża zastrzelono, zaś Bóg dzwoni po dziwki. Ogrom mojego błędu pojąłem, odkrywając istnienie Hiphopowej Ligi Szachowej.

Założyciel, Adisa Banjoko, utrzymuje, że miłość do szachów jest wśród hiphopowców tyleż powszechna, co wstydlwa. W tym ostatnim nie ma racji, gdyż fascynację królewską grą zdradzał już Wu-Tang Clan: „Szachy są jak walka na miecze/pomyśl, nim się ruszysz”, rapowano pięknie, gładko przechodząc do kokainy przemycanej z Boliwii. GZA z tego legendarnego już składu wypuścił nawet płytę „Grandmasters” (2005), na której szachy posłużyły za metaforę niełatwego przecięcia życia gwiazdora muzyki popularnej. W przedsięwzięciu wziął udział DJ Muggs, panowie zamknęli się w studiu, nagrywali, by zaraz strącać sobie piony, laufy i matować jeden drugiego. Tytuły nawiązują do zasad gry, w wideoklipie do „General Principles” prócz brudnych plenerów znajdziemy wielką szachownicę unoszącą się w chmurach, na której chłopaki dają breakdance jak ta lala.

Są i inni. Na okładce magazynu „XXL” groźny Dr. Dre rozpoczyna partię czarnymi – napis informuje, że przezwycięzył kłopoty i wraca. „Myśl jak król” – rzeczce Jay-Z i zaraz musi się opędnąć od propozycji stoczenia szachowego pojedynku.

Zgodnie z intencjami Banjoko Hip-Hop Chess Federation jest inicjatywą powstałą z myślą o nieletnich zagubionych gdzieś między perspektywą biedy a światem czynów karalnych. Zamysł wydaje się szeroko zakrojony, ponieważ prócz muzyki i szachów obejmuje sztuki walki ze wskazaniem na jujitsu, co przełożone przez siebie nawzajem ma w sposób twórczy uwalniać agresję. Szczególne te cele równoważy wrażenie surrealizmu: na relacji z turnieju widzimy rzędy facetów zgiętych nad szachownicą nie tylko za sprawą kilogramów złota na szyi, lecz także wskutek wysiłku umysłowego. Całość okraszają tuste bity, zawodnicy wskazują królowkę jako figurę najbardziej kręcącą, nagrodą jest pas wzorowany na bokserkim, a po imprezie oprowadza nas pani składająca się w głównej mierze z biustu.

Podśmiewam się, lecz z niekłamany podziwem, nie tylko dlatego, że skakanie laufrem ma nieco więcej zalet niż handel crackiem. Jeśli ktoś ocalił siebie w ten sposób, już jest dobrze – szachowe myślenie, polegające na planowaniu działań parę kroków naprzód, pozwoli uniknąć paki, gdzie większość młodych-biednych ładuje za niefrasobliwość i uwikłanie w bieżące kłopoty. Oficjalny blog Federacji prócz relacji z zawodów i szachowych myśli gwiazd hip-hopu wypełniają trailery z filmów kung-fu, ulubione kawałki twórców, wyzwanie na pojedynek szachowy samego Obamy i masa drobiazgu składająca się na szczegółową mapę nieznanego mi świata. Szachy przywleczone na to terytorium ocaliły swą nobliwość, doskonale wkomponowując się w nową otoczkę. Towarzyszą im podskoki cheerleaderek, walka na rymy i konkursy na szachowe graffiti trzaskane już z poszanowaniem prawa, tylko tam, gdzie wolno. Wierzyć w ten nowy spokój? Spoglądam na zdjęcia gwiazd hip-hopu, czytam ich biografie i myślę, że dałbym im wygrać. ●

Uwolnić Polkę

Między parytetem i pieluchą a tańcem w kręgu, między Manią a „M jak miłość” – miota się Polka 2011. Czas wrzucić na luz i zdjąć maskę superwoman

ANNA SZULC, AGATA JANKOWSKA

Polka nie lubi swojej twarzy. Dokładniej rzecz biorąc, trzy na cztery kobiety chciałyby tę twarz zmienić, poprawić. Tak przynajmniej wynika z badania przeprowadzonego przez TNS OBOP w styczniu bieżącego roku. Z figury też Polka nie jest zadowolona. Nic dziwnego. Eksperci biją na alarm: już ponad połowa Polek cierpi na nadwagę lub otyłość.

Socjologowie nie odpowiadają jednak na pytanie, jaką w takim razie Polka chciałaby mieć twarz i figurę – Dody czy Justyny Kowalczyk? I co jeszcze chciałaby zmienić w swoim życiu?

A ostatnio udaje się jej zmieniać wiele: Polka przegoniła mężczyzn w poziomie wykształcenia, udało się jej przekonać polityków, że potrzebuje dłuższego urlopu macierzyńskiego i przynajmniej częściowych parytetów. Że nie musi być – co postulowali politycy z poprzedniej ekipy rządzącej – automatem do wychowywania dzieci. Udowodniła, że jest silna, że dokonuje wyborów. Problem w tym, że nie zawsze są to wybory słuszne.

Bo choć Polka dzielnie walczy z narzucanymi jej od wieków schematami, na własne życzenie wtłacza się w nowe.

Chomik w kółku

– Jesteśmy jak bogini Kali z siedmioma rękami: stworzone do wszystkiego – wyjaśnia Syl-

wia Chutnik z Fundacji MaMa działającej na rzecz praw kobiet z dziećmi. Ze współczesnych raportów wynika bowiem, że nadal prawie 90 procent prac domowych Polki wykonują samodzielnie. Tylko 1 procent mężczyzn wie, że w domu pranie, a toalet nie czyści prawie żaden.

Polkę, trzeba przyznać, zaczyna to denerwować. „Czego najbardziej nienawidzę? Mycia zasikanej przez trzech facetów glazury obok WC” – pożałowała się jakiś czas temu Fundacji MaMa pewna polska matka. Ale kobiety wciąż te toalety myją. A potem jeszcze znajdują czas na tańce w kręgu ku czci prakobiety.

W pewnym sensie sama jest sobie winna. Bo do tradycyjnie przypisanych ról – żony, matki, strażniczki domowego ogniska – pozwoliła dodać sobie nowe. I teraz stara się być – zgodnie z poradami głoszonymi w pismach dla pań – małżonką i zarazem seksowną kochanką, towarzyską aktywistką i przebojowym pracownikiem.

Kiedy Polka nakłada swoją pierwszą maskę? Może już wówczas, gdy stawia pierwsze kroki? Gdy otoczeniu najbardziej podoba się jej buzia złożona w ciup. – W szkole, zgodnie z tym, co przekazują nam podręczniki, Polka uczy się, że będzie sprzątaczką i kucharką – dopowiada profesor Magdalena Środa, etyczka. Po przeanalizowaniu współczesnych

elementarzy, między innymi autorstwa Marii Bober-Pelzowskiej i Marii Lorek, socjolog doktor Adam Buczkowski stawia nawet tezę, że nowe podręczniki (w których dziewczynka gotuje, mama nie chce pójść do kina, bo musi coś zacerować, mały chłopiec wygrywa wyścigi i uczy się matematyki, a tata to rodzic niedzielny) utrwalają wielowiekowe stereotypy.

Dorośla Polka przyjmuje maskę miłej ślicznotki. Po to, by złapać dobrą pracę i męża. Po to, by odnieść sukces. Tylko jaki? Tak, jaki stał się udziałem Joli Rutowicz czy może Krystyny Jandy, o której rzadko piszą w Pułku, ale na której spektakle zawsze brakuje biletów?

– Problem Polki polega na tym, że chce wszystkim dogodzić. Chce sprostać wymaganiom szefa, pracowników, męża, rodziny, dziecka, koleżanek i swoich własnych. W ten sposób nakręcamy koło i biegamy w nim coraz szybciej, jak chomik – mówi Sylwia Chutnik.

Taki damski chomik rzadko opuszcza swoje kółko.

Matka na drzewie

Cecylia Malik, malarka i performerka z Krakowa, wyskoczyła z kółka po rutynowym odprowadzaniu dzieci ze szkoły do domu. Już w południe – bo dzieci chodzą do szkoły muzycznej, w której lekcje kończą się wcześniej



Fot. Cecylia Malik „365 drzew”

„*Jako kobieta, matka, artystka i Polka mam prawo nie być idealna*

CECYLIA MALIK

– nie zapewnia się im ani świetlicy, ani posiłków. Jak zwykle miała jeszcze zrobić zakupy, potem ugotować obiad.

– I poczułam, że jestem na skraju, że dalej tak nie mogę, nie chcę być tylko dobrą matką i żoną, chcę tworzyć coś dla siebie – wyjaśnia artystka. – Potem spojrzałam na drzewa. Olśniło mnie. Przecież mogę być jednocześnie matką na spacerze z dziećmi i robić swoje.

Cecylia Malik weszła więc na drzewo. Potem kolejne. W sumie wdrapała się na 365 drzew w lateksowych spodniach albo seledynowych rajstopach (w końcu jest kobietą, a kolorowe rajstopy dobrze wyglądają wśród zielonych liści). Oczywiście na początku ludzie pukali się w głowę. Jeden pan, gdy zobaczył Cecylię na drzewie, chciał nawet wzywać policję. Syn Cecylii Antek parę razy najadł się

za mamę wstydu. Ale robił jej zdjęcia. Podobnie jak tata Cecylii i jej znajomi. Album z fotografiami projektu „365 drzew” ukazał się właśnie w sprzedaży. – Dla mnie to był sposób na przełamanie wizerunku zdruzgotanej życiem matki Polki, ale też generalna próba wytrwałości. I udowodnienie sobie, że jako kobieta, matka, artystka, jako Polka wreszcie, mam prawo do odrobiny wolności – wyjaśnia performerka. – Do tego również, by nie być idealna. By mieć prawo usłyszeć na drzewie od innej kobiety: „Boże, jaka ona jest głupia!”. Oczywiście Polka Polce nierówna. Nie każda chce chodzić po drzewach.

Wykluczone prawnie i mentalnie

Profesor Henryk Domański, socjolog z Polskiej Akademii Nauk, bada nierówności społeczne między kobietami i mężczyznami

(i niestety wciąż ma wiele do badania). Z jego analiz wynika na przykład, że nadal – tak jak kilka lat temu – samotna matka na urlopie wychowawczym, a także kobieta, której zmarł mąż (a wcześniej zrezygnowała z pracy, by zajmować się domem), żyją w Polsce na granicy nędzy. Przy czym te pierwsze – z racji wieku, a więc i potencjalnie traconych szans – coraz głośniej zaczynają się upominać o poprawę swojej sytuacji. Jak doktor Małgorzata Tkacz-Janik, kulturoznawczyni i współtwórczyni Kongresu Kobiet Polskich w 2009 roku, prywatnie matka samotnie wychowująca syna. Zdaniem Tkacz-Janik los polskiej kobiety się zmieni, jeśli Polki będą mieć szansę na większy udział w męskich dotąd bojach, w polityce. Taka szansa teoretycznie właśnie się pojawiła: prezydent Bronisław Komorowski podpisał ustawę parytetową. Co oznacza →

→ na przykład, że w nowym parlamencie liczba kobiet z 20 procent zwiększy się do 35. A za parytetami w polityce w ubiegłym roku opowiedziała się większość Polek.

– Bardziej wierzę w zmiany mentalne niż prawne – profesor Domański jest sceptyczny. Poniekąd słusznie, bo przepisy to nie wszystko. W ubiegłym roku przyjęto w Polsce ustawę



FOT. Michał Kobyła/NewsPix.pl

„Problem Polki polega na tym, że chce wszystkim dogodzić. Chce sprostać wymaganiom szefa, pracowników, męża, rodziny, dziecka, koleżanek i swoim własnym

SYLWIA CHUTNIK

antyprzemocową, która uderzać ma w sprawców przemocy. I jak na razie niewiele z niej wynikało. Polki wciąż są przez partnerów bite, z policyjnych statystyk wynika, że maltretowanych kobiet w Polsce jest około 90 tysięcy. O czym zresztą niedawno pisaliśmy („Przekrój” 4/2011).

– Podstawowe znaczenie dla Polki ma potężna broń, którą jest dostęp do godnej pracy. Jeśli będzie ją mieć, będzie też miała większe możliwości dokonywania wyborów życiowych – uważa Henryk Domański.

Właśnie dlatego tegoroczną marcową Manifę kobiety z Porozumienia 8 marca zorganizowały pod hasłem „Dość wyzysku! Wymawiamy służbę!”.

O jaką służbę chodzi? O śmieciową.

Wyzdane z presji

– Śmieciowa służba to pozbawiona szans na rozwój, żałośnie opłacana praca. Taka,

którą najczęściej kojarzymy z kasą w hipermarkecie lub różnymi pracami bez umowy, czyli bez praw – wyjaśnia doktor Małgorzata Tkacz-Janik.

Do takiej pracy trafiają kobiety bez wykształcenia, ale bywa, że i panie z tytułem magistra. Bo trzeba wiedzieć, że w Polsce mamy prawie dwa miliony studentów, a w tym – ponad milion studiujących kobiet. 60 procent słuchaczy studiów podyplomowych to kobiety. Do tego 600 tysięcy więcej Polek niż Polaków zna więcej niż jeden język obcy.

– I z tego również niewiele wynika – martwi się profesor Domański. – Polki wybierają najczęściej zawody humanistyczne, zbyt popularne na rynku i słabo opłacane. Zbyt często rezygnują z pracy po urodzeniu dziecka. Po prostu się poddają.

No właśnie. Bo nawet jeśli mamy pracę, to i tak zarabiamy średnio o 30 procent mniej niż mężczyźni. Najgorzej ma Polka w Lubuskim, tam – co wynika z najnowszych badań – męczyzna zarabia 55 procent więcej niż kobieta.

Trudno w takiej sytuacji czuć się swobodnie. Może to jeszcze jeden powód zakładania kolejnych masek? Kopiowania cudzych wzorców? Przyznaje to bez ogródek polska projektantka Ewa Minge. Jej zdaniem dzisiejsze polskie kobiety hołdują unifikacji. – Szablon wydaje się nam dużo bardziej bezpieczny – uważa Minge.

Zuzanna Ziomecka, redaktor naczelna pisma „Gaga” oraz wydawca „Aktivista” i „Ekstusiva”, potwierdza: Polki chętnie wtapiają się w szary tłum. – Niby każda jest ładnie, gustownie, schludnie ubrana, jednak rzadko odważa się wyróżnić kolorystycznie lub odważniejszym krojem. Mamy problem z wystąpieniem przed szereg – uważa Ziomecka.

Polka statystyczna

165 centymetrów wzrostu

67,6 kilograma wagi

40 lat

Pracuje najczęściej w usługach, handlu, służbie zdrowia lub oświacie

94 procent Polek ma co najmniej średnie wykształcenie

Co trzecia firma w Polsce należy do kobiety

Polka ma codziennie o **49 minut** mniej czasu wolnego dla siebie niż Polak

79 procent Polek korzysta z telefonów komórkowych

73 procent ma osobiste konto w banku



FOT. Marcin Chmura/NewsPix.pl

„Polki chętnie wtapiają się w szary tłum. Mamy problem z wystąpieniem przed szereg

ZUZANNA ZIOMECKA

ka. Dodaje, że jej zdaniem podejście Polek do mody jest przejawem znacznie poważniejszej ich przypadłości. Tego, że na twarz wkładają często maskę niewidkę. Że są niewidoczne w wielu dziedzinach życia.

– Brakuje nam męskiej asertywności i siły przebicia. My, Polki, walkowerem oddajemy swoje sukcesy, na przykład ten zawodowy, całej masie osób, którym rzekomo ten sukces zawdzięczamy. Zamiast przyznać samej

przed sobą: po prostu jestem świetna w tym, co robię.

A zamiast przyznać, Polka goni wiele króliczków jednocześnie.

Znajdź własną przestrzeń

– Poza nielicznymi męskimi wyjątkami to kobiety w Polsce są uczestniczkami wszelakich kursów, od tai chi poczynając po warsztaty lepienia garnków – przyznaje Sylwia Chutnik.

Czy to źle? Jak zwykle zależy od motywacji. Jeśli śniadanie dla rodziny, praca, gotowanie obiadu, potem kurs, potem kolacja dla rodziny, wieczorny wyskok z mężem do znajomych i jeszcze kilka drobniaków po drodze – jeśli to wszystko sprawia, że następnego dnia Polka budzi się zmęczona i przerażona perspektywą kolejnego dnia, to warto się zastanowić, czy taka bieżączka ma sens? Bo jeśli biegamy tylko po to, by dogonić obraz kobiety z kolorowych pism, seriali lub ten tworzony przez samotne, rozrywkowe koleżanki – spasjonujemy. Kobiety na Zachodzie już kilka lat temu postanowiły wyrzucić maskę superwoman na śmietnik i dają sobie prawo do wypełniania tych społecznych ról, które naprawdę im odpowiadają. Choćby była to wyłącznie rola strażniczki domowego ogniska.

Ale jeśli bieganie jest rolą, z której jesteś zadowolona i możesz sobie na nią pozwolić (bo mąż zajmie się obiadem i dziećmi) – oczywiście wypełniaj ją. Musisz po prostu ocenić, co jest maską, a co jest tobą.

Brzmi prosto, ale tylko do momentu, w którym pojawi się strach – to on zakłada nam kolejne maski. Na przykład zdaniem pisarki Krystyny Kofty to, że współczesne polskie kobiety dają się wpuszczać w nowe kanały, wynika przede wszystkim ze strachu przed niezależnością.

– Silny jest w kobietach lęk przed porzuceniem przez partnera. „Bluszcz się” się wkoło mężczyzn, wierząc, że to jedyna recepta na życie – mówi pisarka. Dodaje, że Polki mogłyby zrobić więcej dla siebie, gdyby nie rozmiękały się na drobne. Gdyby na przykład nie chciały już zmieniać swoich twarzy. Ani figury. A takie Polki też są.

– Jestem, jaka jestem, czuję się z tym nie najgorzej – mówi nam Anna Dymna, kiedyś jedna z najpiękniejszych polskich aktorek, którą łąpiemy w locie, gdy z założonej przez siebie fundacji Mimo Wszystko biegnie do Starego Teatru w Krakowie na „Trylogię” Jana Klaty, w której gra od wielu miesięcy. – Zamiast liposukcji i złudnej pogoni za błyskotliwym celem proponuję Polkom odnalezienie w sobie takiej przestrzeni, która da im siłę do życia. To nie

musi być lepienie garnków czy szydełkowanie. To może być otwarcie się na ludzi. Choćby na rozmowę z sąsiadką, którą właśnie zostawił mąż.

Na pewnym etapie może to być również macierzyństwo. Zważywszy na to, że właśnie Polki na równi z Turczynkami dzierżą w Europie palmę pierwszeństwa (98 procent) wśród kobiet, dla których rodzina jest najważniejsza.

Kolorowe staruszki

– Macierzyństwo nie musi oznaczać mesjanizmu – uważa performerka Cecylia Malik. Nie musi być też kolejną maską, która daje chwilowy spokój i nietykalność. Piosenkarki Anita Lipnicka i Agnieszka Chylińska pokazały w ostatnich latach Polkom, że to możli-



FOT. Krzysztof Pacula/Forum

„Silny jest w kobietach lęk przed porzuceniem przez partnera. „Bluszcz się” się wkoło mężczyzn, wierząc, że to jedyna recepta na życie

KRYSZYNA KOFTA

we. Bez ogródek przyznały, że ciąża, rodzenie i wychowywanie dziecka nie ma nic wspólnego z lukrowaną wizją serwowaną nam w kolorowych magazynach.

Tymczasem dla Zuzanny Ziomeckiej macierzyństwo to świadomość, że kończy się życie młodzieżowe, kiedy robimy wszystko dla siebie i dookoła swoich potrzeb. Kolejny powrót do beztróski – uważa Ziomecka – powinien nastąpić w życiu Polki, gdy... trafi na emeryturę.

– Ja planuję podróże, tatuaze, będę jeździć motorem! – zapewnia ze śmiechem Ziomecka. No tak... Tyle że nad większością Polek wciąż ciąży statystyki wieszczące los ubogiej jak mysz kościelna emerytki, której nie

będzie stać nie tylko na podróże na motorze. Może dlatego kiedy Polka przestaje być ślicznotką, kiedy już wyjdzie za mąż i zostanie matką, a potem babką, jej najpopularniejszą barwą ochronną jest zupełna dezercja. Wtedy to, bez codziennej, rodzinnej biegaczki, za to uraczona niską emeryturą z ZUS Polka staje się zmęczoną życiem, zaniedbaną kobietą – choć są to lata, które w większym stopniu mogłyby poświęcić głównie... sobie. Przykładem są sędziwe Polki, którym udało się wyjść poza schemat. „Starość nie musi być stara” – przekonują.

– W młodości nigdy nie miałam czasu dla siebie. Byłam pedantką, przykładną panią domu od sprzątania, prasowania i obsługi palników kuchenki. I to był błąd – ostrzega dzisiejsze młode Polki 62-lletnia Halina Kowalska (uczestniczy w projekcie „My, kobiety Muranowa” opierającego się na współpracy młodych feministek z organizacji UFA z kobietami po sześćdziesiątce). Jej zdaniem jeśli odrzucimy balasty, którymi obarczyła nas tradycja i polityka, okaże się, że dla Polki w każdym wieku tak naprawdę nie ma większych barier.

Dodaje również, że w momencie, kiedy ludzie w Polsce przestaną się dziwić matce w seledynowych rajstopach na drzewie albo kolorowej staruszce na rowerze, dopiero wtedy w naszym kraju nastąpi prawdziwy społeczny rozjem.

Tradycja bez przykładu

Profesor Magdalena Środa uważa, że najlepiej dla Polki byłoby, gdyby sama dla siebie była wzorem. By nie chciała mieć już żadnej obcej twarzy, ale pozostała przy swojej.

– Wystarczy, że wrócimy do swoich najlepszych tradycji – uważa profesor Środa. – Mamy we krwi niezależność, musiałyśmy kiedyś tworzyć po swojemu rzeczywistość, bo mężczyźni nie było w domach – umierali

na wojnach, ginęli w powstaniach. Nie musiałyśmy zatem brać z nikogo przykładu, by poczuć się silne i wolne.

Polki tymczasem wciąż się miotają. Próbuja odnaleźć drogę do siebie gdzieś między ustawą parytetową i żłobkową, między jedną z najostrejszych ustaw aborcyjnych w Europie a stosunkiem przerywanym (stosowanym wciąż częściej niż antykoncepcja), między Manifą a kolejnym „M jak miłość”. Między przewijaniem pieluch a przewijaniem w głowie zwojów myślowych. Między pomidorową z ryżem a salsą.

Czas coś odpuścić. Ale co? Decyzja należy do każdej z nas.

Jak przeszczepić demokrację

Wyzwoleni od dyktatorów Tunezyjczycy i Egipcjanie chcą teraz kopiować u siebie turecki model państwa, bo ten jako jedyny pogodził islam z demokracją. Pacjent może jednak nie przeżyć tej kuracji

ŁUKASZ WÓJCIK

Jest takie powiedzenie w Turcji: „Demokracja to bardzo mocne i niebezpieczne lekarstwo. Musi być dawowane stopniowo, bo zbyt duża porcja może zabić pacjenta”. Tunezyjczycy i Egipcjanie właśnie rozbili aptekę i – jak się wydaje – nie będą ostatni. Pesymiści wstrzymali więc oddech i czekają tylko, aż radykalni islamiści w demokratyczny sposób dorwą się do władzy, a pacjent umrze z przedawkowania.

Jak na razie oba zainteresowane kraje twierdzą, że z ich strony pacjentowi nic nie grozi, a one same będą się wzorować na tureckim modelu. Jakby się zmówili. O tureckim modelu rozwodzą się liderzy Bractwa Muzułmańskiego, największej islamskiej organizacji w Egipcie. Mówią o nim członkowie tunezyjskiej partii islamskiej Al-Nahda. Nad wyższością modelu tureckiego rozwodzą się też islamiści w Maroku, Algierii i Jordanii, czyli w krajach, do których rewolucyjna fala jeszcze nie dotarła. Według stambulskiego instytutu TESEV 85 procent Arabów chce u siebie w kraju modelu tureckiego. W końcu do niego zachęcają wszystkich wyżej wymienionych publicyści światowych mediów, którym marzy się triumf zachodniej demokracji na Bliskim Wschodzie.

Ale czym jest model turecki? Czy aby wszyscy zainteresowani wiedzą, o czym mówią? I czy da się model turecki przeszczepić do krajów takich jak Egipt i Tunezja?

Oleksy i AKP

Turcja jest dziś, obok Malezji, jedynym na świecie krajem, gdzie na wskroś muzułmańskie społeczeństwo sprawnie funkcjonuje w ramach liberalnej demokracji. Nad Bosforem systematycznie odbywają się wybory, w których startują partie ze wszystkich zakątków sceny politycznej. Działają sądy, niezależne media, związki zawodowe.

Wszystko działa sprawnie, mimo że od 2002 roku krajem rządzi odwołująca się



W Tunezji zaczęła się demokracja. Pierwszą nowo zarejestrowaną partią jest islamistyczna Al-Nahda

do islamu Partia Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP). Określanie tych ludzi mianem islamistów można by jednak porównać z nazywaniem Józefa Oleksego i Leszka Millera komunistami – może i kiedyś nimi byli, ale dziś są pragmatykami, dla których ideologia jest tylko przynętą na wyborców. – Wielu członków AKP jeszcze niedawno mówiło, że całe prawo pochodzi od Boga – tłumaczy profesor Çınar Özen, politolog z Uniwersytetu Ankarskiego. – Dziś, przynajmniej oficjalnie, akceptują zasady demokracji i wolności obywatelskiej.

Po zamachach z 11 września 2001 roku Turcja okazała się dla Zachodu iskrą nadziei – dowodem, że możliwe jest pogodzenie islamu i demokracji. A jeśli w Turcji się udało, to dlaczego ma się nie udać w innych muzuł-

mańskich państwach? Bo przecież, jak powiedział Barack Obama podczas słynnego przemówienia na Uniwersytecie Kairskim w 2010 roku: „Demokracja jest najlepszym lekarstwem na zarazę fundamentalizmu islamskiego”. Problem w tym, że turecki pacjent w trakcie kuracji przeszedł kilka zawałów, a leczenie trwa od dobrych 60 lat. Czy Tunezyjczycy i Egipcjanie są wystarczająco cierpliwi? Republika turecka przez pierwsze lata istnienia była państwem rządzone w sposób dyktatorski. Jej twórca Mustafa Kemal Atatürk zafundował społeczeństwu terapię szokową – nakazał zmianę alfabetu z arabskiego na łaciński, zakazał noszenia muzułmańskich nakryć głowy. Ale przede wszystkim wyrzucił islam ze sfery publicznej – żadnych śpiewają-

cych muezinów, szkół koranicznych, koniec z wolnym piątkiem. Religia, tak jak na Zachodzie, miała się stać sprawą prywatną.

Taka arcyświecka Turcja przetrwała jednak zaledwie kilkanaście lat po śmierci swego twórcy. Już w 1950 roku pierwsze wolne wybory wygrała partia odwołująca się do islamu. Armia, której Atatürk powierzył strzeżenie swoich dokonań, przez 10 lat przyglądała się, jak islam krok po kroku wracał do życia publicznego. Aż w końcu wojskowi nie wytrzymali – w imię ratowania spuścizny Atatürka przeprowadzili zamach stanu, mordując ówczesnego premiera Adnana Menderesa.

Podobne „zawały” Turcy przechodzili jeszcze trzykrotnie. Były to różne warianty tej samej historii. W pewnym momencie generałowie dochodzili do wniosku, że obywatelom od demokracji poprzewracało się w głowach, robili zamach, zmieniali konstytucję lub jej część, szef junty zostawał prezydentem, a wojsko wracało do koszar. Z grubsza taka sama historia powtórzyła się jeszcze w 1971, 1980 i 1997 roku – przy pełnym poparciu Zachodu, który w czasie zimnej wojny poparłby samego diabła, żeby tylko zablokować wpływ Związku Radzieckiego.

Samoograniczenie

– Nawet mała dwa razy nie włożyła łapy w ogień – podsumowuje reakcje islamistów na zamachy wojskowe Nihal Bengisu Karaca, komentatorka tureckiego dziennika „Haber-türk”. Na tym właśnie polega model turecki. Islamiści zaangażowali się w politykę, adaptując się do realiów narzuconych przez armię. – Dokonali samoograniczenia – twierdzi Karaca. – Po tym jak generałowie kilka razy dali im łupnia, zrezygnowali z radykalnych postulatów. Do tego, co wolno im w tureckiej polityce teraz, dochodzili jednak przez dziesięciolecia, stopniowo poszerzając sobie pole manewru.

Islamiści w Tunezji nie ma kto dać łupnia. Armia jest słaba, a dobrze zorganizowana partia islamska Al-Nahda z silnym liderem Raszidem Ghannuszim nie ma konkurencji wśród innych ugrupowań politycznych. Z kolei w Egipcie to armia dzierży dziś władzę, ale robi to od 1952 roku i nic z tego nie wynika. Jak pisze znany ekspert od Bliskiego Wschodu Fawaz Gerges: „System polityczny w Egipcie zamarł przed 60 laty”. Próba jego gwałtownego odmrożenia, czyli wolnych wyborów w ciągu kilku następnych miesięcy, może zakończyć się wielkim smrodem. W pobliskiej Algierii armia przerabiła to w 1991 roku. Wojskowi zezwolili na wolne wybory. Pierwszą turę wygrali islamiści. Druga już się nie odby-

ła, bo wynik pierwszej nie spodobał się generałom. Zaraz potem wybuchła wojna domowa, która pochłonęła 200 tysięcy ofiar.

W żadnym z tych krajów nie widać też lidera na miarę ojca chrzestnego tureckiego islamizmu Necmettina Erbakana, który potrafił wepchnąć religię w tryby demokratycznego państwa. Z powodu jego pogrzebu 1 marca tego roku w Stambule stawiała się niemal cała rządząca elita, a premier Turcji Recep Tayyip Erdoğan przerwał podróż po Europie. To Erbakan jeszcze w latach 70. jako pierwszy tu-

Tureckiemu islamowi łatwiej jest funkcjonować w demokracji, bo pod wieloma względami bliżej mu do polskiego katolicyzmu niż do saudyjskiego islamu

recki polityk wyszedł do ludzi. Jako pierwszy, w iście amerykański sposób, chodził od domu do domu, przekonując do głosowania na niego. Stworzył pierwszą w Turcji partię masową, do której zapisało się tysiące konserwatywnych Turków. To w końcu Erbakan jako pierwszy zaczął używać wcześniej zakazanego w kręgach islamistów, a niezbędnego w demokracji słowa „kompromis”. Właśnie taki kompromis z jedną z centrowych partii dał mu w 1996 roku stanowisko premiera.

Ale model turecki może być nieosiągalny dla Egiptu i Tunezji z jeszcze jednego powodu. Wszystkim zainteresowanym chodzi o pogodzenie islamu z demokracją. Ale którego islamu? Islam w Turcji i islam w Afryce Północnej to niemal dwie różne religie. Pod wieloma względami tureckiej wersji tej religii bliżej do polskiego katolicyzmu niż na przykład do saudyjskiego islamu.

Gdy w X wieku islam przywędrował do Anatolii, bujnie rozwijały się tam już religie szamańskie i chrześcijaństwo. Nowa, ekspansywna religia zaczęła wchłaniać stare wierzenia razem z ich bagażem tradycji. Powstał w ten sposób melanz, którego ważnym elementem do dziś jest sufizm – mistyczna wersja islamu naszpikowana rytuałami i duchowością rodem z wczesnego chrześcijaństwa. Jeśli dołożyć do tego tradycyjną tolerancję tureckiego islamu, który przez wieki musiał funkcjonować na pograniczu cywilizacji, tworzy się obraz religii, która nie tylko respektowała podział na to, co boskie, i to, co cesarskie, ale

również stroniła od radykalizmu, szanując odmienną sąsiadów innowierców.

Turecki katolicyzm

Ma więc turecki islam wszystkie te cechy, które sprawiły, że chrześcijaństwo tak łatwo pogodziło się z demokracją. Nawet powierzchowność. Według badań znanej tureckiej politolożki Binnaz Toprak 86 procent Turków wierzy w Boga, 84 procent co piątek chodzi do meczetu. Ale już tylko 46 procent modli się codziennie. W dodatku Turcja, mimo wysokiej zadeklarowanej religijności swoich obywateli, jest krajem przeżartym przez korupcję, alkoholizm i nepotyzm. Wszystko to według Koranu grzechy ciężkie.

Z kolei islam w wersji północnoafrykańskiej zawsze był prosty i surowy. Pod rządami świeckich despotów takich jak Hosni Mubarak czy Zin Al-Abidin Ben Ali prześladowany, zepchnięty na margines szybko się radykalizował, a sąsiadując z pustynią, nigdy nie musiał być tolerancyjny wobec innych wyznań. Z tego też względu ominęły go intelektualne trendy z Zachodu, które przez wieki wpływały na kształt sąsiadującego z Europą tureckiego islamu.

Tak zwany model turecki kształtował się w wielkich konwulsjach przez sześć dekad. Realne korzyści, które z niego wynikają, obywatele Turcji odczuli dopiero po 2002 roku, kiedy to Partia Sprawiedliwości i Rozwoju zrzeszająca byłych islamistów zaaplikowała współobywatelom pakiet reform zwiększających ich wolności obywatelskie i prawa polityczne, a jednocześnie ograniczających wpływ armii.

– W normalnych warunkach generałowie już by zainterweniowali. Ale się boją, bo AKP to dziś wielka partia masowa – mówi profesor Özen. – Byli islamiści doszli do wniosku, że demokracja wymaga kompromisów i umiarkowania, dzięki czemu przyciągnęli do siebie miliony Turków, którzy – tak jak wielu Europejczyków – są wierzący, ale niepraktykujący.

Czy na podobne umiarkowanie stać tunezyjskich islamistów? Czy egipska armia pozwoli Bractwu Muzułmańskiemu na stopniowe przejmowanie władzy, wiedząc, że na końcu tej drogi jest pozbawienie wojskowych wszelkich wpływów politycznych? Polityka to nie matematyka. Kopiowanie modelowych terapii rzadko się tu sprawdza, bo każdy pacjent to oryginał. Co jednego wzmocni, innego może zabić. Niech więc Tunezyjczycy i Egipcjanie próbują po swojemu. Bo najgorsze, co ich może spotkać, to model demokracji na licencji zagranicznej. ●

Świat na bani



Ugandyjskie adżono jest serwowane na ciepło – do opróżnianej kadzi dolewa się wrzątku

W swoim najnowszym raporcie WHO pisze, że ludzkość wypija rocznie prawie 40 milionów metrów sześciennych czystego alkoholu. My piszemy, jak wypija i z jakim skutkiem

RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

Z prawie 250-stronicowego raportu Światowej Organizacji Zdrowia można wyciągnąć kilka interesujących wniosków. Oto one.

Pierwszy: globalnie rzecz biorąc, największym wzięciem wśród amatorów napojów wysokowych cieszą się piwo i wódka. Wino króluje tylko w krajach śródziemnomorskich i gdzieś tam w Ameryce Południowej.

Drugi: zdecydowanie najbardziej rozpitym kontynentem jest Europa (ponad 12 litrów czystego alkoholu rocznie na każdego obywatela w wieku powyżej 15 lat). Europejczycy piją o wiele więcej niż mieszkańcy obu Ameryk (8,67 litra), Azji i Afryki (nieco ponad 6 litrów).

Trzeci: Polacy znowu piją więcej. Z wynikiem 13,3 litra na obywatela (dwa razy więcej niż przeciętny mieszkaniec Ziemi; norma jak

na Europejczyka) dobijają do niechlubnego poziomu, który osiągnęli za Gierka. Zmieniają się tylko proporcje, wódka została wyparta przez piwo. Winem – jak zawsze – Polak generalnie gardzi.

Czwarty: w ciągu roku picie zabija dwa i pół miliona ludzi – więcej niż AIDS czy gruźlica. Alkohol jest przyczyną czterech procent wszystkich zgonów na świecie.

Piąty: picie częściej zabija mężczyzn niż kobiety.

Szósty: statystyczny konsument alkoholu jest coraz młodszy. Nie oznacza to bynajmniej, że picie hamuje procesy starzenia. Przyczyna jest znacznie bardziej banalna: po prostu młodzież coraz częściej zagląda do kieliszka.

Siódmy: picie piciu nierówne. Przykłady? Rosjanie spożywają mniej więcej tyle samego czystego alkoholu co Francuzi, ale to Rosjan dziesiątkują zgony spowodowane pićciem. Ugandyjczycy są biedni, ale piją więcej

nigdy nie było ograniczane. Wręcz przeciwnie – władze starały się zachęcać swoich podwładnych do jak największej konsumpcji. Już około 1550 roku pierwszy car Rosji Iwan Groźny nakazał budowanie karczm, które oferowały pędzony przez siebie bimber. W ten sposób rozpoczęła się symbioza ludu i władzy. Lud miał napitek, a władza pieniądze, bo wpływy ze sprzedaży alkoholu trafiały do państwowej kasy. Z czasem doszło do tego, że stanowiły one jedną trzecią całego budżetu. Na ten układ targnęli się dopiero bolszewicy w 1917 roku, ale dali sobie spokój,

obostrzeń. Nakazał podnieść cenę wódki o 25 procent i ograniczyć jej produkcję. Obywatele wpadli w panikę. Zaniepokojona prasa doniosła, że w kolejce przed jednym z moskiewskich sklepów monopolowych ustawilo się 3 tysiące osób. Gdy trzy lata później władza podsumowała efekt kampanii abstynencyjnej, dwie rzeczy stały się jasne: spożycie nie spadło, spadły za to wpływy – i to aż o 20 milionów rubli. Ograniczenia zostały usunięte, podobnie zresztą jak autorzy pomysłu, dwaj prominentni członkowie politbiura – Jegor Ligaczow i Michaił Sołomienecw.

W 1992 roku (a więc już w czasach poradzieckich, krajem rządził wtedy stroniący od abstynencji Borys Jelcyn) statystycy przeprowadzili badanie alkoholizmu Rosjan. Próba, która objęła 12 tysięcy osób, przyniosła następujące rezultaty: 80 procent mężczyzn i 60 procent kobiet pije dziennie przynajmniej „setkę” czystego spirytusu. Autorzy raportu ostrzegli jednak, że nawet tak przerażające wyniki mogą być zaniżone, bo w ankiecie wzięły udział tylko osoby przytomne – co oznacza, że grupa badanych być może wcale nie była reprezentatywna.

Co piją nasi wschodni sąsiedzi? W legalnym obrocie królują wódka (63 procent konsumpcji) i piwo. W nielegalnym – pędzony powszechnie samogon, Eskulap (dostępny w aptekach spirytus medyczny, dwa razy tańszy od wódki) i woda „Różana” (40-procentowe eau de cologne). Najwięksi twardziele rozcieńczają spirytus przemysłowy płynem hamulcowym – jak w 2000 roku grupa syberyjskich drwali. – Chciało nam się pić, najbliższa wieś była oddalona o kilkadziesiąt kilometrów – mówił potem rosyjskiej prasie jedyny drwal, który przeżył ten raut. Jego 10 kolegom się to nie udało.

Dziś Rosja przechodzi kolejną bolesną próbę odwyku. Władze podniosły cenę wódki z sześciu do ośmiu złotych za pół litra i ograniczyły nocny handel alkoholem. Najbardziej rewolucyjną zmianą jest jednak zakwalifikowanie piwa do kategorii napojów wysokowych (do tej pory było artykułem z kategorii żywności, a więc żadne ograniczenia go nie obejmowały). Tylko patrzeć, jak kasa znów znacznie świecić pustkami.

Dwudziestopak z ginem

W poprzednich alkoholowych rankingach przeprowadzanych między innymi przez WHO regulaminie przodowała Uganda →



Z powodu słabej głowy Japończycy gustują w piwie, kupowanym najczęściej w automatach

niż bogaci Brytyjczycy. Azjaci z południowo-wschodniej części kontynentu zaglądają do kieliszka równie chętnie jak Europejczycy, ale upijają z niego znacznie mniej.

Dzielenie radości na trzech

Nigdy nie piją w samotności – tak o Rosjanach (15,7 litra spirytusu rocznie na osobę według WHO) mówi mi Per Dalgaard, znajomy duński dziennikarz, który od lat mieszka w Rosji. – Nawet duety to rzadkość. Kto ma flaszkę, ten szuka kompana, bo we dwóch łatwiej znaleźć trzeciego do picia. Trio to minimum przyzwyczajenia. Picie to radość, a radością przecież trzeba się dzielić – wyjaśnia.

Rosjanie dzielą się tą radością od niepamiętnych czasów. Picie w tym kraju prawie

gdy zorientowali się, że tracą cenne źródło finansowania państwa, bo lud przerzucił się na nielegalną produkcję. Władza radziecka szybko cofnęła więc wszystkie ograniczenia i sytuacja wróciła do normy – a nawet ją przekroczyła. W 1930 roku w Moskwie liczba zgonów z przepicia wzrosła 15-krotnie w porównaniu z czasami sprzed rewolucji.

Dalgaard mówi: – Ostre picie jest częścią rosyjskiej mentalności i kultury. Trudno zmienić mentalność. A kulturę jeszcze trudniej.

W 1985 roku błąd bolszewików powielił Michaił Gorbaczow. Ostatni przywódca Związku Radzieckiego – zaraz po tym, jak na spowodowaną ogromnym piciem marskość wątroby zmarł jego poprzednik Konstantin Czernienko – wprowadził szereg drakońskich

→ (kiedyś 20 litrów na osobę, teraz 15,2). W najnowszym nieoczekiwanie straciła prowadzenie na rzecz Mołdawii (18,2 litra). To by znaczyło, że w przeciągu zaledwie jednego roku Ugandyjczycy ograniczyli picie o 25 procent. – Z moich obserwacji wynika, że to niemożliwe – mówi mi Barbara Among, dziennikarka ugandyjskiej gazety „New Vision”, autorka tekstu o alkoholizmie swoich rodaków. – Bary są pełne, produkcja alkoholu idzie pełną parą, nawet picie adżono znów stało się popularne.

Adżono to lokalne piwo z prosa. Sześć procent alkoholu, dużo witamin, żelaza i wapnia. Sączy się je zbiorowo z jednej kadzi, za pomocą epi, czyli specjalnej długiej słomki. Kiedyś wszystkich pijących obowiązywała jedna prosta zasada: po trzech minutach epi wędruje do sąsiada. Nie wszyscy się do niej stosowali, a poza tym okazało się, że picie przez jedną słomkę sprzyja rozprzestrzenianiu się gruźlicy. Adżono zaczęło wychodzić z mody. Dziś przeżywa renesans, bo właściciele barów zaczęli lansować hasło: „Każdy ma prawo do własnej słomki”.

Radością picia Ugandyjczycy dzielą się ze sobą jeszcze chętniej niż Rosjanie. Piją gromadnie, przeważnie wieczorem, dowolnie długo, bo knajpy są czynne do ostatniego klienta, czyli w zasadzie 24 godziny na dobę. Piją do woli, bo adżono jest tanie. – Moim zdaniem to tu się pije najwięcej na świecie – podsumowuje Among, ale nie słyhać w tym dumy.

Adżono to zaledwie kropla w morzu alkoholowej inwencji mieszkańców kraju nad Jezio-rem Wiktorii. Rosjanie i pewnie każda inna nacja mogłoby się sporo od nich nauczyć. Inne piwa, w których Ugandyjczycy topią swoje radości, to omuramba (z sorgo), tonto (z zielonych bananów), kweete (ze słodkiej kukurydzy) czy kidongo (piwo robione z fusów po kweete zaprawionych brązowym cukrem z wodą i odstawionym na noc, by sfermentowało). Amatorzy „normalnego” piwa mają do dyspozycji jasne Specjalne Nilowe.

Oprócz piw są mocniejsze trunki. Najbardziej powszechny to waragi – dosłownie „dżin wojenny” destylowany z bananów, prosa czy trzciny cukrowej, często pędzony na takich świątwniach jak metyl, formaldehyd czy elektrolit. To właśnie taki dżin był w zeszłym roku przyczyną śmierci 80 uczestników przyjęcia weselnego. Konkurentami waragi są jeszcze dżiny kasese (z bananów) i lira lira (z manio-

Co 10. człowiek nie może dużo pić z powodów genetycznych. Jego wątroba nie trawi spożytego alkoholu. Znakomita większość tej grupy to mieszkańcy Azji Południowo-Wschodniej

ku). Uzupełnieniem oferty jest tania whisky Bond 7 sprzedawana w saszetkach o pojemności 60 mililitrów. Pudełko z 20 takimi saszetkami kosztuje 15 złotych. W Polsce taki zestaw nazywałby się pewnie dwudziestopakiem. W Ugandzie nazywa się *tot pack* (kroplopak).

Uganda to biedny kraj (1200 dolarów PKB na mieszkańca), ale amatorzy picia dzielnie godzą się na rozmaite wyrzeczenia. W 2007 roku mieszkańcy wsi (87 procent populacji to wieśniacy) wydawali na alkohol i papierosy połowę swoich dochodów. I nie ograniczali się nawet po podwyżkach cen. Barbara Among przytacza przykład niejakiego Flugence’a Manirho, który zarabia na życie, wożąc pasażerów swoim boda boda – czyli zwykłym rowerem robiącym za taksówkę. Będzie musiał zaoszczędzić na mleku i mięsie, żeby móc spędzać wieczory z przyjaciółmi.

Prawie abstynenci

I Rosja, i Uganda są krajami wyjątkowymi. Pierwszy ze względu na apokaliptyczną wręcz



Mały poradnik alkoholowy

Szkoła rosyjska, czyli jak wypić dużo i nie stracić kontaktu z rzeczywistością

Wyjście bez większego szwanku z suto zakrapianej imprezy jest osiągalne dla każdego (bez względu na narodowość), kto zastosuje się do poniższej, stosowanej od wieków, trzystopniowej strategii:

PRZED

Zanim odbijemy łokciem pierwszą butelkę, dobrze jest spożyć dwa gotowane ziemniaki, ewentualnie wypić dwa surowe jajka i łyżkę oliwy z oliwek.

W TRAKCIE

Nie pić wina, piwa, napojów gazowanych. Jeszcze bardziej karygodne jest mieszanie alkoholi. Tylko wódka i tylko wychylana jednym haustem. Sączenie – surowo zakazane.

Każdą kolejkę należy natychmiast zakąsić.

Nie zakąsać byle czym. Tylko tłustym (jak smalec z czosnkiem), kwaśnym (jak cytryna) lub słonym (jak ogórki kiszane).

Podczas picia rozmawiać, bo nic tak nie zwala z nóg jak milczenie.

PO

Porannemu kacowi najlepiej zapobiega zimne piwo albo sok z ogórków kiszonych. Picie klina z wczorajszej wódki odradza nawet Rosjanie, twierdząc, że to metoda dla zawodowych alkoholików. Normalnemu człowiekowi tylko zaszkodzi.

Szkoła europejska, czyli jak wypić mało i paść:

Należy postępować dokładnie wbrew szkole rosyjskiej

skale picia, drugi – bo zdecydowanie wyróżnia się na tle dość wstrzemięźliwej Afryki. Trzecim wyjątkiem jest Azja Południowo-Wschodnia. Takie kraje, jak Chiny, Tajlandia czy Japonia, przyjęły (każdy na swój sposób) zachodni styl bycia, są bogate i w żaden sposób nie reglamentują sprzedaży alkoholu. Teoretycznie więc wzorem państw zachodnich powinny płasować się w najbardziej rozpitej czołówce. Tymczasem bardzo im do niej daleko. Przeciętny Chińczyk wypija rocznie 5,9 litra alkoholu. Tajlandczyk – 7,1 litra, a Japończyk – 8 litrów.

Jedną z głównych przyczyn takiego stanu rzeczy jest fizjologia. Wielu Azjatów ma deficyt tak zwanego genu dehydrogenazy alkoholowej (ALDH2). Mówiąc prościej, ich wątroba nie trawi spożytego alkoholu i ten w postaci aldehydu octowego zatrzuwa organizm. Rezultat to niemal natychmiastowy ból głowy, nudności i zawroty. Na niedobór ALDH2 cierpi około 10 procent ludzkości – znakomita większość w tej grupie to mieszkańcy Azji Południowo-Wschodniej. Jak na przykład Kazuo.

Kazuo poznałem w 2006 roku w Afganistanie (zero litrów rocznego spożycia). Był pracownikiem jednej z japońskich misji humanitarnych, które pomagały w odbudowie Kabulu. Dosiadł się do nas, gdy wraz ze znajomym Afgańczykiem zaczęliśmy rozpijać butelkę whisky. Chętnie zgodził się nam w tym pomóc.

W jego przypadku brak enzymu objawił się błyskawicznie. Jego angielszczyzna, całkiem niezła na początku, stała się coraz bardziej niewyraźna. Gdy kończył pierwszą kolejkę, przyznał, że nie przepada za whisky, bo jest za mocna. Gdy kończył drugą, śmiał się z siebie, że jak każdy Japończyk nie umie wymówić spółgłoski „l”. A po trzeciej kolejce miał już problemy z większością spółgłosek. Czwartej kolejki nie było. Wykończony Kazuo podniósł się z trudem z wiklinowego krzesła i zniknął w swoim pokoju. Następnego dnia powiedział mi, że miał noc pełną przegód, i przysięgł, że już nigdy w życiu nie weźmie whisky do ust.

60 procent alkoholu spożywanego przez Japończyków to piwo albo sake – łagodne wino z ryżu. Od razu widać, kto ma problem z dehydrogenazą. Tylko Koreańczycy z południa (14,8 litra na osobę) dzielnie radzą sobie z jej niedoborem. Piją dużo i właściwie tylko mocne trunki. Taki wyjątek od wyjątku. ●

Nie tworzymy ideologii

Odpowiadamy na list Przemysława Bogusza, specjalisty do spraw promocji w Biurze Stowarzyszenia Monar, opublikowany w poprzednim numerze „Przekroju”

Szanowny Panie!

Około 70 procent kadry Monaru w Krakowie stanęło po stronie Marka Zygałdy, zaprotestowało przeciw decyzji Zarządu Głównego. Szef Krajowego Biura do spraw Przeciwdziałania Narkomanii uważa rozwiązanie przez ZG Centrum Terapii Narkomanów za strukturę modelową, na której powinny wzorować się inne ośrodki. Próbowaliśmy dowiedzieć się w Monarze, o jakie zarzuty wobec Marka Zygałdy chodzi, ale nie udało nam się uzyskać konkretnych. Jeśli zarzuty są tak poważne jak opisane w Pana polemice, sprawa powinna być oddana do prokuratury. Z tego, co wiemy, nie jest.

Jeśli chodzi o zaangażowanie Marka Zygałdy w działalność Krakowskiego Towarzystwa Pomocy Uzależnionym (w którym Zygałdo jest Sekretarzem Zarządu), warto przypomnieć sprawę otrzymania od państwa terenów dworsko-parkowych w Pleszowie przez Monar w 1992 roku. Zawarte wówczas porozumienie pomiędzy Wojewodą Krakowskim i Markiem Kotańskim było obwarowane zasadą partnerskiej współpracy Monaru właśnie z Krakowskim Towarzystwem Pomocy Uzależnionym.

Nasz tekst skupia się na Monarze, bo do tej organizacji należy mniej więcej połowa wszystkich ośrodków stacjonarnych, pozostałe – o czym wspominały – rozproszone są pomiędzy kilkanaście innych instytucji. To sytuacja w Monarze była pierwszym bodźcem do powstania artykułu. Ale – wbrew temu, co nam Pan zarzuca – przedmiotem krytyki nie jest jedynie Monar, ale cały system leczenia uzależnienia od narkotyków w Polsce. Jednym z większych winowajców – w opinii cytowanych przez nas fachowców – jest NFZ. Monar i inne organizacje prowadzące wiele ośrodków, w których stosuje się przestarzałe, nieskuteczne i uwłaczające godności pacjentów metody, są beneficjentami niezrozumiałej polityki NFZ hojnie finansującej ośrodki stacjonarne, często kosztem powstawania programów metadonowych. Taką opinię

podzielają nie tylko działacze organizacji pozarządowych zabiegających o zmiany w podejściu do leczenia, ale też pracownicy KBPN. Nie piszemy, że wszystkie ośrodki Monaru są złe, wiele z nich – co zaznaczamy w tekście – wykonuje świetną pracę i pomaga chorym. Nasz artykuł nie „tworzy ideologii” metadonu jako złotego środka. Pokazujemy jedynie, że w Polsce równowaga w dostępie do różnych metod leczenia jest zachwiana i odbiega znacznie od standardów europejskich. W niektórych regionach 90 procent środków rozdzielanych przez NFZ na terapie dostają ośrodki. Piszemy, że reforma wewnątrz Monaru – organizacji z najbardziej rozbudowaną infrastrukturą – mogłaby wpłynąć na pozytywną zmianę całego systemu. Jednak ludzie, którzy chcą zmieniać Monar – jak Marek Zygałdo – są z niego usuwani.

Przedstawiciele Monaru powtarzają, że są otwarci na rozmowę o leczeniu narkomanii w Polsce. Tymczasem nikt z Monaru nie zabrał głosu podczas debaty w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka zorganizowanej w listopadzie zeszłego roku po opublikowaniu raportu, gdzie dyskutowali przedstawiciele NFZ, KBPN i organizacji pozarządowych. Cieszy nas, że Monar zareagował na nasz tekst. Jednak przywoływane przez Pana argumenty, że „metadon jest silnym uzależniającym narkotykiem” i że „często wystarczy go odstawić i osoba staje się na powrót wrakiem człowieka”, pokazują, że rzeczowa dyskusja może okazać się niemożliwa. Równie dobrze można napisać, że „wrakiem człowieka” stanie się chory na cukrzycę po odstawieniu insuliny. Metadon jest lekiem stosowanym od kilku dekad w całym zachodnim świecie w terapii uzależnienia od opiatów. Nie czyni cudów, ale pomaga wrócić do normalnego życia. Jego stosowanie zaleca Światowa Organizacja Zdrowia, KBPN i Narodowy Program Zdrowia. Na świecie są tysiące pacjentów, którym udało się „wyzerować” – czyli stopniowo zmniejszać dawki metadonu aż do pełnego odstawienia. Dostęp do tej metody leczenia powinien być równie szeroki jak do dobrych ośrodków stacjonarnych. W Polsce nie jest. Między innymi wskutek działań ZG Monaru.

Z pozdrowieniami,

ANNA SZULC, MACIEJ JARKOWIEC

Gwałt.

Zbrodnia bez kary

Polskie prawo przewiduje za gwałt do 12 lat więzienia. Jednak większość sprawców dostaje dwuletnie wyroki. Co trzeci nawet nie trafia za kraty. Kto chroni gwałcicieli?

DONAT SZYLLER

W Kielcach zawrzało. 34-letni Marcin W. wychodzi na wolność! Wiadomość zelektryzowała nie tylko rodzinę i znajomych 26-letniej brutalnie zgwałconej kobiety. Zagotowało się na forach internetowych i na ulicy. Było o czym dyskutować: Sąd Rejonowy w Kielcach uchylił areszt podejrzanemu o gwałt. Ofiarę znaleziono w lipcu 2010 roku w bramie w centrum miasta – nieprzytomną i zakrwawioną.

Sąd uznał, że nie ma przesłanek, by 34-latek czekał na proces za kratami. Decyzja wydawała się niepojęta. Niestety, podobne zdziwienia nie są obce mieszkańcom innych zakątków Polski.

Była wyrośnięta

15-letnia Paulina po prostu chciała się cieszyć słońcem. Ze swoim chłopakiem Adamem i kilkoma kolegami rozłożyła koc nad jeziorem Babi Loch w Brzegu w Opolskiem. Pływała, śmiała się. Był sierpień 2008 roku. Czas miał przyjemnie, nawet wtedy, gdy do grupy zbliżyło się dwóch nieznajomych mężczyzn. Paulina i jej koledzy nie wyczuli niebezpieczeństwa. 18-letni Radosław i 30-letni Sebastian wyjęli piwo. Gdy zaczęło się ściemniać, rozpalili ognisko. A gdy procenty zaszumiały im w głowach, Radosław wpadł w romantyczny nastrój. Był tak nachalny wobec Pauliny, że interweniował jej chłopak. W szarpaninę wdał się Sebastian. Adam wpadł do ogniska. Próbuje zgasić płonące ubranie, wskoczył do jeziora. Utonął.

W chwili, gdy płuca Adama napęniały się wodą, Radosław gwałcił Paulinę w pobliskich

krzakach. 18-latek szybko stanął przed sądem. Wyrok: dwa lata w zawieszeniu na pięć lat. Prosto z gmachu Sądu Rejonowego w Brzegu gwałcieł wyszedł na wolność.

Rok wcześniej, 530 kilometrów na północ od Brzegu. W słonecznej Ustce razem z ojcem wypoczywa 14-letnia Adrianna z Łodzi. Dziewczyna trochę się nudzi, z braku znajomych spaceruje samotnie po promenadzie. Może pozna kogoś fajnego?

Ten „fajny” ma na imię Sebastian i ma 24 lata. Jeździ karetką w ślupskim pogotowiu. To imponuje dziewczynie. Poza tym Sebastian budzi zaufanie i jest całkiem przystojny. Adrianna umawia się z nim na randkę. Również o północy Sebastian chwyta ją za włosy, drugą rękę zaciska na jej krtani. Gwałci. Nie trafia nawet do aresztu. Proces ciągnie się trzy lata, Sebastian odpowiada z wolnej stopy. Wreszcie, 3 lutego 2011 roku, słyszy wyrok Sądu Rejonowego w Ślupsku: osiem miesięcy więzienia. Mało, bo sąd uznał, że oskarżony nie wiedział, że Adrianna jest tak młoda. Wygląda przecież na wyrośniętą.

420 kilometrów od morza, wieś w gminie Żmigród pod Wrocławiem. Listopad 2008 roku. 53-letnią Zdzisławę odwiedza sąsiad Marek. Znają się od dziecka, więc tematów do rozmowy nie brakuje. Jest też alkohol. W końcu Marek rzuca się na sąsiadkę i brutalnie ją gwałci. Kobieta jest okaleczona, do końca życia będzie inwalidką. Rok później Sąd Okręgowy we Wrocławiu (w kobiecym składzie) orzeka: trzy lata więzienia. Minimalna kara za gwałt ze szczególnym okrucieństwem to pięć lat. Dlaczego więc wyrok brzmi:

trzy? Sędzia Ewa Mokrzyż, która wydała wyrok, uważa, że „nastąpiły okoliczności łagodzące”. – Oskarżony przyznał się do winy, nie kwestionował swojego sprawstwa – uzasadniała wyrok. Markowi Sz. pomogło też to, że mocno przestraszył się na widok krwawiącej kobiety. „Widząc, co się stało, zaproponował jej, że wezwie pogotowie, a więc zaproponował pomoc. Zdaniem sądu kara jest adekwatna do stopnia zawinienia i spełnia wymogi prewencji ogólnej i szczególnej” – czytamy w uzasadnieniu.

W języku prawa prewencja ogólna to wpływ wyroku na społeczeństwo – ma odstraszać przestępców, a reszcie obywateli pokazać, że kara jest sprawiedliwa. Prewencja szczególna ma zapobiec ponownemu dokonaniu przestępstwa przez skazanego. Na razie „adekwatność prewencji” objawiła się tym, że – jak powiedziała po procesie Zdzisława, która do końca życia będzie musiała zalać swoje potrzeby do plastikowego wo-

reczka – Marek śmieje się z niej, konsumując pod sklepem wino.

Sędziowie nie wiedzą

To tylko parę przypadków z kilku tysięcy podobnych. Każdego roku przed sądem staje około 600 gwałcicieli. Tylko niecałe dwa procent dostaje surową karę – powyżej ośmiu lat więzienia. Sądy są dla nich łagodniejsze niż na przykład dla alimenciarzy, wśród których górną granicę kary otrzymuje aż 16 procent oskarżonych.

Ujmijmy to inaczej. W pierwszej połowie 2010 roku sądy skazały 248 gwałcicieli. 79 wyszło od razu na wolność z wyrokami w zawieszeniu. 119 dostało do dwóch lat więzienia – takie same kary odsiada większość polskich włamywaczy. Tylko jedna osoba została skazana na ponad osiem lat.

Rok 2010 nie był jednak wyjątkowy. Rok wcześniej na 600 skazanych 201 dostało kary w zawieszeniu, a 314 wyroki do dwóch lat.

Co roku przed sądem staje około 600 gwałcicieli. Niecałe dwa procent dostaje surową karę – powyżej dwóch lat więzienia

W 2008 roku było podobnie: 179 na 592 gwałcicieli dostało zawieszenie kary, a 297 mniej niż dwa lata. To znaczy, że wszyscy cieszą się dziś wolnością. Dlaczego sądy są tak łagodne?

– Nie wiem – rozkłada ręce profesor Piotr Hofmański, karnista i sędzia Sądu Najwyższego, który nie kryje zaskoczenia takimi statystykami. – Nie sposób odpowiedzieć na pytanie, nie analizując każdej z kilkuset spraw. Być może większość gwałtów jest na dolnym progu szkodliwości społecznej? – zastanawia się, dodając, że sądy są niezawisłe i nie można wpływać na ich orzeczenia.

– Też nie umiem odpowiedzieć na to pytanie – mówi sędzia Mirosław Gajek, były prezes Sądu Okręgowego w Kielcach. – Ja nie mam problemu z wydaniem wyroku 12 lat więzienia. Im dłużej siedzi gwałcieł, tym lepiej dla naszych żon, siostr i córek – uważa.

Jak tłumaczy łagodność innych sędziów? – Nie chcę ich bronić, ale nie ma dwóch identycznych spraw. Gwałt jest gwałtowni nierówny. Są te brutalne i te, w których jest mnóstwo wątpliwości co do zamiarów sprawcy, zachowania ofiary. Sąd musi wziąć pod uwagę szerokie spektrum okoliczności, których nie da się wyczytać ze statystyk – mówi.

Jednak przyznaje, że coś z wymiarem kary za gwałt jest nie w porządku: – Niedawno byłem na posiedzeniu w zakładzie karnym w Pińczowie. Tam jedna czwarta więźniów skazana jest za jazdę rowerem po pijanemu. Na tej podstawie mógłbym stwierdzić, że największym zagrożeniem są rowerzyści, a nie przestępcy seksualni. Tymczasem jakoś nie obawiam się, że moja córka będzie szła ulicą, po której ktoś jedzie rowerem – mówi sędzia.

Bo prowokowała

– Wielu sędziów, prokuratorów, policjantów, ale też innych ludzi w kontaktach z ofiarami gwałtu kieruje się uprzedzeniami i stereotypami – uważa Urszula Nowakowska z Centrum Praw Kobiet. – Starają się usprawiedliwić gwałciciela. Uważają, że kobieta mogła go sprowokować: krótką spódniczką, flirtem, tym, że pozwolila się odprowadzić do domu – dodaje.

Usprawiedliwić gwałciciela jest tym prościej, że – według statystyk CPK – 83 procent ofiar znało swojego oprawcę. To nie są gwałty w ciemnym zaułku dokonane przez obcego bandytę. To gwałty, których sprawcami są znajomi, koledzy z pracy czy adoratorzy, z którymi kobieta poszła na randkę – jak w przypadku Adrianny czy 26-latki z Kielc. – A przecież randka to nie zaproszenie do gwałtu – denerwuje się Nowakowska i dodaje, że konieczne są szkolenia dla sędziów i prokuratorów, które pozwolą im lepiej zrozumieć ofiarę.

No właśnie. Takie szkolenia odbywają się w Krajowej Szkole Sądownictwa i Prokuratury. Ostatnie w 2007 i 2010 roku. Po statystykach wyroków widać, że nie zmieniło się prawie nic.

Prawie, bo pod koniec lutego Sąd Okręgowy w Kielcach, po tym jak odwołała się do niego prokuratura, zatrzymał jednak w areszcie podejrzanego o gwałt. Teraz 34-latek czeka na proces i wyrok. Czy będzie tak niski jak większość wydawanych w sprawach o gwałt? ●



FOT. ISTOCK

Multimilionerzy w polskiej edycji „Dragons' Den”, od prawej: Anna Garwolińska, Grzegorz Hajdarowicz, Marian Owerko, Krzysztof Golonka, Maciej Kaczmarski



for: Marcin Kalinski dla Sukcesu

Smoczki przed smokami

Perkusja w butach, masaż w pracy, ketchup i musztarda w jednym – co jeszcze można wymyślić, żeby zbić majątek? Polacy właśnie dostali swoją szansę. „Dragons' Den” to program telewizyjny, w którym ludzie z pomysłem trafiają na ludzi z pieniędzmi

MARTA GÓRECKA

Takie spotkanie może być początkiem sukcesu. Na świecie wyrosły z tego fortuny. A rosły tak szybko jak oglądalność programu. Choć czasami to, co może przynieść zysk, nie jest widowiskowe. Na przykład Brytyjczyk Peter Moule zgłosił się z niepozornym plastikowym pudełeczkiem, otworzył je i pokazał, że w środku są kostki do łączenia kabli elektrycznych. Niby nic, a jednak COŚ! Tyłu ludzi dotąd łączyło kable, a nikt nie wpadł na pomysł, że dla bezpieczeństwa można je zamknąć w pudełku. W trzy miesiące od pokazania się na wizji wynalazca chocbkosa zarobił pierwszy milion funtów, w ciągu roku suma ze sprzedaży pudełeczka osiągnęła wartość 25 milionów.

Albo Reggae Reggae Sauce. Jak pokazać w telewizji, że ma się pomysł na oryginalny, wyjątkowo ostry dodatek do mięs? Levi Roots (z pochodzenia Jamajczyk) poza tym, że gotuje, również muzykuje, więc wypromował sos śpiewając. W 24 godziny po wyemitowaniu programu chęć sprzedaży sosu zgłosiła jedna z największych brytyjskich sieci supermarketów – Sainsbury's. W tej chwili Reggae Reggae Sauce jest na drugim miejscu wśród

najlepiej sprzedających się sosów w Zjednoczonym Królestwie, a Roots ma już nie tylko swoją linię takich produktów, ale i przekąsek oraz kanapek.

Pomysł bez kapitału

Program promujący ciekawe pomysły na biznes zrodził się w Japonii – tam znany jest od 2001 roku jako „Manê no Tora”, czyli „Pieniężne Tygrysy”. W Izraelu nazwano go „Ha-krishim” („Rekin”), w Finlandii – „Leijonan kita” („W szczęki lwom”). U nas – tak jak w Wielkiej Brytanii, Kanadzie czy Australii – to „Dragons' Den”. Choć nazwy są różne, to idea wszędzie jest ta sama: przed multimilionerami stają ludzie, którzy zamiast pieniędzy mają pomysł, jak rozwinąć interes. Jeśli któryś z multimilionerów uzna, że nie jest beznadziejny, może z własnych środków odkupić część udziałów w przedsięwzięciu.

– To nie konkurs piękności ani program w rodzaju talent show, więc nie ma jury – tłumaczy Tomasz Dąbrowski, reżyser polskiej wersji „Dragons' Den”, którą od 6 marca pokazuje TV4. – Tu nikt nikomu nie funduje nagrody. Są za to poważne negocjacje, bo i stawka jest po-

ważna. Przecież niektórzy przychodzą do inwestorów po wielomilionowe wsparcie.

Krzysztof Golonka, współwłaściciel i prezes funduszu Xevin Investments, zanim zdecydował się wziąć udział w „Dragons' Den” (czyli nim usiadł wraz z innymi milionerami przy paczkach banknotów i przed kamerą, by na gorąco analizować, który z przedstawianych pomysłów wart jest pieniędzy, a który nie), kilka dni zastanawiał się nad uczestnictwem w programie. – Zdecydowałem się, bo w zasadzie przecież to, na czym opiera się „Dragons' Den”, robię na co dzień, tylko w mniej rozrywkowej formie – tłumaczy prezes Golonka. Jego fundusz inwestuje w spółki wymagające kapitałowego wsparcia, ocenia projekty, które znajdują się w początkowej fazie rozwoju, a które bez kapitału nie mogłyby pójść o krok dalej.

Grzegorz Hajdarowicz, kolejny z pięciu multimilionerów, którzy zgodzili się wziąć udział w polskiej edycji „Dragons' Den”, mówi, że to świetny pomysł, aby nauczyć Polaków przedsiębiorczości. – I nie chodzi tylko o biznes, ale o przedsiębiorczość w ogóle. Brakuje jej w każdej dziedzinie życia. Zresztą trudno się dziwić – tłumaczy. – Przedsiębiorczy Polacy najpierw ginęli w wojnach, później byli „rozwalani” przez komunistów albo, w najlepszym razie, spychani na margines.

Za mało jest w nas przebojowości – jeśli mamy pomysł, to rzadko gdzieś go zgłaszamy. W ubiegłym roku do Urzędu Patentowego wpłynęły wnioski o rejestrację 3 387 wynalazków. To wyjątkowo mało jak na europejski kraj. Na świecie pojedyncze koncerty mają więcej pomysłów niż cały nasz naród – na przykład w samym tylko IBM zgłoszono w ubiegłym roku ponad 5,8 tysiąca patentów, w Samsungu – ponad 4,5 tysiąca.

Jak zostać widzem

Polska edycja programu „Dragons' Den. Jak zostać milionerem” liczy osiem odcinków. Pierwszy można było obejrzeć 6 marca, kolejne – co niedzielę o 21.00 w TV4. Format, który jest oparty na licencji Sony Pictures Television International, znany jest między innymi w USA, Kanadzie, Australii, Nowej Zelandii, Nigerii, nawet w Afganistanie. W ciągu 10 lat w różnych krajowych wydaniach programu wystąpiło ponad stu inwestorów, którzy dzielili się z uczestnikami doświadczeniem i pieniędzmi. Wśród nich byli biznesmeni z tytułami szlacheckimi, parlamentarzyści i ministrowie. Producentem polskiej wersji programu są Medion Art Studio i ATM Grupa.

– To mądry program – Michał Olgerbrand chwali „Dragons' Den”, ale w zasadzie trudno się dziwić: zajmuje się jego organizacją, promocją. Zachwycą go wszystko – od zasad (masz dobry pomysł, przekonasz milionera, to wejdzie z tobą w interes, jeśli nie, to nie), po ludzi, którzy się do programu zgłosili (różni – młodzi, starsi, z doświadczeniem w biznesie i bez doświadczenia, z nowatorskim pomysłem przemysłowym od A do Z lub tylko z zarysem pomysłu). – Ale wszyscy z pozytywną energią, żadnego jęczenia, że im się nie chce, że w pracy mają za ciężko, że szef ich nie rozumie, że mało płaci – mówi Olgerbrand.

Na przykład Robert Gargaś (wystąpił w pierwszym odcinku polskiej edycji) pracuje jako elektryk na Politechnice Rzeszowskiej, ale ma w sobie coś takiego, że gdziekolwiek wchodzi, zaraz się rozgląda: co by tu naprawić, poprawić, udoskonalić.

– Mam odruch ulepszania – mówi „Przekroju”. Przesuwa kontakty z gorszego miejsca na ścianie w lepsze, udoskonala meble. Kiedyś gdy kupił przyczepę kempingową, zmienił jej wnętrze totalnie, począwszy od oświetlenia, a skończywszy na wstawieniu prysznicza w miejscu umywalki. Do programu „Dragons' Den” zgłosił się z pomysłem ulepszenia butelki do ketchupu i musztardy. – Latem często grillujemy z przyjaciółmi – opowiada. – A do grilla, jak wiadomo, zawsze używa się sosów. Jeden lubi taki, drugi inny. Tych butelek jest zawsze dużo.

Wykombinował, że stworzy jedną, dzieloną na pół i zakończoną nakrętką trójdzielną – w zależności od tego, jak się nakrętkę ustawi, z butelki będzie lecieć albo ketchup, albo musztarda, lub jedno i drugie równocześnie.

– Taką butelkę można byłoby wykorzystać nie tylko w przemyśle spożywczym, ale i chemicznym – do klejów dwuskładnikowych, albo w kosmetyce – do szamponu i odżywki – przekonywał milionerów. Dwóch zaskarbił sobie od razu. Obiecali wejść w spółkę, wyłożyć sto tysięcy złotych.

Kasa? Nie dla każdego

Sto tysięcy urządziłoby też Adama Wrzesińskiego z Warszawy, który, mając taką sumę, mógłby rozreklamować swój oryginalny biznes: masowanie ludzi w biurach.

Niestety tym pomysłem nie porwał żadnego z milionerów. Nie przeszedł też pomysł Macieja Błacha z Krakowa, który wymyślił wodorower. – Najpierw wydawało się, że chcę za dużo – wspomina Błach (szacował, że na wdrożenie pojazdu do masowej produkcji potrzebowałby trzech milionów złotych, ale

to ogromna suma, bał się wystraszyć ewentualnego inwestora). – Ostatecznie zawolałem za mało – żałuje. Chcąc 1,8 miliona, został wypunktowany: nie oszacował dobrze kosztów.

Zresztą z powodu nerwów, że stoi przed kamerami i przed bogaczami, w jednym momencie zapominał, co powinien powiedzieć. – Czarno przed oczami, pustka. Ale po kilku sekundach już wpadłem na właściwe tory – opowiadał po programie.

Nie przekonał nikogo, choć – jak twierdzi – jego wodorower zwiastuje przełom w rekreacji. Ma się nijak do znanych wszystkim rowerów wodnych – jest mniejszy, lżejszy, łatwo go złożyć i schować do bagażnika samochodu.

Jeszcze prostsze w przenoszeniu są grające buty, które wymyślił Tomasz Andrzej Pałasz z Warszawy (też żaden z milionerów nie chciał wejść w ten interes). – A to moje marzenie z dzieciństwa – opowiada wynalazca. Zobaczył film o grających butach i koniecznie chciał takie mieć.

Jak grają buty? Tomasz Andrzej Pałasz zakłada czarne sportowe tenisówki podbite blachą do stepowania, w talii zapina pas, który kabelkami łączy się z każdym z butów. Zaczyna grać. A właściwie tańczyć. Buty z każdym →

REKLAMA

**FREE SKI
LAST MINUTE**

Tonale 1800 (I)
Apt. Palace 3* w Ponte di Legno, od 670 zł/os. **Madonna di Campiglio (I)** Residence Ambiez 3* basen, naprzeciwko wyciągów Groste i Fortnini, od 1070 zł/os.

+ samolot z Warszawy LOT Charters do Werony lub autokar z 21 miast w Polsce. Ponad 550 ofert również w Austrii, Francji i Szwajcarii, ww. oferta z 6 dniowym karnetem Superskirama Adamello Brenta na 360 km tras, pobyt 26.03-02.04.2011.

801 326 026
alpytravel.pl
ski 2003
100% otium

→ krokiem wydają dźwięki perkusji. Palce jednej nogi to werbel, pięta to talerze. Druga noga – kotły. – Nie było łatwo doprowadzić do czystego dźwięku. Początkowo, gdy uderzałem palcami, odzywał się talerz na pięcie – mówi. – Mikrofony wmontowane w podszwy zbierały wszystkie dźwięki, zakłócając ten wiodący. No i samplery nie współgrały z resztą...

Teraz już wszystko gra, tylko nie wiadomo, co z tego.

– Buty mogłyby służyć muzykom z niedowładem lub paraliżem rąk – snuje wizję Pałasz. – Ewentualnie w uproszczonej wersji mogłyby być zabawką.

Masz wizję? Masz pieniądze

Do polskiej edycji „Dragons' Den” zgłosiło się 70 osób, które szukają finansowego wsparcia. TV4 przez najbliższe niedziele pokazywać będzie ich starania o pieniądze. Jedni zabiegają o kilkadziesiąt tysięcy złotych, inni o miliony. Nieoficjalnie wiadomo, że pojawią się stawki tak wysokie, jakich nie było w żadnym innym kraju, w którym dotąd realizowano ten format (mamy szansę pobić rekord, który padł w Arabii Saudyjskiej – tam uczestnik programu był tak przekonujący, że dostał 3,5 miliona dolarów).

W Wielkiej Brytanii, w czasie ośmiu edycji, zainwestowano w sumie ponad 8,9 miliona funtów. O wsparcie zabiegało ponad 10 tysięcy przedsiębiorczych ludzi. Każdy z jednym marzeniem: zostać milionerem.

Wszystkie poradniki dla takich marzycieli mówią: musisz myśleć niezależnie, mieć wizję, pasję, umiejętności (jeśli ich nie masz, szukaj ludzi, którzy potrafią to, czego ty nie potrafisz). Trzeba też – według różnych poradcików – mieć skłonność do podejmowania ryzyka.

– Ja bym dodał do tego szczęście – podpowiada przyszłym milionerom Krzysztof Golonka. – Jeśli szczęście nie dopisuje, to trudno, też można dojść tam, gdzie się chce, ale zajmuje to zdecydowanie więcej czasu.

– Tak, szczęście się przydaje – przytakuje Grzegorz Hajdarowicz. – Ale też przebojowość. Nie trzeba być zaraz agresywnym, takim „hop do przodu”, ale jednak odważnym, śmiałym.

Zauważa, że tej śmiałości w Polakach jest – dzięki Bogu – coraz więcej. – Ja kiedyś nie miałem w sobie aż takiej odwagi, jaką widzę teraz u tych, którzy przychodzą do telewizji, stają przed kamerami i przed piątką obcych, niekoniecznie przecież sympatycznych ludzi – opowiada o uczestnikach „Dragons' Den”.

Choć nie każdy, kto zgłosił się do programu, zdobędzie uznanie milionerów, nie oznacza to, że po programie zostanie z pustymi rękoma. Jak pokazują przykłady z innych krajów, sam występ w telewizji potrafi niebotycznie zapocentrować. Greg Bay – Kanadyjczyk, który wymyślił spodenki mające leczyć różnego rodzaju kontuzje, w tym też chore pachwiny – nie dostał żadnego wsparcia od milionerów, ale i bez tego po programie jego firma potroiła sprzedaż spodenek. W Wielkiej Brytanii hitem okazała się walizka dla dzieci, która przypomina mały wagonik na kółkach (da się w to spakować ubranka czy zabawki, a malucha można usadzić na wierzchu i ciągnąć za sobą). Rob Law, który pokazał walizkę w programie „Dragons' Den”, wyszedł bez choćby jednego funta od bogatych Dragonów. Mimo to szybko sprzedał 120 tysięcy nietypowych dziecięcych walizek, a po trzech latach miał obroty sięgające dwóch milionów funtów.

Wrzesiński – ten, który wymyślił firmę masującą ludzi w biurach, ale nie dostał od polskich milionerów 100 tysięcy złotych na roz reklamowanie swojego pomysłu – nie żałuje. Samo to, że zobaczył z bliska milionerów, bardzo go pokrzepiło i utwierdziło w przekonaniu, że może być taki sam. Daje sobie na to czas do 32. urodzin. Teraz ma 26 lat.

Inwestorzy też musieli mieć pomysł

Tych, którym marzą się miliony, oceniają ci, którzy miliony już mają

Anna Garwolińska

Od czasów wojny żadna Polka nie grała w polo, ona pierwsza zaczęła. Kocha sztukę japońską i taniec – jest wydawcą pierwszego profesjonalnego magazynu tanecznego „Place for Dance”, ale przede wszystkim jest prezesem firmy Public Relations – Glau-bicz Garwolińska Consultants oraz współwłaścicielką działającej na pięciu kontynentach firmy PR Worldcom. Pierwszy milion dolarów zarobiła przed 30. rokiem życia, wprowadzając na polski rynek takie firmy jak Coca-Cola, Unilever, Nestle czy International Paper. Szacowana wartość firm należących do Anny Garwolińskiej przekracza 35 milionów złotych.

Krzysztof Golonka

Jest pionierem polskiego rynku reklamy internetowej,

twórcą między innymi pierwszej polskiej internetowej sieci reklamowej Ad.net, portali internetowych (Prv.pl) czy spółki e-commerce Zakupy.com. Jego pasje to podróże i motoryzacja, jego obowiązki: Xevin Investments – w 2008 roku kosztem 10 milionów złotych wraz ze współnikami utworzył fundusz zajmujący się inwestycjami w projekty z obszaru marketingu i nowych technologii (jest współwłaścicielem między innymi wyszukiwarki Filetube.com – jednego z największych serwisów internetowych świata). Szacuje się, że wartość inwestycji funduszu przekracza 50 milionów złotych.

Grzegorz Hajdarowicz

Myślał, że zostanie reżyserem, a został producentem filmowym (zainwestował między innymi w produkcję „City Island” z Andym Garcią w roli głównej), to jednak tylko jedna z jego linii biznesowych. Zaczynał na przełomie lat 80. i 90. od 6 tysięcy dolarów, które zarobił między in-

nymi, pracując jako dziennikarz i zastępca redaktora naczelnego polskiego tygodnika wychodzącego w Nowym Jorku. Teraz grupa kapitałowa Gremi, której jest założycielem i głównym udziałowcem, kontroluje między innymi takie spółki giełdowe jak NFI Jupiter, KCI SA, Eurofaktor SA z aktywami idącymi w setki milionów złotych. W Brazylii ma tereny inwestycyjne o powierzchni niemal trzech tysięcy hektarów, w tym 6,5 kilometra plaży. Znosi nie tylko silne emocje związane z inwestowaniem, lubi też sporty ekstremalne – uprawia kitesurfing i heliboarding.

Maciej Kaczmarski

Kiedyś był kierowcą, nawet rajdowym, teraz motoryzacji poświęca się w wolnych chwilach, a w swojej kolekcji ma luksusowe marki jak Rolls-Royce, Maybach. Pierwsze pieniądze zarobił w Niemczech, tam podpatrzył, jak działają firmy obracające wierzelnymi. W 1992 roku stworzył pierwszą polską wywiadownię gospodarczą, a na początku tego

wieku – Krajową Giełdę Wierzelności, później Krajowy Rejestr Długów. Jest potentatem w branży windykacyjnej. Kaczmarski Inkasso zachęca wszystkich: powierz nam swoich dłużników.

Marian Owerko

Jeśli ma czas, to gra w tenisa, kiedyś marzył, że będzie go zajmowała wyłącznie gra w nogę. Nie jest jednak piłkarzem, lecz prezesem zarządu i największym akcjonariuszem spółki Bakalland SA. Zanim spółka stała się liderem na polskim rynku bakallii, ale też największą w tej branży spółką w Europie Środkowo-Wschodniej, mieściła się w 37-metrowej kawalerce, w której Marian Owerko wraz z kolegami ze studiów (warszawska Szkoła Główna Handlowa) pakowali owoce i warzywa. Interes się rozwijał, poszerzyli asortyment i już w 1992 roku mogli, zamiast gnieździć się w kawalerce, wynająć chłodnię. Dziś spółka ma przychody na poziomie 250 milionów złotych rocznie.

KRÓTKO

Gdy marzec idzie po grudzie, w grudniu pójdziesz po błocie

Zero efektów w lawinie agresji

Wzrost przestępstw rozbójniczych, coraz więcej narkotyków i bójek – to polska szkoła, w której miało być „zero tolerancji dla przemocy”

Program „Zero tolerancji dla przemocy” ogłosił w 2006 roku ówczesny minister edukacji Roman Giertych, tuż po samobójczej śmierci Ani, uczennicy gdańskiego gimnazjum, która nie znośła poniżania jej przez kolegów. W ubiegłym tygodniu Sąd Rejonowy w Gdańsku zasądził pięciu

byłym uczniom gimnazjum nadzór kuratora. I tyle. Czy dzięki programowi „Zero tolerancji” przemocy w szkole jest mniej? – Tamten program już nie obowiązuje – mówi Justyna Sadlak z biura prasowego MEN. W sierpniu 2008 roku został zawieszony jako nieprzynosiący efektów. Teraz obowiązuje rządowy program „Bezpiecz-

na i przyjazna szkoła”, który zakłada „budowanie pozytywnego klimatu” i „redukowanie zachowań agresywnych”. Ale policyjne statystyki pokazują, że redukcji nie ma. Przeciwnie, przestępczość szerzy się wśród nieletnich na skalę niespotykaną od 20 lat. Jest więcej przestępstw rozbójniczych (w ostatnim roku wzrost – w stosunku do 2009 – o blisko 60 procent), bójek (o niemal 30 procent), ataków na nauczycieli (o ponad 26 procent) i przestępstw narkotykowych (o 20 procent). W sumie w 2010 roku nieletni popełnili ponad sto tysięcy czynów karalnych, z tego ponad 26 tysięcy w szkole.

MALGORZATA ŚWIECHOWICZ

RACZKOWSKI PONOWNIE



BIZNES

Lody z piersi

W Londynie pojawiła się „Baby Gaga”. To nie dziecko Lady Gagi, ale nowy smak lodów wytwarzanych z mleka karmiących matek. – Nie ma nic bardziej naturalnego niż takie mleko w lodach. Poza tym płacimy kobietom, co pomaga im utrzymać dzieci – mówi Matt O'Connor, właściciel lodziarni (na zdjęciu z jedną z producentek mleka). Były sprzedawane przez kilka dni w lodziarni

Icecreamists po 14 funtów (65 złotych) za puchar. Obecnie sprzedaż zawieszono, bo klienci zażądali dokładnego przebadania matczyngo mleka – tak jak bada się mleko krowy przed dopuszczeniem do sprzedaży. Zajmie się tym Food Standards Agency. Probowaliśmy ustalić, kto w Polsce badałby mleko matek, gdyby ktoś zechciał kręcić z niego lody. Laboratoria sprawdzające mleko od krowy nie potrafiły odpowiedzieć na to pytanie, podobnie jak instytucje zajmujące się młodymi matkami.

WOJ



FOT. Nick Obama/Barcroft/Bulls

PIENIĄDZE

Zastrzeżony J.A.

Być może już niedługo przy nazwisku twórcy portalu WikiLeaks pojawi się symbol TM. Julian Assange złożył wniosek do Urzędu Własności Intelektualnej w Wielkiej Brytanii, w którym prosi o zastrzeżenie swojego imienia i nazwiska jako znaku towarowego. Po co? Wiadomo, o co chodzi, jak zwykle o pieniądze. Za wykorzystanie zastrzeżonego nazwiska Juliana Assange'a w tekstach dziennikarskich trzeba będzie zapłacić. „To dziwne, że ktoś, kto walczy o wolność informacji, postępuje w ten sposób” – komentuje prawnik David Allen Green na łamach „The Guardian”. Jeśli przez dwa miesiące nie wpłyną żadne protesty, wniosek prawdopodobnie będzie rozpatrzony pozytywnie. Assange w ten sposób chce zebrać pieniądze na funkcjonowanie swojego portalu. Napiszmy więc to znów, póki jeszcze można za darmo: Julian Assange.

WOJ

PARLAMENT

Pomogą spotykaniem

W Sejmie powstał parlamentarzystów, w tym reprezentanci PO (Marek Biernacki i Jarosław Gowin) oraz SLD (Stanisław Rydzoń). – Cieszę się, że w zespole są przedstawiciele wszystkich klubów parlamentarnych, również lewicy. To pokazuje, jak ważny jest to dziś problem – mówi szef zespołu Jan Filip Libicki z PjN. Zespół ma spotykać się raz w miesiącu i analizować ataki na chrześcijan. W ostatnim czasie w Tunezji zamordowano salezjanina Marka Rybińskiego, w Islamabadzie zabito jedyne chrześcijanina w pakistańskim rządzie – ministra do spraw mniejszości, a na początku stycznia wybuchła bomba przed kościołem koptyjskim w Aleksandrii – zginęło 21 osób. Polscy parlamentarzyści chcą spotykać się z przedstawicielami krajów, w których doszło do zamachów, żeby pokazać zainteresowanie ochroną praw chrześcijan na świecie.

ICZ

PRZEKSZTAŁCENIA

Likwidacja milicjantów

Znikną wszyscy rosyjscy milicjanci. Zostaną dosłownie zlikwidowani. W poprzedni wtorek weszła w życie ustawa, która zmienia nazwę formacji na „policję”. Poprzednia nazwa jest przestarzała i nie oddaje natury pracy tej instytucji – wyjaśniał prezydent Dmitrij Miedwiediew. Pełna transformacja milicjanta w policjanta nastąpi dopiero 1 stycznia 2012 roku. Do tego czasu funkcjonariusze będą mieć status „pełniących obowiązki” – będą nosić milicyjne mundury i jeździć radiowozami ze starymi napisami. Nie każdy milicjant zostanie policjantem. Przed ponownym zatrudnieniem trzeba zdobyć zgodę psychologa, zdać test, zaprezentować się przed komisją lekarską i przejść badanie na wariografie.

WOJ



Najlepsze ciacho w Krakowie

Aktor niespełniony, dyrektor spełniony, choć nie dane mu było kierować Starym Teatrem, o czym całe życie marzył, poseł trochę z przypadku. **JERZY FEDOROWICZ** opowiada Robertowi Mazurkowi o samotności na scenie i w polityce

Po co aktorowi polityka?

– Nie chciałem.

Siłą wcielili?

– Miałem wspaniałe 20 lat w teatrze, mimo że byłem w drugim szeregu. Stary Teatr to była ekipa aktorska, w której można się było artystycznie rozwijać, ale też znaleźć poczucie wolności, przyjaźń.

Był pan spełniony aktorsko?

– Nie, jednak nie. Nie mogłem znieść tego, że jestem aktorem drugiego szeregu. Mogłem sobie pozwolić na to, by odmówić jakiejś roli, ale już innej nie mogłem sobie wybrać.

To bolało?

– Jak cholera. Ból człowieka, który uważa, że jest świetnym aktorem, ale pozostaje niedoceniany, jest straszny.

Chciał pan być wielkim aktorem?

– Moim marzeniem było zostać dyrektorem Starego Teatru. To była moja największa miłość i otrzymanie tej posady byłoby dla mnie absolutnym spełnieniem zawodowym. Zostałem tam wychowany przez Swinarskiego, Wajdę,

Jarockiego – wszystkich tych ludzi, z którymi nie pracował Miłkołaj Grabowski.

Ale to on jest dyrektorem. Nie mógł pan sobie tego załatwić?

– Nie mogłem, miałem słabsze CV artystyczne niż moi koledzy. Grabowski, a wcześniej Koenig, Meissnerowa czy Bińczycki mnie wyprzedzali, ale się nie poddawałem. Pracowałem cały czas jako dyrektor Teatru Ludowego w Nowej Hucie na to, by dostać Stary Teatr, ale nic z tego nie wyszło.

Ministrem też pan nie został.

– Był moment, kiedy mówiono, że mogę być ministrem kultury w rządzie Buzka. Po odejściu Joasi Wnuk-Nazarowej rozmawiano między innymi ze mną, ale ostatecznie szefem ministerstwa został Andrzej Zakrzewski z AWS. I wtedy wicepremier Balcerowicz zaproponował mi stanowisko wiceministra. A ja ministrem bym został, bo to robota dla wizjonera, ale podsekretarz stanu musi organizować pracę, to urzędnik, zupełnie nie dla mnie, i odmówiłem. Moje nazwisko pojawiło się też

w 2007 roku, ale już pewnie tym ministrem nie zostanę.

Może to kompleksy pchnęły pana do polityki?

– Może tak... Wie pan, aktor to człowiek, który jak nikt inny potrzebuje akceptacji. To ona plus pycha pchają go do przodu. Wie pan, co w polityce jest podobne do aktorstwa? Ta niepewność: kurde, czy oni cię wybiorą?

I to zdecydowało?

– Wie pan, aktorstwo to jest cudowna, piękna rzecz, ale do 55 lat. A później? Nie ma co grać. Niech pan popatrzy na moich wybitnych kolegów – nawet Boguś Linda nie istnieje!

Co z aktorstwa przydało się w polityce?

– Jak ktoś się zajmuje Szekspirem, to wie więcej o polityce niż niejeden politolog. Nie mówię nawet o „Hamlecie”, ale wystarczy sobie przeczytać monolog Marka Antoniusza z „Juliusza Cezara” i już się wie, czym jest polityka.

A w konkretnej pracy?

– Pomogło doświadczenie dyrektorskie. Chyba zawsze mia-

łem łatwość zarządzania ludźmi. Odkryłem to na studiach, kiedy byłem przewodniczącym Rady Uczelnianej ZSP, a moim zastępcą był starszy o sześć lat Wojtek Pszoniak. Mam to w genach, bo moja matka stworzyła dwie szkoły w Krakowie, też kierowała ludźmi. Z kolei w teatrze nie ma żadnej demokracji, tam się rządzi autorytarnie.

Może i ma pan zdolności przywódcze, ale w polityce się to panu nie przydaje.

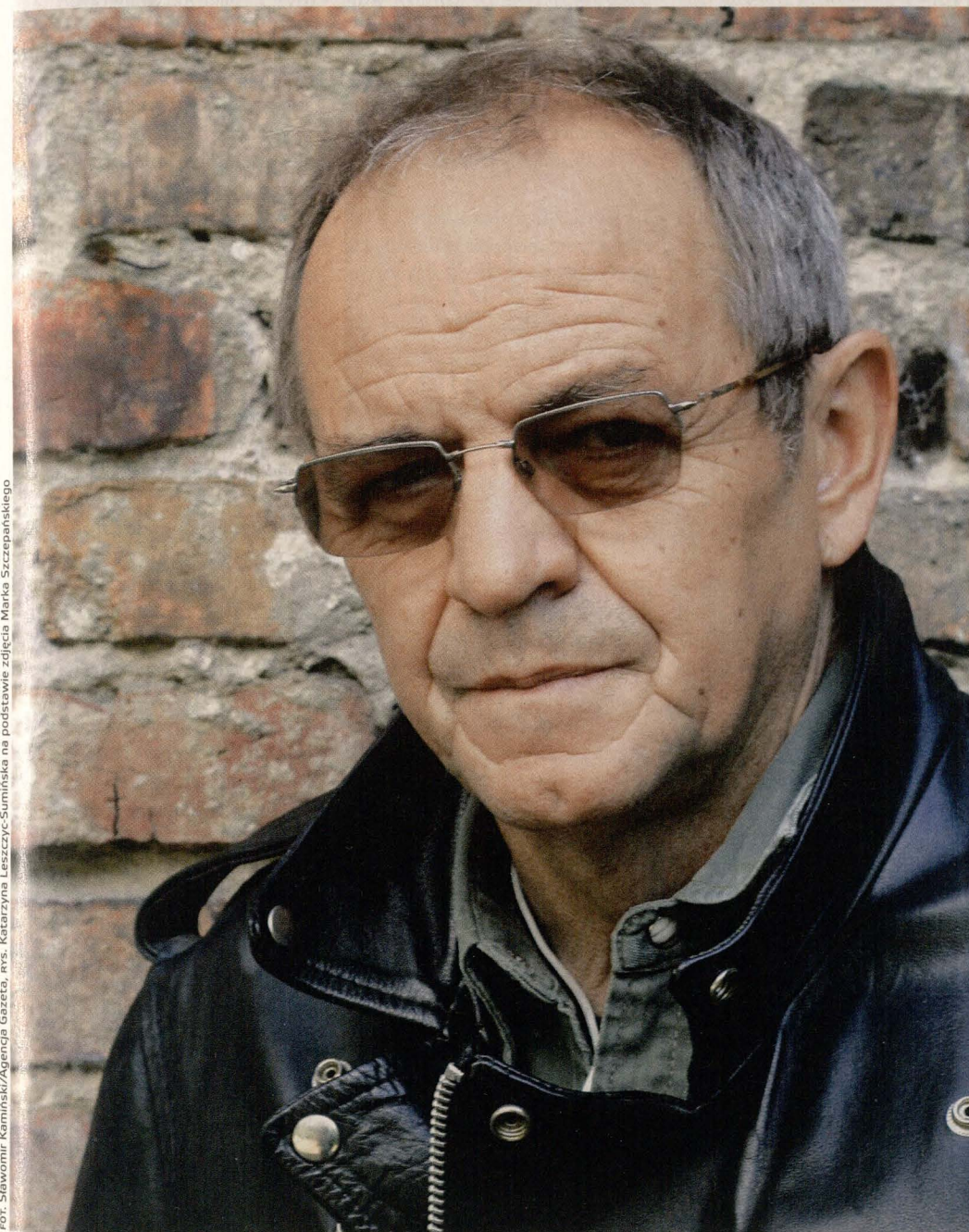
– (Śmiech) I to jest mój ból i cierpienie. Choć swoje zadania mam, szczególnie w sprawach międzynarodowych. Pracuję też nad ustawą o zawodach artystycznych.

I w tym się pan spełnia? Jest pan sympatyczny, ale zbyt wielkiego wpływu na rzeczywistość pan nie ma.

– A co ja mam panu odpowiedzieć? Przecież ja chciałem być dyrektorem Starego Teatru.

Jakim dyrektorem jest aktor drugiego szeregu?

– Pamiętałem o swoim niespełnieniu i spójrzałem na to doświad-



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA GAZETA, RYS. KATARZYNA LESZCZYC-SUMIŃSKA NA PODSTAWIE ZDJĘCIA MARKA SZCZEPAŃSKIEGO

„Aktor to człowiek, który jak nikt inny potrzebuje akceptacji. To ona plus pycha pchają go do przodu. Wie pan, co w polityce jest podobne do aktorstwa? Ta niepewność: kurde, czy oni cię wybiorą?”

JERZY FEDOROWICZ

czenie z drugiej strony, kiedy sam zostałem dyrektorem. Teraz to ja decydowałem o losach młodych aktorów, moich uczniów. Starłem się oszczędzić im tego cierpienia, mówiąc wprost, czy się do tego nadają, czy nie.

Zdarzało się panu pomylić?

– W kilku sytuacjach powiedziałem fajnym ludziom, że powyżej pewnego poziomu nie doskoczą, że się nie da, i lepiej, żeby spróbowali czegoś innego. Dziś w innych branżach odnoszą sukcesy jako maklerzy czy biznesmeni, zapraszają mnie do swoich domów.

Uchodzi pan za człowieka, który w ogóle nie interesuje się polityką.

– Interesuję się, i to bardzo. Udzielałem masy wywiadów i żeby móc odpowiadać na pytania dziennikarzy, muszę wiedzieć, co się dzieje.

Są ludzie, którzy dla polityki sprzedaliby wszystkich i wszystko. Pan chyba nie.

– Mam poczucie własnej godności i może to mnie chroni. Jestem w o wiele lepszej sytuacji niż oni, bo ja mam wariant B, i to nawet atrakcyjniejszy niż polityka. Mam swoje życie, swój zawód, do którego mogę wrócić.

Paru innym też się tak wydawało.

Palikot opowiadał, że może wrócić do biznesu i co?

– Bo on popełnił błąd, za bardzo pokochał politykę, zaangażował się.

Dobry reżyser Kazimierz Kutz w polityce obsadził się w roli zapiętego opłuwacza.

– Ja chyba jestem lepiej postrzegany?

A nie boi się pan, że wpadnie w te same koleiny?

– Chyba nie, nie jestem partyjnym zabijaką.

Czasami się pan zbliża do tego poziomu. Rozumiem, że Ryszard Terlecki i posłowie PiS zachowali się głupio, wychodząc

→ z dyskusji o „Czarnym czwartku”, ale pan, nazywając ich „dupkami” i robiąc sceny, postąpił jak karny żołnierz partii.

– Bo ja jestem emocjonalny i niepotrzebnie dałem się sprowokować.

Jeśli pan i Terlecki bierzecie udział w takich nawalankach, to znaczy, że polityczne szaleństwo poszło za daleko.

– Nie czuję się temu winny. Owszem, za „dupków” tak, ale we mnie nie ma partyjnej nienawiści. Ja mam w PiS świetnych kumpli, ludzi prostych, serdecznych i dobrych. Zdarzyło mi się w nocy odprowadzać do pokoju posła po imprezie, otworzyć mu okno, wyrzucić pety i zdjąć buty, żeby doszedł do siebie. Z takimi ludźmi możemy normalnie pracować. A Terleckiego lubię.

Akurat.

– Tak! Przecież znam go od tylu lat, kiedy jeszcze był z Korą. Ispieram się z żoną o teksty Kory, bo jej się nie podobają.

Proszę serdecznie pozdrowić

żonę. Skoro nie potrafi pan o mnie zadbać, to pan pozwoli...

– Już chciałem panu nalać, ale pan taki niecierpliwy jest!

Tak jest z politykami PO – wiele obiecują, ale jak człowiek sam o siebie nie zadba, to o suchym pysku zostanie. A propos alkoholu – dużo pan w życiu wypił?

– A jak można było nie pić, skoro my byliśmy królami życia! Stary Teatr wtedy to był zespół marzeń, wyselekcjonowany jak Górnik Zabrze. Mogę sypać nazwiskami: Bińczycki, Nowicki, Trela, Stuhr. Albo dziewczyny: Polony, Dymna, Pomykała... To była nie-samowita paka! I jak tu się przebić przez takich ludzi! Byliśmy młodzi, pełni energii, ładni...

Pan był ładny?

– Ja?! Ja byłem największe ciacho w mieście!

Ale co to za miasto...

– (śmiech) Niech pan zobaczy zdjęcia, które wrzuciłem na Facebooka.

Ale tak ładny jak Terlecki pan nie był. W końcu to on

z Korą uchodzili za najładniejszą parę Krakowa.

– Kurwa, to jest obraza! Wiedziałem, że mi pan będzie chciał dopieprzyć! (śmiech)

To nie ja, tak wszyscy mówili.

– Mam zdjęcia swoje i żony z kopca, robione przez Sternal! I co, źle?!

Żona śliczna.

– Najładniejsza para miasta!

Myśli pan, że to przechodzi z żony na pana?

– Pan mnie wykańcza. Pan chce, żebym ja panu odpowiedział na podstawowe pytanie,

”**Politycy są głęboko samotnymi ludźmi. I im większa odpowiedzialność, tym większa samotność**

JERZY FEDOROWICZ

a moje podstawowe pytanie brzmi...

....„czy ja kiedyś byłem ładny?”

– (śmiech) Niech pan zobaczy, jakie mam ładne wnuki.

Ma pan w tym interesie tylko częściowy udział.

– Ale się pan mnie czepia (śmiech). Przecież ja jestem w wieku pańskiego taty, a co, on ma brzuch?

Nie, ale ma wąsy.

– Ja też miałem kiedyś. A on czemu nosi?

Bo wyglądałby jak mój młodszy brat. Wróćmy do alkoholu.

– Przecież panu nalewam, ale i tak to ja cały czas piję.

Mówię o rozmowie o alkoholu.

– Na początku lat 70. piło się bardzo dużo, taki był obyczaj.

Aktorzy chyba zawsze dużo piją.

– Moja żona wiedziała, że płacę wielką cenę za aktorstwo. Przecież wielu moich kolegów było leczonych, bo psychika siada. Cena za wchodzenie w inną postać, zwłaszcza dramatyczną, a już szczególnie w takich sztukach jak „Noc listopadowa”, „Wyzwolenie”, „Dziady”, „Biesy”, w których nosi się ze sobą cały ten bagaż, jest ogromna.

Wspomniał pan o żonie...

– Och, co to za kobieta! Wytrzymać takiego wariata jak ja, ze skłonnościami do rozmaitych życiowych atrakcji jak alkohol czy kobiety – to jest coś. Przecież ja ciągle byłem otoczony pięknymi kobietami, za sprawą jakiejś fascynacji związanej z tym zawodem.

Ale rodzina nie ucierpiała.

– Bo żona traktowała mnie jak trzeciego syna. Inaczej to by się nie udało.

Dawaliście radę finansowo?

– Nigdy się nie poddawaliśmy. Jak trzeba było, to jako oficer rozryw-

bym się zajął naszymi sprawami. I jak prezydentem Krakowa został Jacek Woźniakowski, to mnie zrobili szefem wydziału kultury. Odszedłem razem z nim.

Ale nie z polityki.

– Ludzie Tuska mnie przekonali, bym w 1993 roku kandydował z KLD. Miałem szósty wynik w Krakowie, byłem pewien, że jestem już posłem, ale liberałowie nie przekroczyli progu wyborczego.

I mógł pan spokojnie odejść.

– Gdybym ja był tylko aktorem, ale ja byłem dyrektorem, szefem firmy. No i ciągle ktoś mnie prosił: a to Mazowiecki na listy Unii Wolności, a to do sejmiku wojewódzkiego.

Dlaczego pana tak chcieli?

Przecież z pana żaden polityk.

– (śmiech) Partie mnie bardzo chciały, bo miałem być gościem, który wzmacnia listy, ale broń Boże, żeby tylko nie wszedł. Mnie można było wystawić, bo jestem dość popularny w Krakowie, a poza tym jakieś 10 procent moich wyborców głosuje na Jacka Fedorowicza, znanego satyryka. Kiedyś Jacek powiedział, że zwracając się do niego „panie pośle”, więc to się wyrównuje.

No dobra, ale jak pan trafił z PO do Sejmu?

– A to była cała historia. W 2005 roku zaproponowali mi, żebym kandydował do Senatu. Pomyślałem, że to się da połączyć z dyrektorem w teatrze i się zgodziłem. I pojechałem na wakacje. Chwilę wcześniej Janusz Kurtyka ostrzegał mnie, że tego nie dostanę, ale go wyśmiałem.

Miał rację.

– Wracałem z urlopu i zadzwonił do mnie Aleksander Grad, szef regionu, mówiąc, że nie Senat, ale Sejm – i dali mi piąte miejsce.

Pięte?

– Wracam do Krakowa, lista już zamknięta, a ja jestem wpisany, tyle że na miejsce piętnaste. Myślę, cholera, w samym środku listy, kto mnie tam znajdzie? Ale wszedłem. Wiedziałem, jak tylko zaczęły schodzić wyniki głoso-

wania z więzień – byłem na samej górze.

Czego nauczyła pana polityka?

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało górnolotnie, ale odczuwam większą odpowiedzialność. Czym innym jest branie odpowiedzialności za teatr czy nawet wszystkie instytucje kultury w Krakowie, a czym innym odpowiadanie za kraj. Kiedy dziś zdarza się powódź, to boję się, że teraz to także moja wina, bo na przykład w budżecie nie było na to wystarczająco dużo pieniędzy. Ja się nie zajmuję ubezpieczeniami, ale siedzę na spotkaniu z Bieleckim, Rostowskim i Bonim o OFE, żeby móc wytłumaczyć ludziom, że moja partia przygotowała im perspektywę na rok 2060.

Matko, chcecie rządzić następne pięćdziesiąt lat?!

– Nie... (śmiech)

Rozumiem, po prostu wtedy pojawiają się pierwsze pozytywne efekty nowych emerytur.

Jerzy Fedorowicz

W Krakowie znany jako Fedor. Aktor (występował między innymi w Starym Teatrze), reżyser, poseł PO, poeta, działacz społeczny. Od 1989 roku dyrektor Teatru Ludowego w Nowej Hucie. Gdy zaczynał, załoga teatru częściej niż w spektaklach grała w karty albo w ping-ponga. W ciągu kilku lat podupadającą instytucję Fedorowicz zamienił w miejsce tłumnie odwiedzane. Na początku lat 90. namówił tłukących się po Nowej Hucie punków i skinów do tego, by przestali mu rozwalać teatr i okolice. „Jak go zdemolujecie, widzów wykurzycie, mnie zabijecie (...) wygaszą światła, a wtedy tylko ciemność” – ostrzegł nowohuckich bojówkarzy Fedorowicz. A potem namówił ich do grania w spektaklu „Romeo i Julia” Szekspira. Teraz pracuje nad projektem wprowadzenia w szkołach wyższych kierunku Terapia przez sztukę. Od ponad 40 lat jest mężem scenografki Elżbiety Krywskiej. Ma z nią dwóch synów, w tym jednego również Jerzego, który jest radnym miasta Krakowa.

– (śmiech) Wiedziałem, że tak się rozmawia z Mazurkiem! A mówiąc serio, jako poseł czuję się odpowiedzialny nie tylko za rzeczy, którymi się bezpośrednio zajmuję w Komisji Kultury i Środków Przekazu.

A co panu polityka dała?

– Straszliwą samotność.

Aktorstwo również jest zawodem, który skazuje na samotność?

– Tak z pewnością jest, ale jednocześnie w teatrze jest się w grupie, razem. Przyjaciele ze Starego plus nieżyjący już Kreczmar, Kofta czy Markuszewski dali mi niezwykle poczucie przynależności do zespołu. Tu, w Sejmie, miałem

takie poczucie tylko przez chwilę, kiedy byliśmy w opozycji.

A teraz?

– Po tych wszystkich zmianach, aferach, które nami wstrząsnęły, czuję i wiem, że politycy są głęboko samotnymi ludźmi. I im większa odpowiedzialność, tym większa samotność.

REKLAMA

netbook od 1 zł
z internetem mobilnym
Orange Free



Wybierz szybki i wygodny internet mobilny Orange Free. Dzięki niemu zyskujesz dostęp do nowoczesnego sprzętu HP Mini 210 od 1 zł i zasięg nieporównywalny z żadnym innym. Wygoda zmienia się z Orange.



Szczegóły na www.orange.pl

dziś zmienia się z orange™

Kosmos boli

Gdyby w ciężkich więzieniach panowały warunki takie jak podczas lotów w Kosmos, obrońcy praw człowieka padliby z oburzenia. Wierz mi – nie chciałbyś być astronautą

URSZULA DĄBROWSKA

Wreszcie się udało. 14 lutego 2011 roku dwóch śmiałków postawiło pierwsze kroki na Marsie. O godzinie 13 czasu moskiewskiego Aleksandr Smolejewski i Diego Urbina wyszli z lądownika. Błyszcząc kosmicznymi skafandrami, odbyli ponadgodzinny marsjański spacer. Z gracją Teletubisiów zatknęli flagi Rosji, Chin i Europejskiej Agencji Kosmicznej na dnie krateru Gusiew i pobrali z gruntu próbki rdzawego piasku. To najnowszy „mały krok dla człowieka”.

Zazdrościsz? Nie martw się – wszystko przed tobą. Jeśli chcesz być pierwszy, właściwie wciąż masz szansę. Ta nie do końca prawdziwa, ale też nie całkiem zmyślona historia przedstawia opis ćwiczeń znanych pod nazwą Mars-500. Są one prawdopodobnie najdroższą na świecie zabawą dla sześciu dorosłych

i bardzo dobrze wykształconych panów: niby-misja niby-statku w niby-Kosmosie. Całość odgrywana jest już od ponad ośmiu miesięcy w rosyjskim (tym razem rzeczywistym) Instytucie Problemów Biofizycznych w Moskwie.

Ciasno, nudno i do domu daleko

Choć intensywne i kosztowne ćwiczenia są w toku, nie liczą na spektakularne i błyskawiczne sukcesy podobne do tych, które towarzyszyły wyścigowi na Księżyc. Nawet w najbardziej optymistycznej wersji rozwoju wypadków na Marsa polecą dopiero nasze dzieci – najbliższa podróż na Czerwoną Planetę jest planowana na czwartą dekadę tego wieku. Zanim to nastąpi, musimy jeszcze dowiedzieć się pewnej kluczowej rzeczy – czy ludzie w ogóle mogą przeżyć taką wyprawę. Nawet jeśli wszyst-

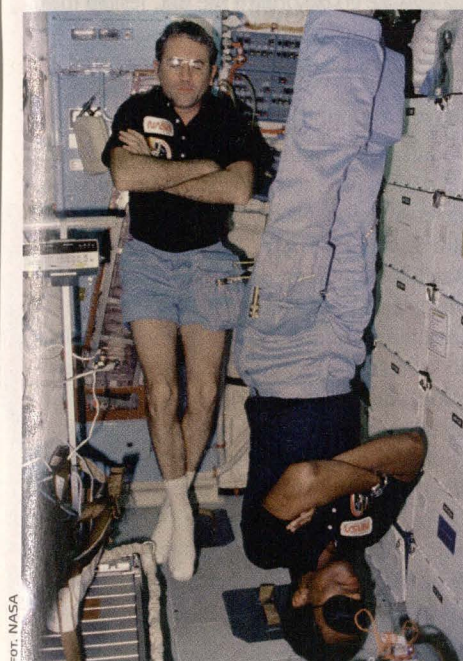
ko pójdzie jak po maśle (wystarczy paliwa, jedzenia i tlenu, sprzęt nie nawali, a trajektoria lotu okaże się prawidłowa), misja może się nie udać. Czemu? Bo zawiedzie najbardziej nieprzewidywalny element całej układanki – człowiek. Aby tego uniknąć, naukowcy od lat badają, co i jak może się popsuć w ludzkiej głowie. I jaka jest szansa na to, że zapuszkowani ludzie jednak się nie pozabijają.

Między innymi do tego służy Mars-500. To nie pierwsza, ale z pewnością najdłuższa symulacja międzyplanetarnej podróży. Prócz Rosjanina i Włocha biorą w niej udział jeszcze Romain Charles, Wang Yue, Aleksiej Sitew i Suchrob Kamołow – Francuz, Chińczyk i dwaj Rosjanie. W pomieszczeniu, które udaje statek, załoga spędzi w sumie ponad 500 dni (prawdziwy lot na Marsa potrwa jesz-

Asteroida z napędem?
Wirujący statek? Na razie nie martwimy się o to, czym lecieć, ale jak przeżyć podróż



Mars-500
(na górze) pokaże, jak ludzie znoszą długotrwałą izolację, jednak nie zapewni prawdziwych „uroków” pozbawionego grawitacji życia na stacji kosmicznej (na dole)



W takich warunkach naukowcy mówią wręcz o deprywacji sensorycznej. Co to takiego? W skrócie – brak bodźców. Z jednej strony wzrok, słuch, smak, dotyk i węch działają jak należy. Z drugiej – ich stymulacja jest za mało zróżnicowana. Z każdym dniem organizm coraz bardziej się do wszystkiego przyzwyczaja. W końcu wiele bodźców zaczyna ignorować, inne stają się wręcz nieznośne. A umysł potrzebuje nowych doznań i zmieniających się okoliczności, żeby sprawnie funkcjonować. Nawet na Ziemi wystarczy kilkanaście dni z tymi samymi ludźmi, by zaczęły się rodzić poważne konflikty. A w drodze na Marsa nie pomoże nawet telefon do przyjaciela. Połączenie między statkiem a Ziemią ma opóźnienie sięgające 20 minut. W jedną stronę. Mówisz: „Cześć” i po 40 minutach słyszysz: „No cześć, jak wam leci?”.

Dzięki Mars-500 mamy się dowiedzieć, jaki typ człowieka jest stworzony do podboju Kosmosu. Pewne przesłanki już mamy: powinien być flegmatyczny, empatyczny, konciliacyjny i pogodny. Ale nie zapominajmy, że podczas prawdziwej misji musi też dawać sobie radę w kryzysowych sytuacjach. A więc odwaga i hart ducha. Ot, potrzebny jest czuły brutal.

Moskiewska niby-misja ma wyjaśnić wiele spraw. W każdym razie naukowcom, bo my, szarzy płatnicy podatków, nieustannie otrzymujemy komunikaty, które można sprowadzić do czterech słów: „załoga radzi sobie świetnie”. Czemu? Agencjom kosmicznym zależy na tym, by podtrzymywać pozytywny wizerunek podboju Kosmosu. Jeśli okaże się, że taka misja to dla człowieka zbyt wiele, strumień (i tak wysychający) rządowych środków przestanie płynąć. Niektórzy uważają wręcz, że NASA nie prowadzi takich badań dlatego, że boi się ewentualnych wyników. Zresztą

dzięki symulacjom i tak nie dowiemy się, jak z kosmiczną wyprawą poradzi sobie ludzkie ciało. Na Ziemi po prostu nie da się udawać Kosmosu – mamy tu coś, czego bardzo trudno jest się pozbyć – grawitację. Trochę już wiemy z praktyki, w końcu za nami ponad pół wieku lotów w przestworza. To doświadczenie każe wręcz przypuszczać, że w prawdziwym locie na Czerwoną Planetę załoga Mars-500 nie radziłaby sobie już tak świetnie. Gdy nie wiesz, gdzie jest dół, a gdzie góra, tygodniami nie zmieniasz ubrania i siusiasz do rurki, nerwy puszczają zdecydowanie szybciej.

Dyskretny urok przyciągania

Astronauta to jednostki nieprzeciętne, starannie wyselekcjonowane, przebadane wszędy i wzdłuż. Ale to wciąż tylko przedstawiciele gatunku *homo sapiens*. A my po prostu nie jesteśmy stworzeni do unoszenia się w powietrzu. Przeciwnie, wyewoluowaliśmy tak, by dawać sobie radę z wszechobecnym ciążeniem.

O tym, jak wymagające, nienaturalne, a niekiedy po prostu dziwaczne jest życie astronautów, opowiada w swojej nowej książce Mary Roach. Amerykańska dziennikarka i pisarka popularnonaukowa rozprawiła się już z tym, co dzieje się z ciałem po śmierci („Sztynniak. Osobliwe życie nieboszczyków”), w czasie współżycia („Bzyk. Pasjonujące zespolenie nauki i seksu”), a teraz wzięła na warsztat jeszcze bardziej niezwykły stan. „Ale kosmos! Jak jeść, kochać i korzystać z WC w stanie nieważkości” (w polskich księgarniach pojawi się już 21 marca), jak na historię podbijania przestworzy, to książka bardzo przyziemna. Znajdziesz w niej dane techniczne, osiągi, specyfikacje i opis licznych parametrów. Tyle że wszystkie dotyczą nie sprzętu, lecz ludzkiego ciała. I uwierz, nie są to rzeczy, o których nauczyciele mówią na lekcjach biologii. Mary Roach miała bowiem wyjątkową okazję (i wyjątkowe fundusze) odwiedzenia większości liczących się ośrodków kosmicznych, porozmawiania z dziesiątkami ludzi, którzy byli na orbicie, i spotkania tysięcy specjalistów, dzięki którym te dziesiątki ludzi z orbity wróciły. To, co astronauta opowiadają po powrocie, jest diametralnie różne od „załoga radzi sobie świetnie”.

Weźmy chociaż tak banalną sprawę jak siusianie. Po dość krótkim treningu w okresie przedszkolnym prawdopodobnie nie sprawia ci problemu. Ale w Kosmosie rządzi się zupełnie nowymi prawami. Mocz spływa z nerek stale. Receptory rozciągania, które zwykle mówią nam: „idź, zrób siusiu”, znajdują

→ się na dole pęcherza – tam, gdzie płyn napiera swoim ciężarem. W stanie nieważkości ciśnienie działa równomiernie na wszystkie ściany zbiornika. Dlatego do ostatniego momentu nie wiesz, że powinienes udać się do toalety.

By zapobiec katastrofie, pasażerowie wahadłowca i stacji kosmicznej chodzą do toalety co dwie godziny. To jednak nie koniec historii. Bez przyciągania ziemskiego krople płynu przybierają kształt idealnych kul i dryfują w przestrzeni. Faj. Więc jak „to” robić w drodze na Marsa? Z pomocą przychodzi – jak zwykle kosmiczna – technologia: połączenie sedesu z odkurzaczem. Jak takie urządzenie działa w praktyce? Kluczową rolę odgrywa rura. Do niej mocuje się plastikowe końcówki przypominające lejki. Panie mają do wyboru trzy różne kształty (dopasowane do anatomii krocza), a panowie trzy różne rozmiary – astronauta to przecież mężczyźni, więc aby uniknąć niepotrzebnych frustracji, dostępne rozmiary oznaczono jako L, XL i XXL. Takie podłączenie do sprzętu (na stojąco lub siedząco – wedle gustu) pozwala, by strumień powietrza zassał i odprowadził moc.

Dokowanie za potrzebą

Gdy przyjdzie pora na coś grubszego, konieczne jest inne podejście. Dosłownie. Ciała stałe w stanie nieważkości, podobnie jak płyny, nie opadają. I w tym wypadku z pomocą przychodzi ciąg. Aby zadziałał, musisz się odpowiednio zbliżyć do deski kłozetowej. Jak podkreśla Mary Roach, „właściwe pozycjonowanie jest sprawą kluczową”. Nie wolno ci tak po prostu usiąść. Jeśli twoja pupa przysysie się do deski, zablokujesz strumień powietrza. Drugi problem to wielkość wewnętrznego otworu sedesu. Jest on dużo mniejszy niż w ziemskich ubikacjach – średnica ma około 10 centymetrów. Dlatego niełatwo w niego trafić. Trudno też nie odlatywać w czasie całego (niekoniecznie błyskawicznego) procesu. Na szczęście ubikacja ma przymocowane stopnie z rzepami oraz uchwyty na wysokości bioder. A astronauta, zanim polecą w Kosmos, odbywają specjalne treningi z użycia toalety.

Jeśli w ubikacji wszystko pójdzie pomyślnie, zbędny balast zostaje mechanicznie wystawiony na działanie próżni poza statkiem. Tam szybko schnie i zamarza, co świetnie zabija zarazki i nieprzyjemny zapach. Gdy zbiorniki na odpadki są pełne, najczęściej zabiera je bezzałogowy statek zaopatrzeniowy. Na Ziemię nic jednak nie wraca – po drodze wszystko spala się w atmosferze (pomyśl o tym, gdy następnym razem zobaczysz spadającą gwiazdę).

Uważasz, że korzystanie z ubikacji to sprawa banalna? Niestuszenie. Nawet NASA nie wymyśliła, jak całkowicie wyeliminować potrzeby fizjologiczne (a próbowała, na przykład stymulując zaparcia u uczestników kosmicznych wypraw). Niestety najmniejszy błąd w toalecie potrafi mieć poważne konsekwencje. Jeśli cokolwiek – płynnego lub stałego – nie znajdzie się tam, gdzie powinno, może uszkodzić sprzęt elektryczny albo trafić do systemu obiegu powietrza. Nie wspominając już nawet o prozaicznym pobrudzeniu ciała. Na międzynarodowej stacji kosmicznej (ISS – International Space Station), która krąży po orbicie ziemskiej z kiluosobową załogą, nie ma nawet prysznicza. Mycie ogranicza się do użycia wilgotnej gąbki, a woda podlega ścisłej reglamentacji. I nie wygląda na to, by w drodze na Marsa miało być lepiej.

Nieważkość daje w kość

Niski poziom higieny to jedna z większych bolączek astronautów. Majtki zmieniane raz na dwa dni, skarpetki – co tydzień, koszule – raz na miesiąc. Żadnej pralki. A ciało brudzi się tak samo jak na Ziemi. W planie każdego dnia, prócz pracy, są przecież ćwiczenia fizyczne. To konieczne, bo bez grawitacji mięśnie mają mniej pracy i zanikają.

Jak pisze Mary Roach, „ciało ludzkie jest oszczędnym pracodawcą. Utrzymuje szkielet i mięśnie dokładnie tak silne, jak powinny być, ni mniej, ni więcej”. A w stanie nieważkości wymaga się od niego naprawdę niewiele. Ubytek kości może sięgać jednego procenta miesięcznie. Pogarsza się przy tym koordynacja wzrokowo-ruchowa. To dlatego, że ludzki system nerwowy otrzymuje mniej stymulacji niż normalnie. Paradoksalnie przy tym wszystkim człowiek rośnie. Zagięcia kręgosłupa prostują się, a nieściskane ciężarem ciała kręgi pęczniają. W ten sposób możesz zyskać nawet osiem centymetrów i wyrosnąć z własnych ubrań.

W stanie nieważkości cały organizm funkcjonuje inaczej niż na Ziemi. Płyny w ciele (nawet dwie trzecie jego masy) nie spływają do nóg, lecz gromadzą się w górnej części ciała. Czemu? Bo układ krwionośny jest tak zbudowany, by przeciwdziałać grawitacji. I robi to nawet wtedy, gdy jej nie ma. A w klatce piersiowej i jamie brzusznej znajdują się czujniki ilości krwi. Podwyższone ciśnienie płynów sprawia, że wydaje im się, że jest jej za dużo. Organizm temu przeciwdziała i po tygodniu krwi jest nawet o jeden litr mniej, a to prosta droga do anemii.

Ubytek w masie całego ciała (nawet o 15 procent) najwyraźniej widać w nogach. Za to resz-

ta wygląda jak po odnowie biologicznej. Narządy wewnętrzne w brzuchu i klatce piersiowej nie ciąży, więc talia robi się węższa. Do tego klatka piersiowa „puchnie”, co sprawia, że mężczyźni wydają się bardziej mężczyźni, a kobiety biust jędrnieje. Włosy unoszą się i są puszyste. Całości dopełnia lifting: krew i limfa nie odpływają z twarzy, więc znikają zmarszczki. Rejs na Marsa zapowiada się seksownie? Nie bardzo. Pobudzenie, nie mówiąc już o samym współżyciu, wymaga mocnego ukrwienia narządów płciowych. A o to dość trudno, skoro znajdują się one w dolnej części ciała – zupełnie gdzie indziej niż krew. Na pocieszenie można tylko dodać, że zwykle spanie nie jest takie złe. Nic nie uwiiera, nic nie drętwieje, łóżko nigdy nie jest za twarde. Głównie dlatego, że go po prostu nie ma. Jest za to śpiwór. Mocuje się go do którejś ze ścian (żeby nie oddryfować od miejsca snu) i to wszystko.

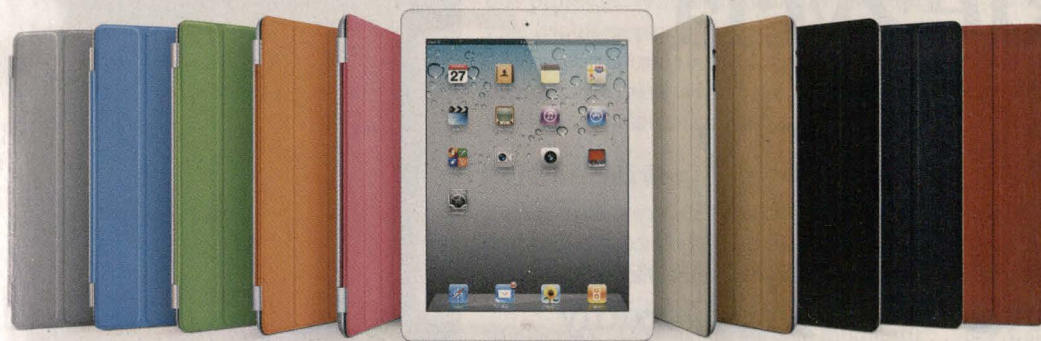
Zostań z nami

Dodatkowo długi lot w przestrzeni kosmicznej naraża ludzki organizm na promieniowanie kosmiczne. Na co dzień chroni nas przed nim gęsta atmosfera. Na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej astronautów wciąż trochę osłania pole magnetyczne Ziemi, ale i tak promieniowanie jest 30 razy większe, niż to, do którego przywykliśmy. Często członkowie załogi widzą nagle błyski światła pojawiające się nawet przy zamkniętych oczach. Czemu? To cząstki promieniowania podrażniają siatkówkę. Gdy trafiają w jądra komórkowe, często uszkadzają DNA, a to może prowadzić do mutacji, a w konsekwencji – do nowotworów. W czasie podróży na Marsa będziesz smażony przez promieniowanie niczym kurczak na rożnie.

Załoga Mars-500 promieniowaniem nie musi się przejmować. Ale przed nią wciąż duże wyzwanie: siedem miesięcy drogi powrotnej w izolacji. To dopiero będzie sprawdzian cierpliwości i opanowania. Powrót dłuży się, bo wiemy, że wszystkie najciekawsze rzeczy już za nami. Ale w tym wypadku przynajmniej wiadomo, że członkowie załogi wrócą do swoich rodzin cali i zdrowi (przynajmniej fizycznie, z głową może być różnie). A tego o prawdziwej misji na Marsa powiedzieć nie można.

Zanim więc zaczniesz choćby marzyć o locie w przestrzeń kosmiczną, zastanów się, czy naprawdę tego chcesz. Jak udowadnia książka Mary Roach, spragnieni międzyplanetarnych wojaży muszą przygotować się na wiele wyrzeczeń i niewygód. Półtora roku bez ulubionej kawy i kolejnego odcinka „House’a” to najbanalniejsze z nich.

CYWILIZACJA OD ŚRODKA KORZYSTAJ



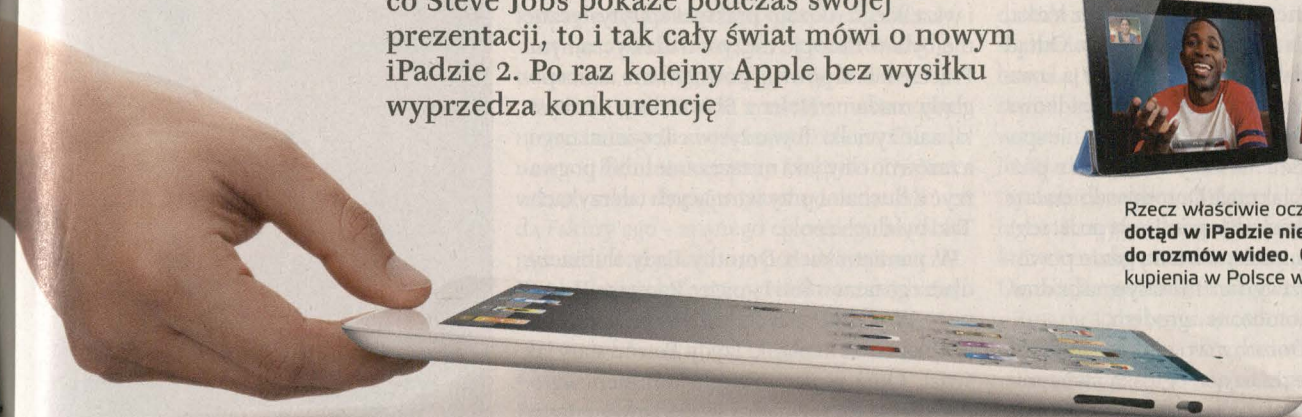
Jedna z głównych nowości iPada 2 – magiczne kolorowe pokrowce Smart Cover

iPad 2, czyli ewolucja

To prawdziwy fenomen – choć już od wielu tygodni wszyscy (nieoficjalnie) wiedzieli, co Steve Jobs pokaże podczas swojej prezentacji, to i tak cały świat mówi o nowym iPadzie 2. Po raz kolejny Apple bez wysiłku wyprzedza konkurencję



Rzecz właściwie oczywista, choć dotąd w iPadzie nieobecna – kamera do rozmów wideo. Od 25 marca do kupienia w Polsce wraz z iPadem 2



Właściwie nikt się nie spodziewał rewolucji. I nic dziwnego – nie była potrzebna. W zeszłym roku iPad zajmował dobre 90 procent rynku tabletów, a najbardziej pesymistyczne prognozy mówią, że w 2011 roku do Apple'a będzie wciąż należała połowa tabletowego świata. To wbrew pozorom wielki sukces, bo rok temu na rynku nie było ani jednego tego typu urządzenia, a obecnie niemal wszystkie duże firmy z branży zapowiadają, że w ciągu najbliższych miesięcy coś zaprezentują. No właśnie – „najbliższych miesięcy” i „coś”. Apple sprężył się wyjątkowo i iPad 2 będzie do kupienia w USA już 11 marca, a w Polsce – 25. A więc żadnego czekania, opóźnień i tłumaczenia się. W kwestii „coś” – Motorola zdążyła ze swoim tabletem Xoom jeszcze przed iPadem 2. Tyle że spora część obiecanych funkcji nie jest dostępna, a klienci muszą się zadowolić informacjami, że otrzymają je „już wkrót-

ce”, najpewniej wiosną. A iPad 2 po prostu jest i już.

A w nim, wśród nowości, dwie kamery (do wideocztu i kręcenia filmów o wysokiej rozdzielczości), cieńsza o 1/3 obudowa i mniejsza o 15 procent waga. No i dwa kolory – czerń i biel. Ale to nic. Tym razem liczy się przede wszystkim wnętrze. Tam kryje się dwurdzeniowy

procesor A5 i grafika szybsza dwukrotnie od tej z poprzedniego iPada. To wyraźny sygnał, że Apple kocha graczy, a ściślej rzecz biorąc, kocha pieniądze, które czerpie ze sprzedaży gier na iPada. Szykuje się rok gier, które będą wyglądały lepiej niż te, nad którymi jeszcze kilka lat temu strasznie musiały się namęczyć pecety.

„Za pięć lat papier będzie przechodził do historii, każdy, czy będzie chciał, czy nie, będzie miał tablet. To dopiero początek jakże wspaniałej, bezkrwawej rewolucji.



GRZEGORZ HAJDAROWICZ
Właściciel Grupy Gremi,
do której należy Wydawnictwo Przekrój

Ale Apple dba, by z pecetami się nie porównywać. Zdaniem firmy (czyli Steve'a Jobsa) nadeszła era post-PC, a rolę tabletu nie jest zastępowanie laptopów czy maszyn stacjonarnych, ale wypełnienie luki między tym typem komputerów a smartfonami. O rozmiarach luki świadczy wysyp tabletowych aplikacji (w samym AppStore jest ich ponad 65 tysięcy) oraz zamieszanie, które powstało na wielu rynkach, z medialnym na czele. Dziś nie tylko każde szanujące się pismo myśli o obecności na tabletach, ale wręcz powstają zupełnie nowe, wyłącznie tabletowe tytuły, takie jak „The Daily”.

Jak się w tym wszystkim odnajdzie nowy iPad? Jak zwykle. Świetnie się sprzedaje i zyska doskonałą prasę. Inni producenci będą co chwilę mówili, że mają „iPad killera”, i faktycznie stopniowo będą doganiali funkcjonalnością iPada. A kiedy już prawie go dogonią, na rynku pojawi się iPad 3.

Wszystkie życia kapłanki Izydy

Wybitna egiptolożka? Mitomanka przekonana, że jest wcieleniem kochanki faraona? Dorothy Eady, jedna z najbardziej ekscentrycznych postaci w historii nauki, miała wiele twarzy

SZYMON ZDZIEBŁOWSKI

Wszystko zaczęło się od śmierci klinicznej. W 1911 roku trzyletnia Dorotka spadła ze schodów. Nie dawała oznak życia, więc lekarz orzekł zgon. Przedwcześnie. Dziewczynka nagle wstała z łóżka, bez widocznych poważnych urazów. Odtąd jednak często płakała, nocami nękały ją koszmary. Czy ich przyczyną była powypadkowa trauma, czy uszkodzenia mózgu – dziś nie sposób tego stwierdzić. Wiemy natomiast z późniejszych relacji, jak mała Dorothy odbierała te sny (a przynajmniej jak je pamiętała po latach). Mówiły jej, że mieszka nie tam, gdzie powinna. Że jej prawdziwy dom to masywna budowla z kolumnami otoczona ogrodem.

Gdy w ręce Dorothy wpadło czasopismo ilustrowane prezentujące egipską świątynię w Abydos, dziewczynka uznała, że to właśnie jest ów dom, o którym śniła nocami.

Problem kliniczny

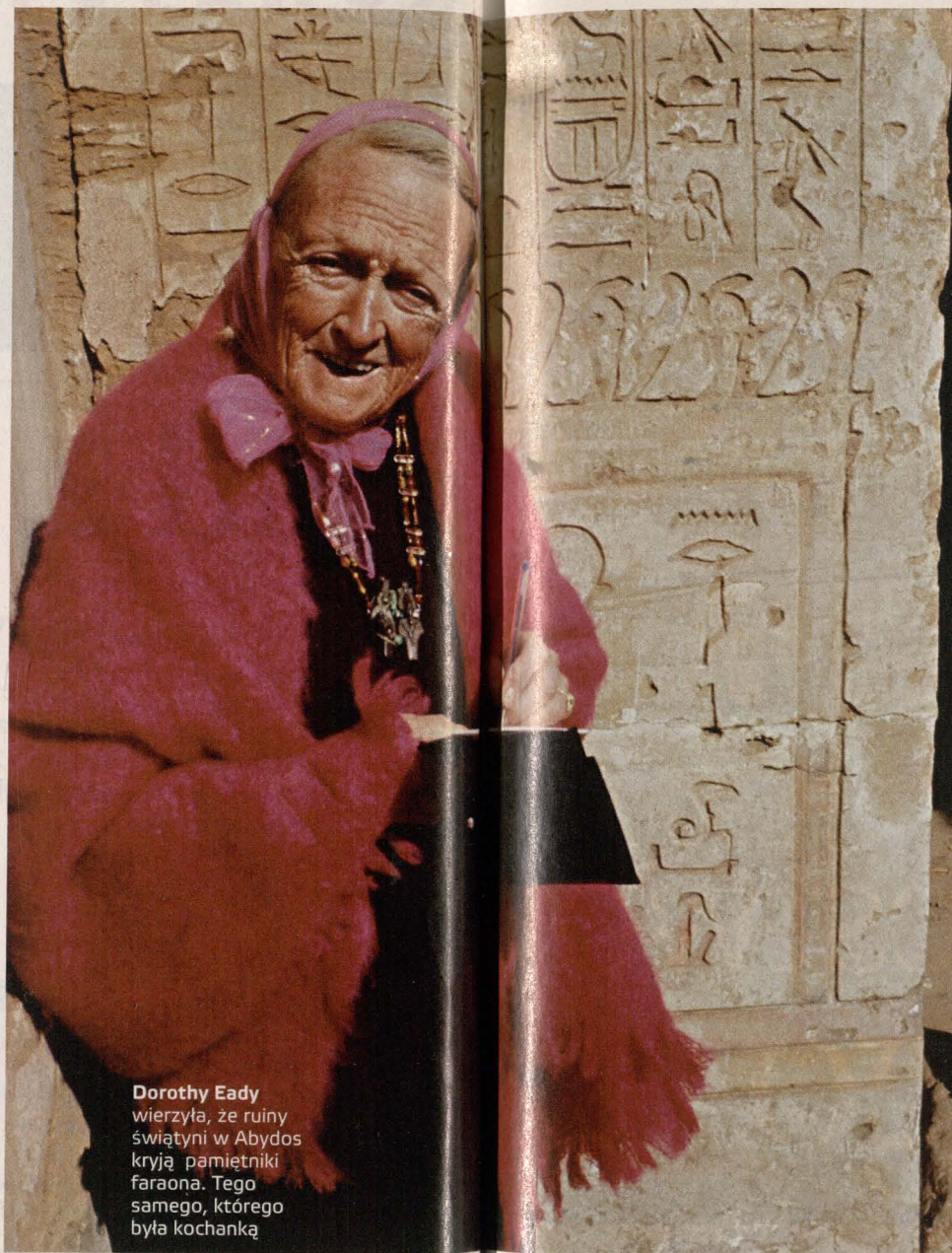
Fascynacja dziewczynki starożytną cywilizacją z delty Nilu zaczęła się już rok po wypadku. Gdy czteroletnia Dorotka weszła z rodzicami do sal Muzeum Brytyjskiego poświęconych dawnemu Egiptowi, znudzenie ustąpiło nagłemu ożywieniu. Podbiegała do posągów, kuciała i całowała kamienne stopy faraonów. Od mumii nie chciała odejść. Rodzice, wyciągając pociechę siłą, usłyszeli: „Zostawcie mnie tutaj, to są moi ludzie!”.

Zainteresowanie Dorothy kolekcją egipską w londyńskim muzeum dostrzegł jej kurator sir E.A. Wallis Budge. Nauczył dziewczynkę odczytywać hieroglify. Ona sama zwykła utrzymywać, że tylko je sobie „przypomina”. Później twierdziła, że od 14. urodzin zaczął ją odwiedzać w snach starożytny władca Egiptu Seti I (rządził w latach 1294–1279 przed naszą

erą). Zanim jednak zadamy pytanie, dlaczego faraon miałby odwiedzać pośmiertnie młodą Angielkę, przypomnijmy, że w czasach młodości Dorothy Eady wiara w reinkarnację i wszelkiego rodzaju praktyki spirytystyczne nie była w Europie niczym nadzwyczajnym. Przeciwnie. Z powagą powoływano się na poglądy madame Heleny Bławatskiej, okultystki, założycielki Towarzystwa Teozoficznego, a zarówno elity, jak i mieszczenie lubili pogwarzyć z duchami przy wirujących talerzykach. Taki był duch epoki.

W pamiętnikach Dorothy Eady tłumaczy, dlaczego faraon Seti I – ojciec Ramzesa II zwanego Wielkim – nawiedzał w snach właśnie ją, inkarnację kapłanki Izydy. Powód stary jak świat. Otóż w pachnących jaśminem ogrodach świątyni w Abydos w Środkowym Egipcie władca wypatrzył ją i uwiódł. Romans nie trwał długo – personel świątyni zauważył, że kapłanka nie oddaje się wyłącznie swojemu bogu. W celu uniknięcia skandalu Benteszyt – bo takie imię Dorothy Eady przypisuje kapłance, którą, jak wierzy, kiedyś była – w wieku 14 lat popełniła samobójstwo.

Eady bardzo pragnęła odwiedzić Egipt. Udała się tam w 1933 roku, w wieku 29 lat. Być może chęć spełnienia marzenia o podróży nad Nil miała jakiś wpływ na to, że przyjechała oświadczyć wieloletniego przyjaciela, aktywisty politycznego z Kairu imama Abdela Meguida – wcześniej odprawiała z kwitkiem wszystkich absztyfikantów. Sielanka nie trwała długo. Małżonek nie rozumiał, że dla połowicy ważniejszy odeń jest Egipt. A dla Dorothy rola gospodyni domowej nie była szczytem marzeń. Mimo że para doczekała się potomka – matka nazwała synka Seti – małżeństwo rozpadło się już po trzech latach.



Dorothy Eady wierzyła, że ruiny świątyni w Abydos kryją pamiętniki faraona. Tego samego, którego była kochanką

Poślubiona Egipcjowi

Tuż po przyjeździe do kraju faraonów Eady rozpoczęła pracę w Egipskiej Służbie Starożytności. Początkowo wykonywała rysunki dla wybitnego egipskiego archeologa profesora Selima Hassana podczas wykopalisk w Gizie. W tych latach Dorothy Eady była aktywna na wielu frontach – pisała do gazet, prowadziła bogate życie towarzyskie, współpracowała z licznymi archeologami (miedzy innymi redagowała ich teksty przed publikacją). Oprócz profesora Selima Hassana byli wśród nich egiptolodzy amerykańscy i angielscy. Jednak nazwisko Eady rzadko pojawiało się potem na kartach ich książek.

cowitą i ambitną. Zdaniem eksperta od Abydos profesora Williama K. Simpsona, który znał osobiście panią Eady, mimo że nie była ona z wykształcenia egiptologiem, jako samouk posiadała szerszą wiedzę z zakresu sztuki i filologii egipskiej niż niejeden specjalista.

Abydos – czyli dom

Zaskakujące, że przez 19 lat pobytu w Egipcie Eady ani razu nie udała się do „domu”, czyli świątyni Setiego I w Abydos. Dlaczego? Przecież to był cel jej podróży. We wspomnieniach tłumaczyła: „Obawiałam się tego momentu”. Można to zrozumieć, przecież tam „straciła swoje poprzednie życie”.

W 1952 roku Dorothy Eady w końcu udała się, jak to sama określiła, na pielgrzymkę. Zrobiła to w swoim stylu. Pociąg z Kairu zatrzymał się w miejscowości Baljana. W dalszą drogę miała wyruszyć taksówką. Nie wytrzymała. Ostatni, kilkunastokilometrowy dystans pokonała pieszo, wkraczając do Abydos już w świetle księżyca. Próg świątyni przekroczyła natychmiast po przybyciu na miejsce – oczywiście boso, gdyż postępowała, jak twierdziła, według starożytnego kodeksu.

Powróciła do Kairu z silnym postanowieniem, że Abydos będzie jej domem. Chciała na stałe zamieszkać przy świątyni. Dopiero w 1956 roku, dzięki wsparciu doktora Ahmeda Fakhry'ego – znanego egipskiego badacza piramid – otrzymała tam posadę rysowniczką. W Abydos nie było energii elektrycznej, bieżącej wody, ale to nie zniechęciło Eady.

Zakęcie na węza

Po zamieszkaniu tuż obok świątyni Dorothy Eady nadal współpracowała z Egipską Służbą Starożytności. Jeszcze w tym samym roku rozpoczęła mozolne opisywanie, opracowywanie i wreszcie tłumaczenie około 3000 inskrybowanych pismem hieroglificznym kamiennych fragmentów licowania świątyni, a także straszkanych kolumn wydobytych w czasie nowych wykopalisk. Skończyła pracę po dwóch latach. Wyniki opublikowała wspólnie z Edouardem B. Ghazoulim – szefem zabytków w Środkowym Egipcie – w oficjalnym periodyku Najwyższej Rady Starożytności „Annales du Service des Antiquités de l'Égypte”.

W tradycji arabskiej nie nazywa się kobiet ich własnym imieniem. Gdy Eady zamieszkała w wiosce, określano ją imieniem jej syna: Omm Seti, czyli Matka Setiego. Miejscowi obawiali się Omm Seti przekonani, że zna się na magii. To nie dziwi – egipscy chłopci, fella-chowie, są przesądni. Dziwi natomiast, że Eady dała im powód: używała zaklęć z Tek-

stów Piramid (najstarsze teksty umieszczone w piramidach egipskich w czasach późnego Starego Państwa i Pierwszego Okresu Przejściowego). Twierdziła, że dzięki nim wyleczyła impotencję sąsiada – niestety, Drodzy Czytelnicy, nie wytropiliśmy, którego z zaklęć użyła – i przegoniła niejedną kobrę.

Mieszkając z dala od cywilizacji, Eady mogła wreszcie żyć, jak chciała. Obwieszona starożytnymi amuletami, w tym krzyżem anch (hieroglif oznaczający życie), wzbudzała zdziwienie turystów i współmieszkańców. Wszyscy wspominają ją jako pełną energii i nie-skończonego entuzjazmu ekstrawertyczkę.

Co jeszcze kryją ruiny?

W 1969 roku Dorothy Eady przeszła na emeryturę. Nie chciała się przenieść ani do Kairu, ani do syna w Kuwejcie, choć oferował wygody w ekskluzywnym mieszkaniu z klimatyzacją. Wolą pozostać w domu w Abydos – wykonanym z suszonej cegły, bez łazienki ani bieżącej wody. Oprawdzała turystów, sprzedawała własne rękodzieło. Czując zbliżający się koniec, na podwórku domu postawiła grobowiec. Posiadał wszelkie elementy typowej staroegipskiej mogiły, między innymi ślepe wrota – kamienną płytę, przy której należało składać żywność dla zmarłego czy imitacje figurek uszebti (miniaturowi słudzy zmarłego). Przyjaciółka podarowała jej sarkofag, który Dorothy przed śmiercią „przymierzyła”. Uznała, że jest bardzo wygodny.

Zmarła 30 lat temu, w 1981 roku. Jej ciało nie złożono w grobowcu na podwórzu ani na mułmańskim czy też chrześcijańskim cmentarzu – wyznawała przecież wiarę starożytnych Egipcjan. Spoczęła na pustyni za świątyniami Setiego I i Ramzesa II.

Dorothy Eady nikogo nie pozostawiała obojętnym. Jej przeświadczenie o poprzednim wcieleniu, temperament i lekceważenie konwenansów budziły kontrowersje, ale nikt nie kwestionuje jej dorobku egiptologicznego i redaktorskiego. Przyjaźniła się z licznymi wybitnymi naukowcami.

Zostawiła po sobie nietypowy testament. Jej zdaniem świątynia Setiego I kryje skrytkę z dokumentami zapisanymi przez kapłanów, a nawet, być może, pamiętniki władcy – w co uwierzyć tym trudniej, że nie zachowały się żadne literackie zwierzenia faraonów. Archeologowie tak czy owak będą kontynuować badania w Abydos. Kto wie – być może niektórzy z cichą nadzieją, że zwirowana Angielka miała jednak rację. Tylko który egiptolog przyzna się, że szuka skrytki zainspirowaną inkarnacją kochanki faraona?

FOR: Topham/Forum



Zepsute królestwo Jerzego

11 marca na ekrany wchodzi „Jeź Jerzy”. Choć łamiący tabu film już bulwersuje, jest szansą na naprawę rynku polskiej animacji. I ściągnięcie do kin ignorowanej przez producentów młodzieży

KAROLINA PASTERNAK

Jeź Jerzy to bohater jedyny w swoim rodzaju. Nie dlatego, że tytułowa postać komiksów Rafała Skarżyckiego (scenariusz) i Tomka Leśniaka (rysunki) jest z nami już od 1996 roku, kiedy pojawiła się po raz pierwszy na łamach czasopisma „Ślizg”. I nie dlatego, że to najbardziej niebohaterski bohater literacki, jakiego zrodziła rodzima twórczość komiksowa. Bo co takiego robi Jeź Jerzy? Pije, pali jointy, jeździ na deskorolce, a jego jedynym celem życiowym jest spędzanie czasu w jak najprzyjemniejszy sposób. Choć też, przyznajmy, w sposób nieszkodliwy dla otoczenia. No i Jeź Jerzy jest najbardziej absurdalną mniejszością w Polsce: mniejszością jednoosobową. Niby jeź, ale żyje między

ludźmi, niby zwierzę, ale gada. I właśnie z pozycji jedyne reprezentanta uciskanej przez większość mniejszości Jeź Jerzy, a tak naprawdę autorzy komiksowych historii o nim, mogli w ostatnich 15 latach przyglądać się grupom w Polsce dominującym i je opisywać. Z pazurem i ironią.

Skandalista Jeź Jerzy

W serii pojawiali się więc dresiarze, honorowi członkowie Młodzieży Wszechpolskiej, babacie w moherowych beretach, skinheadzi, populistyczni politycy. Była tam Polska zafascynowana tanią, kiczowatą rozrywką i Polska pijacków czekających na ćwiartkę lub piwo pod nocnym sklepem z alkoholem. Jako że



Niby chłopak z lasu, ale z nowymi technologiami za pan brat. Jeź Jerzy rzuca mięsem przez komórkę

Skarżycy i Leśniak nie mieli w pokazywaniu takiej Polski nawet najmniejszych zahamowań, serię od poprawności politycznej dzielą lata świetlne. Dziewczyny w zepsutym świecie Jeża Jerzego są puszczalskie, a fani Piwnicy pod Baranami to życiowi nieudacznicy. Na porządku dziennym są siarczyste przekleństwa, objęte w polskiej kulturze masowej tabu absolutnym seks i goliźnia, a także, w przekonaniu przeciwników komiksu najbardziej bulwersujące i niskie, bo pokazane dosłownie, odruchy fizjologiczne. Na przykład, mówiąc dosadniejszym językiem autorów komiksu i filmu, rzyganie.

Nic więc dziwnego, że pomysł przeniesienia „Jeża Jerzego” na ekran od początku budził kontrowersje. Zanim jeszcze ktokolwiek zobaczył film, jego zwiastun ze swojego serwisu nakazały usunąć władze YouTube – za „propagowanie treści skandalizujących”. YouTube zbulwersowały prawdopodobnie pojawiające się w filmiku nagie kobiece piersi i dmuchające

lale unoszące się nad budynkiem Sejmu. Z jakiego powodu tam się unosiły, wolimy nie zdradzać, bo zepsuilibyśmy zabawę tym, którzy mimo wszystko nie boją się skandalu i wybiorą się na „Jeża Jerzego” do kina.

Mimo że na świecie animacje rządzą w zestawieniach box-office’u, w Polsce jeszcze nikomu nie udało się udowodnić, że ten gatunek może być opłacalny

Gdy YouTube uznał, że „treści skandalizujące” mają jednak prawo pojawiać się w animowanym filmie, bo użyto ich do celów artystycznych, zwiastun wrócił do serwisu, gdzie od momentu wybuchu całej afery jest oczywiście, jak pokazują statystyki, dużo częściej oglądany.

Dlaczego premiera „Jeża Jerzego” budzi takie emocje? Bo czym innym jest przekraczanie granic tabu i politycznej poprawności w niszowym komiksie, czym innym zaś w popularnym kinie. Tyle że ekranizacja serii Rafała Skarżycykiego i Tomka Leśniaka to film na polskim rynku pionierski nie tylko dlatego, że w co drugim zdaniu padają tu z ekranu wulgaryzmy. „Jeź Jerzy” to jedyna obok nieudanego „Tytusa, Romka i A’tomka wśród złodziei marzeń” (2002) rodzima ekranizacja komiksu (na świecie ten gatunek jest przecież szalenie popularny, patrz „Superman”, „Batman” i zastępy innych przeniesionych z obrazkowego medium bohaterów) i pierwsza profesjonalna animacja pełnometrażowa. A co za tym idzie, to jedyna polska animacja, która doczekała się regularnej dystrybucji w kinie. Co jest

o tyle ważne, że choć sukcesów w dziedzinie animacji mamy mnóstwo (wymieńmy tylko nominację do Oscara dla „Katedry” oraz statuetkę dla zrealizowanego przez Se-Ma-For „Piotrusia i wilka”), a naszych animatorów ściągają do Stanów największe studia animacyjne (w Hollywood pracują Grzegorz Jonkajtys, Piotr Karwas), przeciętny widz wie o naszej animacji niewiele, bo krótkie metraże udostępniane przez twórców jedyne w Internecie giną tam w zalewie innych treści.

„Jeź Jerzy” ma zatem szansę naprawić polski rynek animacji i pokazać, że rodzime produkcje z tego gatunku mogą rządzić nie tylko na festiwalach, ale też w kinach.

A biorąc pod uwagę niecodzienne warunki, w jakich ten film powstawał, byłby to nie lada wyczyn.

Natarczywa czternastka

Nad półtoragodzinnym filmem wykonanym w piekielnie czasochłonnej technice animacji wycinankowej (najpierw rysuje się postaci na papierze, a później animuje je komputerowo) ekipa „Jeża Jerzego” pracowała trzy lata. – W USA pełnometrażową animację taką jak nasza też robi się średnio trzy lata, ale siłami co najmniej setki osób – mówi „Przekroju” Wojtek Wawszczyk, jeden z reżyserów „Jeża Jerzego”, animator, który przez lata pracował w Hollywood, między innymi nad superprodukcją „Ja, robot”. – Nas było 14. Malarze, rysownicy, reżyserzy filmów krótkometrażowych. Zespół prawdziwych indywidualistów! Choć założenie było takie, żeby trzymać się jak najbliżej estetyki pierwowzoru, kreski Tomka Leśniaka, każdy starał się dodać coś od siebie, poczuć się autorem – dodaje z uśmiechem Wawszczyk. – I choć wszyscy mieliśmy na koncie sukcesy we własnych dziedzinach, na planie pełnometrażowej fabuły byliśmy debiutantami – tłumaczy nam Rafał Skarżycycki, który przygotował scenariusz.

Ostatecznie animacja pochłonęła milion euro (część dał PISF, część koprodukcji: Paise Films, Film Produkcja, Warszawska Szkoła Filmowa), ale jej początki bardziej niż profesjonalną produkcję przypominały robótki chałupnicze. – W drugim miesiącu pracy nie mieliśmy nawet studia z prawdziwego zdarzenia, a wszystkie efekty zapisywaliśmy na dysku zewnętrznym. Raz ktoś pociągnął za kabel, dysk się odłączył i rozwalił. Dwa miesiące pracy przepadły! – wspomina Wawszczyk. – Całe szczęście nie daliśmy się technologii. To jest rękodzieło, komputer był dla

→ nas tylko czymś w rodzaju ekwiwalentu kamery. Film animowany wymaga cierpliwości, to nie jest sprint, to maraton. Choć już pierwszego dnia chciałbyś wiedzieć, jak się skończy, nie wolno pędzić, bo jeśli zgrzejesz się za bardzo, nie masz szans zobaczyć mety – dodaje.

Na skróty chcieli iść natomiast wszyscy producenci, którzy zgłaszali się do autorów popularnego komiksu z propozycją jego ekranizacji już od dobrych kilku lat. – Chcieli na przykład, żebyśmy z naszego komiksu zrobili film aktorski – mówi „Przekroju” Tomek Leśniak. W ekranizacji „Jeża Jerzego” pojawiają się wprawdzie znane nazwiska: Borys Szyc jako Jerzy, Maria Peszek jako Yola, Maciek Maleńczuk jako Dziwka, ale nie jako aktorzy filmowi, lecz dubbingowi, tylko podkładający głosy. – Przeniesienie „Jeża Jerzego” ze świata rysunków na aktorski plan filmowy przekreśliłoby całą umowność świata przedstawionego – tłumaczy Leśniak, który w filmie wcielił się w rolę reżysera. – Dopiero Maciej Ślesicki i jego firma produkcyjna Paise Films dali nam pełną swobodę twórczą. Wzięli „Jeża Jerzego” z całym dobrodziejstwem inwentarza – śmieje się Rafał Skarżycki.

– Rozumiem zachowawczą postawę producentów, którzy przychodzili do chłopaków przed Ślesickim. Mimo że na świecie pełnometrażowe animacje rządzą w zestawieniach box office’u, w Polsce nikomu jeszcze nie udało się udowodnić, że ten gatunek może być opłacalny. Festiwalowe sukcesy polskich animacji krótkometrażowych nigdy nie przełożyły się na ich sukces komercyjny – mówi Wojtek Wawszczyk.

„Jeż Jerzy” może osiągnąć taki sukces z jednego ważnego powodu. Grube, fekalne żarty w wykonaniu pojawiającego się na ekranie kłonu głównego bohatera mogą nie przypaść do gustu widzom dorosłym, za to z dużym prawdopodobieństwem spodobać się nastolatkom, którym polscy producenci filmowi do tej pory nie mieli dosłownie nic do zaoferowania.

Jerzy – idol młodzieży

Znakomite filmy dla dzieci robi w Polsce Andrzej Maleszka („Magiczne drzewo”), polskim nastolatkom pozostają zaś jedynie produkcje historyczne albo ekranizacje książek ze szkolnego kanonu. Bo jeśli film powstaje na podstawie lektury albo dotyczy sprawy narodowej, zobaczenie go staje się oczywiście obowiązkiem. Jednak wrażenia ze szkolnych wycieczek do kina zazwyczaj są niestety bliższe przejściu różyczki albo ospy, które po pro-



Jeż buszujący w zbożu, a z nim Polityk. Podobieństwo do prawdziwych osób nie jest przypadkowe

stu trzeba odchorować, niż jakiegokolwiek przyjemności.

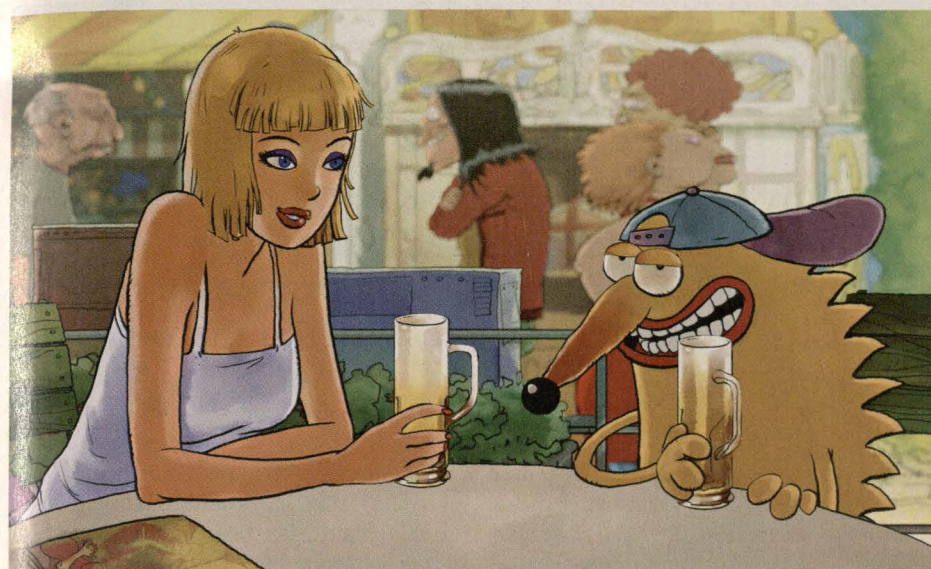
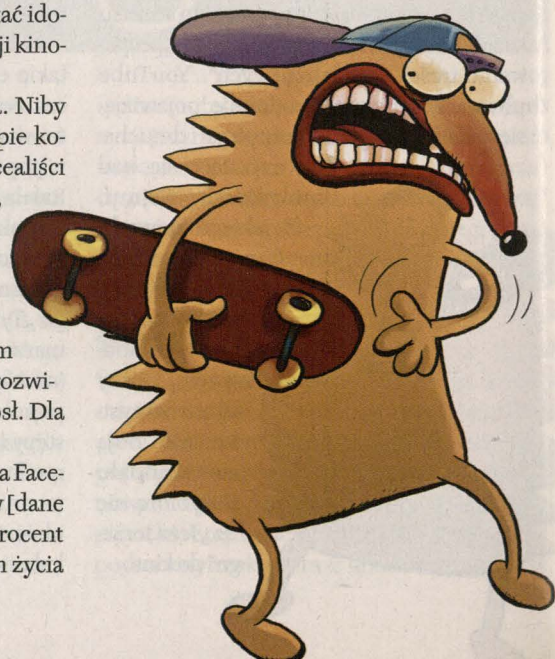
„Jeż Jerzy” to w tym pejzażu nowość. Kusi „zakazanym owocem”, plotka, że pojawiają się tam „dorosłe” żarty i seks. Jednocześnie fanów komiksów Skarżyckiego i Leśniaka jest na tyle dużo, że razem z tym odium skandalu ciągnie się za „Jeżem...” opinia, że nie jest to tylko pusta sekwencja bijatyk i żartów spod bloku adresowanych do dresiarzy, lecz naszpikowany satyrą, ironią i poczuciem humoru komentarz do naszej niewesołej rzeczywistości. Tyle że sprzedany nie w otocze publicystycznej, jak to bywa w naszym kinie (patrz wykoncypowana „Sala samobójców”), lecz w pop-kulturowej. Przede wszystkim jednak „Jeż Jerzy” ma coś, co nastolatków pociąga najbardziej – samego Jeża Jerzego, czyli bohatera, który ma wszystkie cechy, by zostać idolem młodzieży (tym bardziej że w wersji kinowej mówi głosem Borysa Szycy).

– To typowy przykład Piotrusia Pana. Niby zachowuje się jak szczeniak, ale czerpie korzyści z dorosłego życia, o których licealiści mogą tylko pomarzyć. Nie wiadomo, czy pracuje, ale pieniądze na rzeczy podstawowe, czyli na przykład na piwo, zawsze jakoś znajdzie – tłumaczy „Przekroju” jego ojciec Rafał Skarżycki. – Piszę tę serię od 16 lat, w tym czasie Jerzy poważnie się zmieniał, rozwijał, ale nigdy się nie postarzał, nie dorósł. Dla niego minął może rok – dodaje.

– Prowadzę „Jeżemu Jerzowi” profil na Facebooku. Na nieco ponad 30 tysięcy fanów [dane z 4 marca tego roku – przyp. red.] 80 procent stanowią osoby między 15. a 25. rokiem życia

i między 25. a 35. Na każdy z tych przedziałów wiekowych przypada niemal równo po 40 procent – mówi Wojtek Wawszczyk.

To, że Jerzy ma zagorzałych fanów wśród 30-latków, jest zrozumiałe – to pokolenie w pewnym sensie na nim się wychowało. Ciludzie jako nastolatki kupowali kolejne odcinki najpierw w „Ślizgu”, później w postaci niezależnych albumów. Dorastali razem z jego autorami, którzy swoją przygodę z Jeżem Jerzym także zaczęli przecież... w liceum. – Jeż Jerzy narodził się z nudów – opowiada „Przekroju” Rafał Skarżycki. – Jako 17-latek pojechałem z rodzicami na działkę. Wziąłem ze sobą tylko jedną książkę, „Smoka i Jerzego”, która zupełnie mi się nie podobała. Ponieważ z mojego ulubionego wtedy komiksu „Tytus, Romek



Jeż Jerzy z kochanką Yolą, której głos podkłada w filmie Maria Peszek

i „Tomek” dzięki zamieszczonej tam instrukcji nauczyłem się, jak narysować jeża, zacząłem szkicować komiks o nim. Od razu uświadomiłem sobie, że niestety w rysunkach ktoś będzie musiał mi pomóc – dodaje, śmiejąc się. – Z Rafałem chodziliśmy do jednej klasy. Któregoś dnia pochwalił mi się w szkole, że zaczął rysować komiks. O jeżu, który walczy ze smokiem, tyle że ten smok nie wygląda jak smok, tylko jak smoczek dla dzieci. „Fajne”, powiedziałem, „ale fatalnie narysowane”. I tak to się zaczęło – kontynuuje opowieść Tomek Leśniak. – To była wpadka, ale w stu procentach pozytywna – podsumowuje narodziny pomysłu na „Jeża Jerzego” Skarżycki.

Pierwszy kryzys spowodowany monotonią pracy Skarżyckiego przeżył po trzecim albumie. Kolejnych nawet nie pamięta. A mimo to wciąż wracał do pisania i teraz zapowiada, że po premierze filmu też tego nie zarzuci. – Tu nawet nie chodzi o naciski ze strony czytelników, fanów, choć one oczywiście także są. Ja po prostu uzależniłem się od pisania tego komiksu. W ten sposób odreagowuję rzeczywistość, komentuję to, co mnie w niej denerwuje, a co po prostu śmieszy – tłumaczy Skarżycki.

A że wciąż siedzi w nim przekora 17-latek, który pewnego razu nudził się na działce, komentarze są nadal tak samo zwariowane, choć jeszcze bardziej niepoprawne politycznie.

Rzeczywistość jest gorsza

– Na sto procent znajdzie się grupa ludzi do głębi urażonych naszym filmem – przyznaje Wojtek Wawszczyk. – Ale tak jest przecież z każdą szczercą i uczciwą wypowiedzią pu-

bliczną. Kompletnie nie obchodzi nas tylko to, co gładkie i wykoncypowane – dodaje.

– Nie staraliśmy się przecież na siłę sprokować rozgłosu z Torunia – śmieje się Jakub Tarkowski, reżyser. – Nie chcę, żeby to zabrzmiało butnie, że niby porównuję się do wielkiego pisarza, ale ja, wymyślając „Jeża...”, stosuję metodę Bukowskiego – nigdy nie siłę się na wulgarność, czekam po prostu, aż sama przyjdzie – tłumaczy Skarżycki. – Komiks był dosadny, wulgarny, więc taki jest też film. Nie narzucaliśmy sobie żadnej autocenzury i uważam, że ekranizacji to tylko dobrze zrobiło – dodaje Leśniak.

Kulminacyjnym momentem w kinowej wersji przygód Jeża Jerzego jest scena, w której jego klon wykonuje na Stadionie Narodowym przed milionami Polaków swój popisowy numer, czyli puszczenie bąków w rytm muzyki.

Wawszczyk: – A czy w Polsce nie mamy takich „koncertów”, na których występują ludzie, którzy zupełnie nie mają pojęcia ani o muzyce, ani o śpiewaniu? To jest ekranizacja komiksu, więc wszystko jest przerysowane, ale nie wzięliśmy tych metafor z sufitu.

Tarkowski: – Wiesz, co było najzabawniejsze? Gdy mieliśmy już gotowy scenariusz, a w nim tego obrzydliwego kłona Jeża Jerzego, który robił karierę na pierdzeniu w rytm muzyki, okazało się, że coś takiego naprawdę się wydarzyło. Na eliminacje do brytyjskiej edycji „Mam talent” zgłosił się gość, który wypierdzał na wizji do milionów ludzi przed telewizorami walc Straussa. W obliczu tego, z czym się stykamy w prawdziwym życiu, nasz film to naprawdę pikus. ●

REKLAMA



5 lutego 2011 odbył się, w Auli Politechniki Warszawskiej

13 CHARYTATYWNY BAL DZIENNIKARZY

Dochód z balu zostanie przekazany na dożywianie dzieci w szkołach najbardziej dotkniętych zeszłoroczną powodzią.

Serdecznie dziękujemy
FUNDACJA CHARYTATYWNY BAL DZIENNIKARZY

partnerzy:



sponsorzy:



patroni medialni:



podziękowania dla:



Kino nowej przygody

W „Italiani” główną rolę gra słynny reżyser teatralny Krzysztof Warlikowski, który nie wypowiada ani jednego słowa. Nakręcony podczas wakacji w Toskanii film trwa tylko godzinę, lecz prace nad nim prowadzono przez cztery lata. Choć to szaleństwo, jest w nim metoda

MAŁGORZATA SADOWSKA

Uważam, że nie wolno robić nudnych filmów. Filmy mogą być wolne, ale nie nudne – mówi reżyser Łukasz Barczyk („Patrzę na ciebie, Marysiu”, „Nieruchomy poruszyiciel”). I zgodnie z tą zasadą nakręcił „Italiani”. Owszem, wolną, lecz na pewno nie nudną opowieść, dla której punktem wyjścia jest historia Hamleta. To ten rodzaj kina, którego ze świecą szukać w Polsce – eksperymentującego, poszukującego, takiego, któremu patronują raczej Grzegorzek, von Trier czy Tarr (Węgier, który w Berlinie pokazał przeszło czterogodzinny film składający się z 39 ujęć. I wszystkim opadły szczęki z zachwytem) niż Piotr Weresniak i James Cameron. Zrobionego dla dorosłych (niezależnie od wieku) widzów, szukających w kinie nie tylko rozrywki, lecz także innej przygody.

Ten wstęp sprawił zapewne, że część czytelników cofnie się o kilka stron i będzie teraz czytać o najgorętszej polskiej premierze tygodnia, czyli „Jeżu Jerzym”. Tych, którzy zostali, zapraszamy za kulisy najbardziej intrygującej polskiej premiery – nie tylko tego tygodnia (11 marca „Italiani” wprowadza do kin Gutek Film).

Dom dusz

– To film, który nam się zdarzył na skrzyżowaniu bardzo wielu sytuacji. Nie byłbym w stanie zrobić go w inny sposób: napisać scenariusza, zaprosić wszystkich do współpracy, zabrać ich do Włoch i nakręcić tam „Italiani”. Bo żaden producent w Polsce by za to nie zapłacił; bo nie zebrałbym wszystkich moich aktorów do kupu. To musiał być ten moment, to miejsce. Rodzaj cudu – opowiada Barczyk.

Ów moment to wakacje przed przeszło czterema laty. Miejsce – Toskania, Montebamboli, posiadłość Donatelli Rauegi, gdzie zatrzy-

mała się grupka pracujących razem w teatrze przyjaciół. Właściwie przez przypadek (i to jest właśnie ten cud) do reżysera Krzysztofa Warlikowskiego, aktora Jacka Poniedziałka i scenografki Małgorzaty Szczęśniak dołączyli Łukasz Barczyk i operatorka Karina Kleszczewska.

Wszystkich urzekł pałac arystokratki Rauegi. – To dom stojący w odosobnieniu, otoczony dziką naturą, niesłychanie malowniczy i piękny, ale też mocno zniszczony przez czas. Ostatnie remonty miały tu miejsce dekady temu, pałac Donatelli jest miejscem zanurzo-

„Dlaczego Warlikowski? Bo jest piękny, bo jest mądry, bo jest magnetyczny, bo jest wyjątkowy. To kosmita w naszym świecie

ŁUKASZ BARCZYK

nym w przeszłości, pełnym kurzu – opowiada Jacek Poniedziałek.

Łukasz Barczyk zobaczył pałac nocą: – Jest dziwnie podzielony na pół, jakby niegdyś część rodziny mieszkała po jednej stronie, a część po drugiej. Oddzielają je zamknięte drzwi na końcu korytarza. Czuło się hamletowskiego ducha w atmosferze tego domu, konflikt wpisany w tę przestrzeń: że tu mieszkał wuj, a tu ojciec z matką. W części budynku nie ma elektryczności, oglądaliśmy wnętrza przy świetle latarki. Wtedy pomyślałem o filmie. Zobaczyłem ten pałac i w nim Krzyska.

Podniszczona stara posiadłość w „Italiani” staje się labiryntem, po którym poruszają się główni bohaterowie – pewna kobieta (Renate Jett znana z Nowego Teatru), jej mąż (Thomas Schweiberer, też grywał u Warlikow-

skiego), brat tegoż (Jacek Poniedziałek) oraz syn (Krzysztof Warlikowski), który powraca ze szkół na wieść o tajemniczej śmierci ojca (czyli Schweiberera). Duszna, mroczna historia o zdradzie, namiętnościach, rodzinnych relacjach i napięciu na granicy eksplozji to podróż do samego sedna emocji. Niby rzecz odsyła do lat 40., ale kostium jest tu rzeczą umowną. Aktorzy w tym samym wieku (Jett i Warlikowski) grają matkę i syna, nie chodzi bowiem Barczykowi o realizm, ale o najprawdziwszą prawdę ekranu. Tak jak w „Nieruchomym poruszyicielu” czy „Przemianach” Łukasz Barczyk ucieka od klasycznej narracji do mocnych scen, od słów do obrazów. Kapitalne zdjęcia Kariny Kleszczewskiej, przywołując rozmaite style i filmy, tworzą niesamowitą atmosferę, czasem jak z horroru, czasem jak z nostalgicznej opowieści o słonecznych latach dzieciństwa.

Znajdziecie tu jazdę rowerem po rozsłonecznionym lesie, cień mordercy sunący po ścianie, portret świata upadłej arystokracji, pielęgnującej resztki skarbów, namiętne uściski w mrocznych korytarzach.

– Swoim duchem „Italiani” przypomina mi kino Pasoliniego, również za sprawą aktorstwa Warlikowskiego – na poły amatorskiego, ale skrywającego w sobie tajemnicę – twierdzi Jacek Poniedziałek.

Temperatura rośnie

– I Krzysiek, i Łukasz lubią nazywać pewne sprawy ostro, otwarcie rozmawiać o tematach związanych z seksualnością, z ciałem, ze zmysłowością. Obaj lubią nacinać, jątrzyć rany – tłumaczy Poniedziałek.

Łukasz Barczyk dodaje, że od lat chciał zrobić film, w którym zagrałby reżyser „Burzy”, „Aniołów w Ameryce”, „(A)pollonii”. – I nagle miałem ten dom, Krzyska, a w głowie „Hamleta”. Obok mnie stali moja żona, Karina Kleszczewska, która jest operatorką, Małgosia



„Italiani” opowiada o miłości i innych demonach. Matka (Renate Jett) i syn (Krzysztof Warlikowski)

Szczęśniak, która jest scenografką, Jacek Poniedziałek, który jest aktorem.

Powiedziałem Krzyskowi o moim pomysśle, a on się zgodził.

Następnego dnia rano Krzysztof Warlikowski dostał wysokiej gorączki i Donatella zabrała go do szpitala. – Gdy wrócili, on nie miał temperatury, a ona już wiedziała, że chcemy zrobić film – mówi Barczyk. (Zanim jednak arystokratka udostępniła ekipie swój pałac, na tydzień zniknęła, by wygooglować swoich gości, czytać recenzje i ponoć dzwonić do polskiego przedstawicielstwa w Watykanie, aby upewnić się, że to poważni ludzie). – Uniikała nas przez tydzień – opowiada Łukasz Barczyk. – Potem obejrzała przywiezione z Polski „Przemiany” i „Na południe od granicy” i powiedziała: „Pałac jest wasz, róbcie, co chcecie”.

Dlaczego właśnie Warlikowski? – Bo jest piękny, bo jest mądry, bo jest magnetyczny, bo jest wyjątkowy. Jest trochę kosmitą w naszym świecie – tłumaczy swoją fascynację człowiekiem teatru człowiekiem filmu.

Napięcia związane z tym, że on sam jest reżyserem, pojawiały się, ale było jasne, że na planie „Italiani” jest aktorem. Miał trudną rolę, którą doskonale rozumiał, wiedział, co ma robić, wiedział, kiedy jest dobrze, kiedy źle; słuchał, proponował. Jeśli ta współpraca była inna, nowa, to dlatego, że Krzysiek jest wybitnym reżyserem teatralnym i dużo rze-

czy dostrzega z innej niż aktorzy perspektywy, widzi całość sceny, rozumie, jakie potencjalnie tworzą się konteksty, co znaczy kostium czy wybrany gest – nie tylko dla jego postaci, ale dla całego świata, jaki budujemy.

– Krzysiek miał kilka momentów załamania – zdradza jednak Jacek Poniedziałek. – „Łukasz ode mnie wymaga, on na mnie krzyczy, ja już nie mogę!” – mówił nam. – Na swój sposób przyjemnie było widzieć jego słabość, a przy okazji jeszcze większy podziw dla naszego zawodu. Oczywiście zawsze czujemy jego szacunek, ale bywa też obcesowy, zakłada, że aktorzy są leniwi, że nie chcą czegoś zrozumieć, że niewystarczająco się starają. Myślę, że z tego względu „Italiani” było dla niego bardzo ważnym doświadczeniem.

Dla fanów Warlikowskiego jego udział w filmie będzie ogromnym zaskoczeniem. To reżyser, który choć ma dziś status gwiazdy teatru, dość niechętnie wypowiada się i pokazuje. Tu nie tylko zdecydował się stanąć przed kamerą, ale jeszcze w kilku scenach staje przed nią nago.

W filmie Barczyka jest Hamletem, na poły chłopcem, na poły mężczyzną, uwikłanym w skomplikowaną grę z matką i ojczymem. W milczeniu toczącym swoją wojnę. – Kiedy Krzysiek wystawiał „Hamleta”, wyciągnął z niego to, co rodzinne. Ja w swoim spektaklu również sięgałem do tej sfery znaczeń. I dla

mnie, i dla niego to jest właśnie jądro „Hamleta”, choć sam tekst utrudnia dostęp do takiego odczytania – tłumaczy Barczyk.

Jego zdaniem nie da się dobrać do „Hamleta”, idąc w klasyczną narrację. By sięgnąć do jądra szekspirowskiego dramatu, zrezygnował niemal całkowicie z dialogów. – Gdybyśmy zrobili film z dialogami, nie byłby to już „Hamlet” o rodzinie, pożądaniu, kazi-rodztwie. A ja chciałem ujawnić te wątki i rozwiązać je.

I wespół w zespół

Pierwsza (i ostatnia) scena „Italiani”: para na włoskiej plaży, późne popołudnie. Ona (Jett) na wózk, on (Warlikowski) obok. Pograżeni w rozmowie. – Wyobraziłem sobie, że widzę taką parę jak Krzysiek i Renate w pierwszej scenie „Italiani”: ludzi, których trudno jest jednoznacznie przyporządkować, zakwalifikować. Czy to para? Może matka z synem? Przyjaciele? Rodzeństwo? – mówi Łukasz Barczyk. – I to był klucz. Cały film jest opowieścią o tym, co łączy tych dwoje.

Ale to także portret innych „Italiani”, ludzi, którzy w Polsce uprawiają sztukę zgola „niepolską”, ludzi, którzy sami tworzą rodzaj niekonwencjonalnej rodziny. Film Łukasza Barczyka nieustannie przekracza granicę prywatności, choć na pewno nie czyni tego wprost. – Ten film utrwała ich jako grupę bliskich sobie osób – przyznaje reżyser. – Kiedy oglądamy scenę, w której Jacek przytula Krzyska, mówiąc: „Teraz musimy trzymać się razem”, czuje się, że tych facetów wiele łączy. Ale choć wyszliśmy od prywatnej sytuacji, choć pozwoliliśmy sobie na otwartość, nie jest to prywatny film, tylko jak najbardziej profesjonalne przedsięwzięcie.

Dla tego filmu „rodzina” (przyjaciele? znajomi z teatru?) poświęciła swoje wakacje. Przyjechali jeszcze w lutym, już z większą ekipą, dokręcić brakujące sceny. Łukasz Barczyk i Karina Kleszczewska wracali do Toskanii jeszcze kilka razy, filmowali już bez aktorów.

– Nie wiedzieliśmy, kiedy to się skończy i czy w ogóle się skończy – uśmiecha się Jacek Poniedziałek. Wreszcie, po czterech latach pracy powstał godzinny film: intrygujący, oryginalny, bezczelny. – Jego bezczelność polega na tym, że on się nie zajmuje światem – mówi Łukasz Barczyk. – Nie rozglądam się dookoła, patrzę tylko do środka.

Zajrzyjcie więc i wy do środka i przekonajcie się na własne oczy, co to za jedni, ci „Italiani”, i co za kino przywieźli z ziemi włoskiej do Polski. W końcu cokolwiek byśmy o tym filmie napisali, będą to tylko słowa, słowa, słowa. ●

Ściany na sprzedaż

Pierwsza młotkowa aukcja polskiego street artu. 15 marca w Rempeksie będzie można się przekonać, ile są warte krajowe murale

JACEK TOMCZUK

Nie byłem pewna ich reakcji, która się z subkulturą, undergroundem, nie wiedziałam, jak zareagują na hasła: aukcja, galeria, sprzedaż prac... Ale wszyscy byli chętni do współpracy, nikt nie odmówił – mówi Joanna Dziewulska, kuratorka aukcji. Zaprosiła 25 artystów, wystawiła na sprzedaż ponad 50 prac, ceny wywoławcze – od 400 złotych do pięciu tysięcy.

Co jest pracą w street artcie? Głównie płótna, deski, płyty pilśniowe z projektami murali, ilustracjami artystów, którzy zazwyczaj malują na ścianach. Na Zachodzie do domów aukcyjnych trafiają także całe rozebrane mury z namalowanymi na nich obrazami. Trzy lata temu właściciel ściany, na której kiedyś Banksy stworzył w Londynie swój obraz, na eBayu sprzedał ją za 208 tysięcy funtów.

W Polsce rynek street artu dopiero się tworzy i nikt nie zna komercyjnego potencjału artystów tworzących na ulicach. Działają tylko dwie galerie. Istniejące od 2007 roku na warszawskiej Pradze Viuro sprzedaje bardzo nieregularnie – czasem kilka prac miesięcznie, a potem przez pół roku żadnej. – Reprezentujemy sześciu artystów, ich dzieła sprzedajemy głównie kolekcjonerom z zagranicy. Ale, co bardzo nas cieszy, jest też rosnąca grupa odbiorców w Polsce – mówi Adam Zachciał z internetowej galerii Zero Zer i zapowiada otwarcie galerii w realnej przestrzeni.

Ceny? Umowne, zaczynają się od kilkuset złotych. Na razie najwyższa cena, jaką osiągnęła praca polskiego artysty streetartowego na aukcjach, to 19 tysięcy funtów. Właśnie tyle zapłacono na londyńskiej aukcji Phillips de Pury za czaszkę „For the Laugh of God” autor-



5000 złotych – cena wywoławcza pracy „390” Mariusza Warasa, znanego bardziej jako M-City...



...tyle samo trzeba będzie zapłacić za „Hurt” Zbioka, czyli Sławomira Czajkowskiego

stwa Petera Fussa. M-City, najbardziej znany na świecie polski streetartowiec, swe prace sprzedaje głównie na Zachodzie. – Mam marzandę w Mediolanie, kiedyś zaprosił mnie do siebie na parę dni, bym namalował u niego kilkanaście obrazów, chciał mieć czym handlować. Wyszło to taniej, niż gdybym malował u siebie i wysyłał mu je kurierem, ubezpieczał... Zasadniczo przelicznik jest prosty. Jeżeli na Zachodzie sprzedaje za pięć tysięcy euro, to w Polsce za pięć tysięcy złotych – mówi.

– Wiele osób mówi, że za wcześnie robimy tę aukcję, że jeszcze nie ma chętnych do kolekcjonowania takiej twórczości. Jeżeli sprzeda się 30 procent prac, uznaję to za sukces. Zawsze ktoś musi być pierwszy – opowiada Piotr Lengiewicz, prezes Rempeksu. Innego zdania są sami artyści. Balon z napisem „street art” został już napompowany do granic wytrzymałości, zarówno na świecie, jak i w Polsce. – Jeżeli nie będzie z tego konfitur teraz, to już chyba nigdy – mówi. Przyznają też, że boom na street art także nad Wisłą jest zasługą Banksy’ego. Bez sukcesu artystycznego, komercyjnego i medialnego Anglika ta dziedzin sztuki pozostawałaby na obrzeżach zainteresowań galerii i prestiżowych instytucji.

Bitwa warszawska i Chopin

Dziś wszyscy, którzy chcą uchodzić za naddających za światowymi trendami, wyciągają rękę w kierunku sztuki ulicy. Miasta zamawiają mural ku pamięci jakiejś rocznicy historycznej (bitwa warszawska, powstanie Solidarności), agencje reklamowe chcą zainteresować młodych konsumentów. Nawet TVN zaangażował do swojej kampanii legendę polskiej sceny Zbioka. – Oczywiście w śro-

dowisku wciąż trwają rozmowy o tym, jakie zamówienie można przyjąć, a jakiego nie, obarczając się inwektywami tych, co się sprzedali. Ale to tylko słowa, środowiskowe zaczepki, element konwencji – mówi Chazme, który razem z Sepe namalował zarówno Chopina, jak i Piłsudskiego na Kasztance w rocznicę bitwy warszawskiej.

Wiele z dzisiejszych gwiazd tego środowiska zaczynało od graffiti i „chodzenia na pościąg”. Ale to już przeszłość. Uliczni malarze nie ukrywają, że chcą zarabiać na życie tak jak inni artyści. A nie da się tego robić, tworząc nielegalne murale, i to za własne pieniądze. – Nie znam żadnego streetartowca, który nie namalowałby czegoś, korzystając z pieniędzy czy pozwolenia państwa. Nie uznaję się za antysystemowca. Nie biegam w nocy ze słoiem z ogórkami i nie rozbijam go o ściany. Gadam o antysystemowym charakterze street artu to bajki – opowiada Sepe.

Innego zdania jest Miasto, kurator działający w fundacji Vlepet: – Mam problem z tymi okolicznościami muralami. Po pierwsze, to zamówienie od miasta. Po drugie, bierze się udział w sterowanej polityce historycznej, rezygnuje z własnych pomysłów. Kiedy widzę, że parę dni po ogłoszeniu roku Marii Skłodowskiej-Curie pojawia się poświęcony temu mural, to ręce mi opadają. Szybciej akceptuję robienie czegoś do reklam. Po prostu wtedy sprzedaje się swoje umiejętności – mówi.

Element na ulicach

Niemal wszyscy narzekają na to, jak traktują ich zleceniodawcy – nieważne, czy to miasto, czy prywatna firma. – Od kiedy usłyszeliśmy w urzędzie miasta, że na ścianach maluje element niemal przestępczy, unikamy kontaktu z urzędnikami. Fundacje zdobywają pieniądze i pozwolenia, my idziemy na ścianę – opowiadają Chazme i Sepe.

Sepe przyznaje, że z miastem prowadzi swoją grę. – Zgodziliśmy się namalować Piłsudskiego, ale pod dwoma warunkami: nikt nam nie będzie zaglądał w projekt i dostanie od miasta drugą ścianę i pieniądze na wielką, całkiem już swoją pracę.

Miasto często dostaje telefony od ludzi, którzy chcieliby zatrudnić streetartowca do „zrobienia ściany”: w barze, sklepie, do reklamy... – Kiedy pytam o budżet, zwykle rozmowa się kończy. Większość osób myśli: kupię farby, parę piw i niech się chłopaki cieszą, że mają okazję do malowania. Mam jednak wątpliwości, czy aukcja w Rempeksie sprawi, że będziemy traktowani nieco poważniej – opowiada kurator. Z młodszych kolegów śmieje

się Dariusz Paczkowski, który na ulicach maluje od połowy lat 80., a dziś prowadzi grupę 3fala tworzącą zaangażowane społecznie grafitti. – Jeszcze nigdy nie miałem tylu okazji do legalnego malowania. Jeżeli ktoś narzeka, że jest źle traktowany, to niech da sobie spokój z ulicą i maluje na sztalugach. Dla mnie street art to forma dotarcia do ludzi z przekazem wolnościowym, antyrasistowskim, ekologicznym. Ja z urzędnikami i prywatnymi właścicielami dogaduję się świetnie. Nie czekam na zaproszenia, mówię, co chcę namalować, i sam załatwiam zezwolenia.

Zdaniem Paczkowskiego polski street art zachłysnął się Zachodem, nie wykorzystuje własnych tradycji. Kilka lat temu proponował coś świeżego, ale pomysły powielane przez lata straciły na atrakcyjności. A nowych zabrakło. – To, co działo się na murach w latach 80., szablony Pomarańczowej Alternatywy, Wolności i Pokoju, Totartu, to kapitalna podstawa dla dzisiejszego środowiska. Niestety, moi młodszy koledzy przez lata inspirowali się czystą formą: graffiti, krojem liter. Ale jak długo można robić takie rzeczy?

– Gdy jeżdżę na Zachód, czuję już wypalenie tym tematem. Galeria, która reprezentuje mnie w Los Angeles, ostatnio pokazywała moje prace w zestawieniu ze zdjęciami młodego słoweńskiego fotografa. Jedyne, co nas łączyło, to ulica. Ja na niej pracuję, a on ją fotografuje. To może drobiazg, ale wyczułem, że nawet galeria wystawiająca Banksy’ego albo Sheparda Faireya nie chce zamykać się w samym street artcie – opowiada M-City.

Nadzieja w podziemiu

Jaka jest przyszłość polskiego street artu? Za parę lat boom się skończy, najlepší, tacy jak M-City czy Zbiok, przejdą do obiegu galeryjnego, ale już nie jako artyści streetartowi. Reszta znowu trafi do podziemia. – I bardzo dobrze! – konkluduje Miasto. – Za dużo dziś w street artcie lansu, za mało pracy. Niedawno przygotowywałem wystawę artystów, konkurencyjna galeria zobaczyła jej zapowiedź na naszej stronie i zgłosiła się do niego, by dał swe prace. Zanim pokazałem je u nas, już wisiały gdzie indziej. Paranoja. To środowisko w ogóle nie wie, jak funkcjonuje świat sztuki, a artyści odczuwają chorobliwą presję na pokazywanie się. Może kiedy ze wszystkich zejdzie trochę powietrza, pojawią się nowe pomysły.

SUKCES

O polskiej scenie street artu i naszych performerach czytacie również w marcowym magazynie „Sukces”

REKLAMA

GO AHEAD

www.go-ahead.pl

ZAPRASZA

ARCHIVE ORCHESTRAL

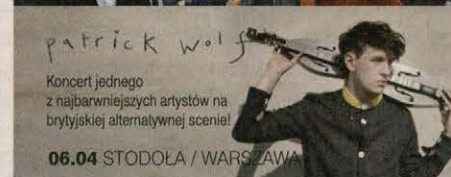
11.04. SALA KONGRESOWA / WARSZAWA

12.04.2011 ARENA / POZNAŃ

Jaga Jazzist

23.03 ESKULAP / POZNAŃ

Norweski jazzowi eksperymentatorzy na jedynym polskim koncercie!



Koncert jednego z najbardziej artystycznych na brytyjskiej alternatywnej scenie!

06.04 STODOŁA / WARSZAWA

Twilight Singers

Promocja nowego albumu projektu Grega Dulliego!

10.04 STODOŁA / WARSZAWA

IAMX

Chas Corner z zespołem na jedynym koncercie w Polsce!

16.04 STODOŁA / WARSZAWA

BELLE AND SEBASTIAN

Szkoccy mistrzowie eleganckiego indie-popu po raz pierwszy w Polsce!

19.04 STODOŁA / WARSZAWA

BILETY DO KUPIENIA W SIECI TICKETPRO (salony EMPIK, sklepy MEDIA MARKET i SATURN i inne). Pełna lista punktów sprzedaży oraz sprzedaż internetowa: www.ticketpro.pl. Pytania w sprawie biletów? Dzwoni: (32) 352 00 04

TICKETPRO

www.ticketpro.pl



ZE SŁAWOMIREM
IDZIAKIEM
ROZMAWIA
KAROLINA PASTERNAK

Sławomir Idziak

66 lat, należy do czołówek operatorów filmowych, nie tylko w Polsce, ale też na świecie. Zaczynał od współpracy z Krzysztofem Kieślowskim i Krzysztofem Zanussi. To jego eksperymenty z filtrami nakładanymi na obiektyw nabrały – szczególnie filmom Kieślowskiego, na przykład „Krótkiemu filmowi o zabijaniu” – unikatowy, zielonkawy odcień oddający chłodny klimat opowiadanej historii. Ostatnio Idziak kręcił głównie w Hollywood. Pracował między innymi z Ridleyem Scottem nad „Helikopterem w ogniu” (dostał nominację do Oscara); z Davidem Yatesem nad „Harrym Potterem i Zakonem Feniksa”. Gdy wraca do Polski, oddaje się działalności edukacyjnej: organizacji warsztatów dla młodych filmowców Film Spring Open. Ich 6. edycja odbędzie się między 27 marca a 7 kwietnia w podkrakowskich Przegorzałach.



ILUSTRACJA Tomasz Berezniński na podstawie zdjęć Marka Szczepańskiego, rys. Barbara Sadowska na podstawie zdjęć Marka Szczepańskiego

Niech Beatlesi kręcą filmy!

SŁAWOMIR IDZIAK wie, jak ulepszyć kino. Filmy powinno się tworzyć w zespołach, tak jak się robi muzykę. Zamiast liczyć na pieniądze od producentów – korzystać ze sprzętu, który jest pod ręką, choćby z komórek. Nominowany do Oscara operator będzie uczył tego filmowców na warsztatach Film Spring Open. Filmy, które tam powstaną, zobaczycie na Off Plus Camera

Surfuje pan właśnie u wybrzeży Afryki...

– Zgadza się, mam stację windsurfingową pod oknem.

Zabiera pan ze sobą w takie miejsca telefon komórkowy? [Rozmowa odbyła się przez Skype – przyp. red.].

– Zabieram komórkę, komputer, aparat fotograficzny, który daje możliwość kręcenia wideo. Ale ze mną sprawa jest specyficzna. Owszem, czasem dla zabawy nagrywam coś tym sprzętem w czasie wolnym, ale moim zawodem jest przecież filmowanie. Na planie spędziłem większość życia. Nie mam więc zapалу, żeby z wielkiego profesjonalnego planu filmowego schodzić na ten mniejszy, prywatny.

Pytam, bo wśród polskich filmowców jest pan najgorętszym fanem nowych technologii. Od lat zachęca pan młodych twórców, żeby nie tracili życia na szukanie producentów, tylko kręcili sprzętem, który mają pod ręką, choćby komórką.

– Kiedy startowałem, młody filmowiec, żeby wejść na plan, potrzebował góry pieniędzy. A operator chcący postawić kamerę na statywie – pomocnika, bo taka była ciężka. Wydawało mi się, że gdyby tylko kręcenie filmów było tańsze, mniej skomplikowane, powstawałyby ich setki. Dziś widzę, jak bardzo się myliłem. Filmów powstaje niestety więcej, ale w sposób tradycyjny, według tej samej technologii, która obowiązywała przed laty. Młody filmowiec zaczyna od napisania scenariusza, udaje się z nim do redakcji telewizyjnej albo producenta, a tam już czeka na niego tłum innych młodych artystów z debiutanckimi scenariuszami w garści, bo ten zawód jest szalenie popularny. Namawiam więc ludzi do działania, do oszczędzania czasu, który spędziliby na odbijaniu się od kolejnych drzwi, i wykorzystania go na pracę. Dziś z pomocą powszechnie dostępnych, przyzwoitej jakości kamer można nakręcić coś w rodzaju szkicu filmowego. Być może nie będzie to jeszcze wersja przeznaczona na ekran, ale na pewno bliższa tej ostatecznej niż scenariusz. I wtedy szansa na znalezienie pieniędzy i producenta, czyli na powstanie filmu, się zwiększa.

Jeżdżę do wielu uczelni filmowych z gościnnymi wykładami i ze zdumieniem obserwuję, że studenta bardzo trudno zobaczyć z kamerą.

Tymczasem Steven Spielberg, udając się na dokumentację filmu, praktycznie się bez niej nie rusza. Inna sprawa, że nominowane w tym roku do Oscarów „127 godzin” Danny’ego Boyle’a dowodzi, że są w kinie tematy, w których ta mała kamera z komórki sprawdza się lepiej niż profesjonalny sprzęt. Kamera w komórce jest narzędziem intymnym. **Zamierza pan uczyć czerpania ze zdobyczy technologii młodych filmowców z całego świata na kolejnej już, szóstej edycji wymyślonych przez siebie warsztatów Film Spring Open. Nowością będzie to, że po wszystkim uczestnicy pokażą swoje dzieła na festiwalu Off Plus Camera, który zaczyna się zaraz po warsztatach.**

– Młody człowiek startujący w zawodzie musi mieć świadomość dynamiki rozwoju technologii. Musi wiedzieć, że platformą dystrybucyjną numer jeden będzie wkrótce Internet, że światy gier komputerowych i kina, dziś jeszcze osobne, będą się sukcesywnie zbliżać, aż w końcu powstanie z nich nowa jakość. Nie wiem, czy ciągle będzie to film, czy to interaktywne widowisko otrzyma nową nazwę, ale pewne jest, że to przyszłość kina.

Jest pan uzależniony od Internetu?

– Totalnie. Nawet teraz jestem z każdej strony obłożony różnymi urządzeniami podłączonymi do sieci. Inaczej nie mógłbym tu być! Przecież jestem w trakcie przygotowywania warsztatów; takich rozmów przez Skype jak ta teraz z panią przeprowadzam kilka dziennie. Niektórzy nawet nie wiedzą, że nie ma mnie w Warszawie.

Skąd u pana ta fascynacja nowymi technologiami?

– Trudno powiedzieć. Może stąd, że urodziłem się w komunistycznym, głęboko zacofanym kraju? Wychowałem się w tej części Polski, która z kulturą nie miała nic wspólnego. Katowice były w latach 50. zaprzężonym, przemysłowym miastem. Marzenie, żeby gdzieś się wyrwać, żeby dostać się do szkoły filmowej, było kompletnie nierealne. A jednak mi się udało. A później udało się coś kolejnego, i następnego. Gdy czasem zastanawiam się nad moją karierą, dochodzę do zabawnego wniosku, że nie ma dziś chyba na świecie poważnej kinematografii, w której jeszcze nie pracowałem. Ale mówiąc serio, nie chcę, →

→ żeby to zabrzmiało jak wykład o poczuciu misji, bo nie o to chodzi. Po prostu przeszedłem w życiu tak nieprawdopodobnie długą drogę od marzeń do ich spełnienia, że czuję, iż mam prawo podzielić się doświadczeniami.

Skąd się wziął pomysł na uruchomienie strony www.filmspringopen.eu, dzięki której filmowcy z całego świata nawiązują kontakty zawodowe, i na organizowanie plenerów, gdzie mogą się spotkać, poznać i nakręcić wspólnie film?

– To się rozpoczęło lata temu, kiedy zacząłem wykładać. Nigdy nie planowałem, że zostanę pedagogiem. Byłem zanadto zajęty pracą. W stanie wojennym znalazłem się z moją rodziną w Paryżu kompletnie bez środków do życia. Wtedy zadzwonił do mnie były stypendysta rządu fińskiego Juha Rosma, w tym czasie już rektor szkoły filmowej w Helsinkach. Do tej pory nie mam pojęcia, skąd zdobył mój paryski numer. W każdym razie wiedział, że jestem w tarapatach finansowych, i poprosił, żebym przyjechał na jego uczelnię z gościnnymi wykładami. Nie jestem akademikiem, tylko praktykiem, więc od początku podchodziłem do tych zajęć jak do ćwiczeń. Nie było gadulstwa, u mnie robiło się sceny filmowe. To się sprawdziło i na wykłady zaczęły mnie zapraszać kolejne uczelnie – między innymi z Kolonii, Londynu, Zurychu, Berlina, Ludwigsburga. Dzięki tym doświadczeniom uznałem, że takie pozaakademickie warsztaty bardzo się młodzieży przydadzą.

Jedną z idei Film Spring Open jest demokratyzacja kina. Postuluje pan, żeby jak najwięcej obowiązków dzielić między ekipę, pozbawić reżysera władzy absolutnej, robić film zespołowo. Model, w którym cała odpowiedzialność za dzieło spada na reżysera, jest przestarzały, już się nie sprawdza?

– Jeden model nie musi wykluczać drugiego, od lat już funkcjonują przynajmniej dwa – reżyserski w Europie i producencki w USA. Architektura filmu jest bardzo skomplikowana. Można budować domek jednorodzinny, ale też wielki wieżowiec. W tym drugim przypadku – przynajmniej tak to pojmują Amerykanie – rola reżysera jest jedną z funkcji na planie. Reżyser nie bierze udziału w castingu, nie ma wpływu na ostateczny montaż filmu. Ponieważ ja przyszłość kina widzę raczej w wieżowcach, wielowątkowych interaktywnych widowiskach, uważam, że tworzyć je muszą teamy. Wielowątkowej historii nie poprowadzi jeden reżyser, prędzej różni artyści o różnych temperamentach.

Do pracy zbiorowej namawiam młodych ludzi z jeszcze jednego powodu. Dziś młody europejski filmowiec, wchodząc do zawodu, musi mieć jednocześnie wiedzę z zakresu PR, finansów, produkcji filmu. Najlepiej, gdyby był też autorem scenariusza. Ten nadmiar obowiązków związanych z debiutem powoduje, że wystartować udaje się często ludziom nie najzdolniejszym, ale tym, którzy mają najgrubszą skórę i największą odporność. Wrażliwi – a więc posiadający cechę bardzo ważną w zawodzie filmowca – zostają często w tym wyścigu w tyle. Wielu moich studentów, których ja najszybciej widziałbym za kamerą, rynek odrzuca na boczne tory. To smutne. Wydaje mi się, że jeśli trzy-, czteroosobowe grupy będą pracować na wspólne przedsięwzięcie nie pod nazwiskiem, ale własną nazwą – jak na przykład The Beatles, The Rolling Stones – mają większą szansę na uniknięcie błędów, które ich członkowie popełniliby, działając w pojedynkę.

Problem w tym, że w europejskim modelu reżyser jest na planie bo-giem. Jeśli powie, że białe jest czarne, cała ekipa potakuje. Ludzi wywodzących się z takiej tradycji bardzo ciężko przemodelować. Widzę to na warsztatach. Duża część filmowców pod hasłem „wspólne kręcenie” rozumie: ja dowodzę, reszta wykonuje rozkazy.

Pan siedział na wydziale operatorskim, ale planował zaraz po jego skończeniu studiować reżyserię. Nie udało się, ale reżyseria wracała. Zrealizował pan „Papierowego ptaka”, „Naukę latania”, „Enaka”, w końcu oddał się całkowicie sztuce operatorskiej. Był pan zbyt wrażliwy do zawodu reżysera?

– W pewnym momencie te dwie pasje – robienie zdjęć i reżyseria – zaczęły się wykluczać. Nie mogłem jednocześnie brać zleceń operatorskich ze świata i reżyserować w Polsce. Musiałem się na coś zdecydować. A ponieważ reżyseria zawsze była raczej hobby, wybrałem operatorkę. Co wiązało się też z tym, że wykonując zawód operatora, ma się pod sobą zespół, z którym się pracuje. Miałem tym ludziom powiedzieć, że ich zostawiam, aby robić fabułę? Przecież ja za nich odpowiadałem. Dziś już przeważnie odmawiam zleceń operatorskich. Poza nielicznymi propozycjami, które dają szansę na zrobienie czegoś,

czego jeszcze na planie nie robiłem. Tak było choćby z „Bitwą warszawską 1920”, czyli z pierwszym polskim, a chyba także i europejskim filmem kręconym w całości w 3D.

Nie brak panu zleceń z Hollywood, adrenaliny?

– Kręcenie filmu w Hollywood to co najmniej trzy czwarte roku wy-cięte z życia. Bez rodziny, domu, wakacji. Mam swoje lata, więc każdy rok jest dla mnie podwójnie ważny. Coraz gorzej się czuję, kiedy widzę,

że jestem jednym ze starszych ludzi na planie. To jest związane z technologią. Młodzi ludzie z nową technologią rosną. Jestem ambitny, więc chcę się jej nauczyć, ale – cytując amerykańskiego myśliciela Josepha Campbella – nie chciałem obudzić się dopiero wtedy, kiedy nie będę już mógł iść dalej i zorientuję się, że drabina, po której się wspinałem, jest oparta o niewłaściwą ścianę. Może zrobię jeszcze film 3D z Hindusami, bo mnie kuszą, i pewnie byłaby to niezła heca, może zrealizuję jakieś projekty reżyserskie, ale w planie na trzecią część życia zdecydowanie najwięcej czasu chcę poświęcić wykładom i Film Spring Open.

W tym roku charakter tej imprezy się zmieni, z warsztatów stanie się bardziej platformą edukacji, poszerzania filmowych horyzontów.

– Wielu uczestnikom poprzednich edycji z Francji, Niemiec, Szwajcarii i Skandynawii idea warsztatów tak się spodobała, że wracali za rok, dwa lata, trzy. W ten sposób między starymi i nowymi uczestnikami powstawała przepaść. Starzy stanowili coś w rodzaju pierwszej ligi, nowi – peryferii. Wiedziałem, że muszę zmienić formułę. Wtedy narodziła się idea festiwalu robienia filmów. Otwartej imprezy, na którą ludzie przyjeżdżają, żeby zdobyć wiedzę o tym, jak nakręcić tanio technologicznie nowoczesny film, a przy okazji realizować swoje projekty. Wieczorami efekty ich pracy wspólnie oglądaliśmy, to wielka wartość naszych spotkań, bo w profesjonalnej produkcji artysta zazwyczaj zamyka się ze swoim materiałem, nie chce go pokazywać. Nierzadko brmie przez to w beznadziejne rozwiązania. Uniknąłby ich może, gdyby pokazał komuś swój film na etapie powstawania. FSO to taka piaskownica do zabawy w filmowanie. Tam uznani artyści nie przyjeżdżają jako gwiazdy, ale jako pedagodzy, aby podzielić się swoim know-how. Do-

rota Kędzierzawska i Artur Reinhart, od lat z sukcesami prowadzący własną firmę produkcyjną, opowiedzą o rodzinnej produkcji filmowej. Krzysztof Ptak zaprezentuje autorski system postprodukcji. A clou programu będzie prezentacja wynalazku moim zdaniem przełomowego. Kręcąc „Bitwę warszawską...” i zapoznając się z technologią 3D, ja i moi współpracownicy zdaliśmy sobie sprawę, że ona wcale nie musi być bardzo droga! Elementem niezbędnym przy kręceniu w 3D jest tak zwany rig – urządzenie, w którym umieszcza się dwie kamery, żeby móc realizować symultaniczne ujęcia. Mój współpracownik z „Bitwy...”, wybitny sterografer Andrzej Waluk skonstruował taki rig, jakiego używa się przy wielkich produkcjach, tyle że wielokrotnie tańszy, w oparciu o tanie kamery. Zaprezentujemy go na FSO. Naprawdę wierzę, że to może być początek fali polskich produkcji 3D, równie dobrych jak zachodnie, ale dużo, dużo tańszych.

Brzmi to trochę utopijnie. Przecież gigantom, którzy produkują sprzęt 3D, zależy na monopolu. Wasze rozwiązanie wydaje się zbyt łatwe, żeby mogło być prawdziwe.

– Dlaczego, skoro Andrzej Waluk, Robert Chaciński i Stanisław Kwiatkowski już to narzędzie zbudowali?! Myśm się za bardzo przyzwyczaili do kierowania przesadami. Że coś jest niemożliwe, że się nie da. Mnie już one zmęczyły. Młodym filmowcom też się wkłada do głów, że tego nie można, tamto jest niewykonalne. I później na targach, gdzie w gablotach wystawiony jest drogi sprzęt, odbywa się coś, co nazywam „lizaniem przez szybę”. Młodzi ludzie są głodni robienia filmu, bycia na planie, ale mają przed sobą taflę szkła.

My, artyści, przez ten lęk przed zmianami zostaliśmy głęboko w tyle nawet za politykami! W sferze polityki powstają organizacje ponad europejskie, a w kinie? Kino cały czas ma nalepkę „narodowe”. Dlatego młody człowiek musi najpierw skończyć szkołę, później przebić się we własnym kraju i dopiero potem może myśleć o karierze międzynarodowej. Dlaczego? Dlaczego filmowiec ze szkoły w Łodzi nie może ze studentem z Rzymu czy Berlina na równych zasadach zrobić europejskiego filmu? Dlaczego, jeśli będzie się w nim mówiło w kilku językach, komisje przyjmujące ten film na festiwal uznają, że nie ma narodowości, zatem nie może być zaakceptowany? To czysty absurd!

Jest jednak coraz więcej koprodukcji. Polscy filmowcy szukają pieniędzy w telewizjach niemieckich, u producentów francuskich – to dziś norma.

– Wiadomo. Ale mnie chodzi o coś innego. Jeżeli ktoś chce ze mną robić film, spotykamy się przy stoliku kawiarnianym. Ja poznaję jego, on mnie. To jednak tylko pozory. Później ląduję na planie z reżyserem psychopatą albo on traktuje mnie jak polskiego wariata, z którym nie chce mieć nic wspólnego. Stolik w kawiarni to nie jest miejsce, żeby się poznać. Trzeba być z kimś na planie, żeby zobaczyć w nim prawdziwego partnera. My, filmowcy, pieniądze mamy zmagazynowane w sprzęcie, który każdy z nas gromadzi. Ktoś ma obiektyw, ktoś kamerę, ktoś inny trochę reflektorów. Dlatego stworzyliśmy na stronie www.filmspringopen.eu bazę Work & Equipment, w której filmowcy dzielą się informacjami, jaki mają sprzęt i jakiego mogliby użyć kolegom. Nasza strona jest wirtualnym studiem filmowym. Najlepszy dowód, że da się nakręcić film, korzystając z niej, to „Crossing Paths” – efekt jednego z pierwszych warsztatów. Filmowcy z czterech krajów europejskich napisali scenariusz, konsultując się poprzez naszą stronę. Później spotkali się na Helu i nakręcili film. Nie żadne dzieło, ale rzecz bardzo przyzwoitą. I absurdalnie taną. Była nawet pokazywana na festiwalu Plus Camerimage.

Ale do czego tak naprawdę potrzebna jest rewolucja w systemie robienia filmu i jego produkcji? Cemu nie można kręcić po staremu?

– Bo żaden producent nie przyjdzie sam do debutanta. Aby się liczyć na rynku, trzeba mieć wyrobione nazwisko albo być podczepionym pod jakąś uznaną markę, albo mieć tatusa, który nazywa się „Sławny Kowalski”, więc część sławy po nim spływa na potomstwo. Mało mamy dynastii w filmowej branży? To niby przypadek?

Pan akurat wszedł do branży bez tych ułatwień.

– Na szczęście. Dlatego mogę teraz śmiało o tym mówić. Jestem dumny z rodziców. Nie mieli nic wspólnego ze światem filmu, więc nikt mnie do niego nie pchał, ale o fotografii mówiło się u nas w domu od zawsze.

Pana dziadek miał chyba zakład fotograficzny?

– Tak, moja siostra prowadziła go jeszcze do 2000 roku. Zamknęła tylko dlatego, że dom, w którym się mieścił, sprzedano.

A w okolicy było słynne katowickie kino Rialto.

– W tym kinie oglądałem pierwsze w moim życiu filmy. Jedyny billboard, który wisiał wtedy w Katowicach, był na jego frontonie, robili na nim taką wciętą reklamującą filmy. Przechodząc albo przejeżdżając tramwajem obok Rialta, zawsze sprawdzałem, co jest na billboardzie, bo malowali tam tylko ważne filmy.

Na 40-lecie mojej pracy zawodowej zorganizowano mi w tym kinie jubileusz. To było wzruszające.

Ma pan szczęście, pana kino przetrwało. Mój Pegaz z rodzinnego miasteczka już dawno ma zamurowane drzwi i okna, a szyld zwisa smutno z muru.

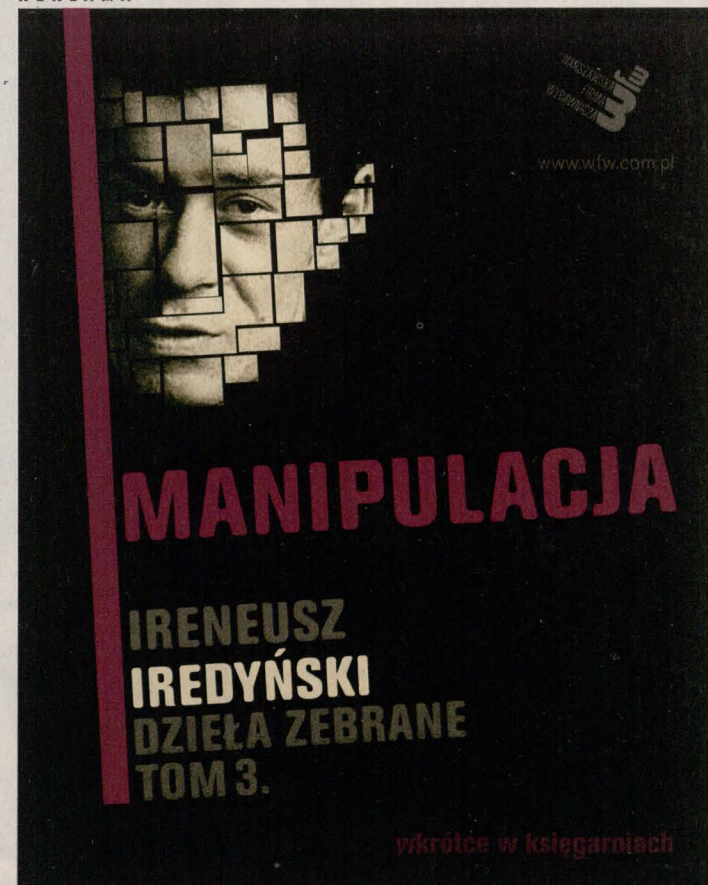
– Kino Rialto jest, wprawdzie wygląda inaczej – fronton inny, wewnątrz też. Ale kino jest.



nastaw się na chill out

Chilli ZET.
Radio w pogoni
za kulturą
www.chillizet.pl

REKLAMA



wkrótce w księgarniach

Malarz w lipskiej fabryce koronek

Największy współczesny niemiecki malarz nazywa się Neo Rauch, mieszka w Lipsku, przyznaje, że wiele zawdzięcza NRD, konserwatywnej akademii i ani mu w głowie, aby się tego wstydzić. 11 marca otworzy retrospektywną wystawę w warszawskiej Zachęcie

STACH SZABLŃSKI

W 2007 roku ceny obrazów Neo Raucha przekroczyły milion dolarów. Wkrótce miał upaść bank Lehman Brothers i wybuchnąć kryzys. Tymczasem, na chwilę przed burzą, podgrzany do temperatury wrzenia rynek sztuki kipiał, a malarstwo Raucha gotowało się wraz z nim. Kolekcjonerzy byli gotowi płacić setki tysięcy dolarów za jego nienamalowane obrazy. Inni czekali latami w kolejce. Jeszcze inni pielgrzymowali do Lipska, który stał się jednym z najgorętszych miejsc na artystycznej mapie Europy. Lipsk? Wyludniające się, dotknięte bezrobociem miasto w cierpiącej na chroniczną pojednociową depresję byłej NRD? Współczesne losy tego zakątka Niemiec doskonale ilustruje Leipziger Baumwollspinnerei – stuletnie zakłady włókiennicze. Przed zjednoczeniem pracowało tu 4000 osób. Dziś pracuje setka, tyle że nie są to już szwaczki, lecz malarze. Dawna przędzalnia wciąż jest fabryką, produkuje →



Aby zdobyć 650 tysięcy euro na monumentalny (trzy metry na pięć) obraz „Kalimuna”, przyjaciele monachijskiej Pinakoteki ogłosili zbiórkę pieniędzy

Dzięki uprzejmości Galerie EIGEN + ART Leipzig/Berlin and David Zwirner, New York; fot. Uwe Walter

→ się w niej sztukę znaną pod marką Nowa Szkoła Lipska. W roli przodownika pracy występuje Neo Rauch.

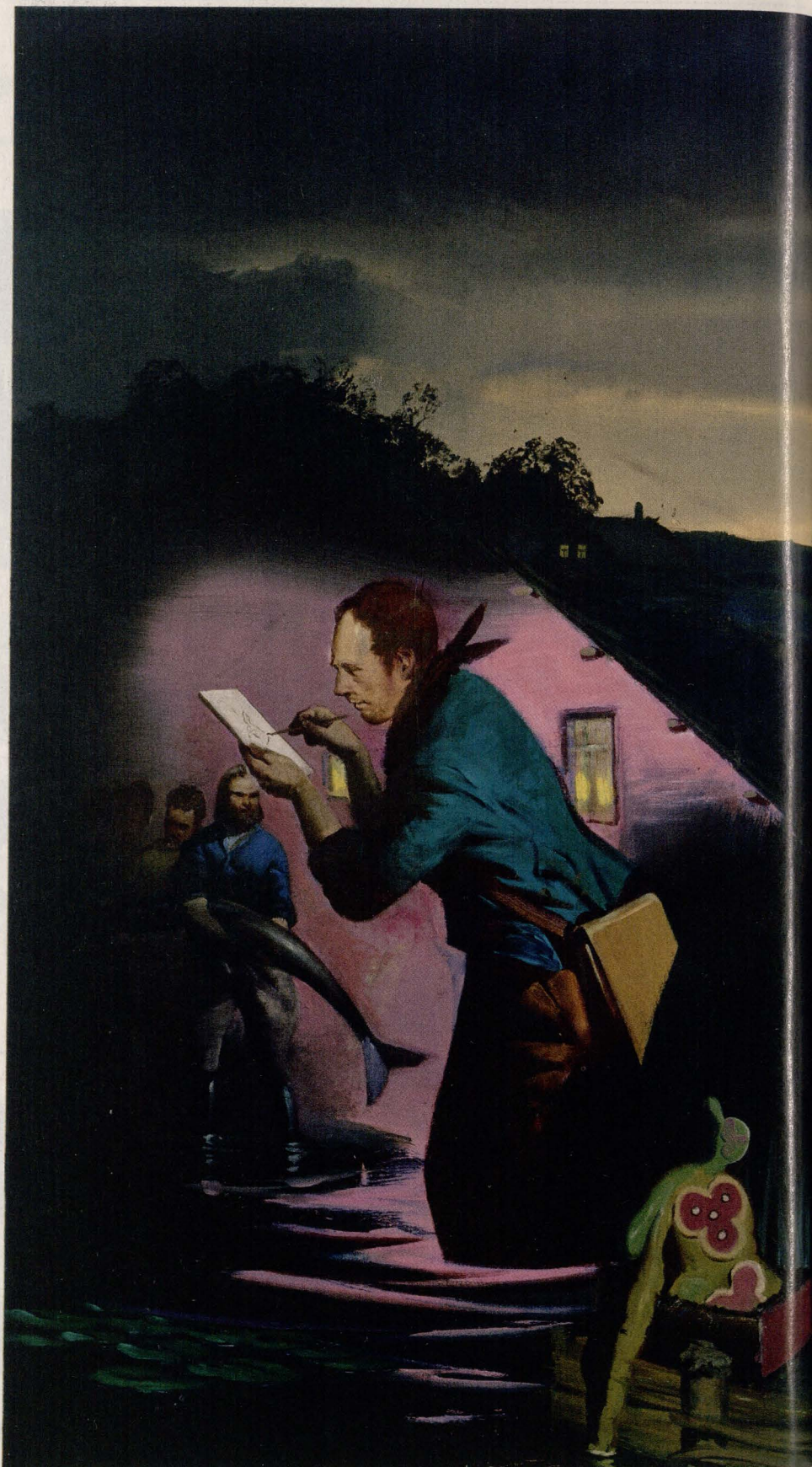
Pod tym brandem na przełomie XX i XXI wieku udało się wypromować pokolenie wschodnioniemieckich malarzy. Najpierw oszaleli na ich punkcie Amerykanie, potem rodacy z Zachodu, którzy musieli przyznać, że wewnątrz rynkowej bańki kryją się rzeczy wybitne.

Surrealizm i socrealizm

Co takiego wyjątkowego jest w Lipsku? Sukces Nowej Szkoły Lipskiej jest pośmiertnym triumfem byłej NRD. Mowa tu o generacji artystów, którzy jak Neo Rauch zaczęli karierę w zjednoczonych Niemczech, ale zdążyli odebrać wykształcenie jeszcze za komuny. Kiedy na Zachodzie poszerzano granice sztuki, zatracając się w eksperymentach, w Lipsku wciąż katowano studia z natury, rysunek z modelu i solidną konstrukcję. Niespodziewanie ten graniczący z zacofaniem tradycjonalizm przestał być upośledzeniem, a stał się atutem wschodnioniemieckich artystów, którzy w chaosie współczesnej sztuki zaproponowali wskrzeszenie klasycznego malarstwa – świetnego warsztatowo, figuratywnego, bogatego w alegorie i narracje. Neo Rauch stał się jego twarzą.

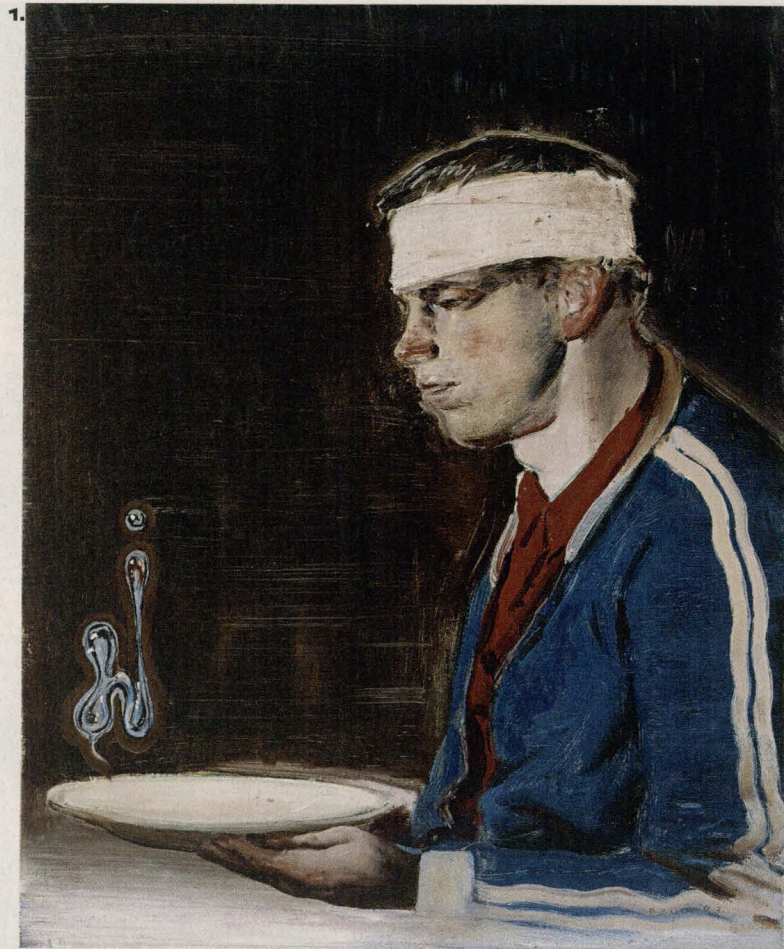
Rodzice malarza zginęli w wypadku, kiedy był niemowlęciem. Nigdy nie dowiedział się, dlaczego nazwano go Neo. W tym imieniu brzmi idea nowości, ale jak na ironię Neo Rauch zbudował swoją sztukę na bardzo konserwatywnej podstawie.

Paradoksalnie okazało się, że świat czekał właśnie na coś takiego. Potrzebny był jeszcze tylko ktoś, kto by tę propozycję przedstawił. Tę rolę odegrał Gerd Harry Lybke, *enfant terrible* niemieckich marszandów. W latach 80. pozował studentom nago do aktów. Był wśród nich Neo Rauch i inni późniejsi bohaterowie boomu na sztukę z byłej NRD. Pierwszą podziemną galerię założył jeszcze za rządów Honeckera. Po upadku muru wychynął na powierzchnię, promując swoich przyjaciół. Z Neo Rauchem stanowią doskonałą parę uzupełniających się przeciwieństw. Lybke idealnie wpisuje się w stereotyp jowialnego i hałaśliwego Niemca, miłośnika sznapsa i sycącego jedzenia. Jest prowokatorem, mitomanem, przez rynek sztuki idzie jak taran. Neo Rauch jest szczupły, poważny i dystansuje się od rynkowej gorączki. – Kwoty, które pojawiają się w kontekście moich prac, są szalone – mówi artysta. – Ale ja mam bardzo →

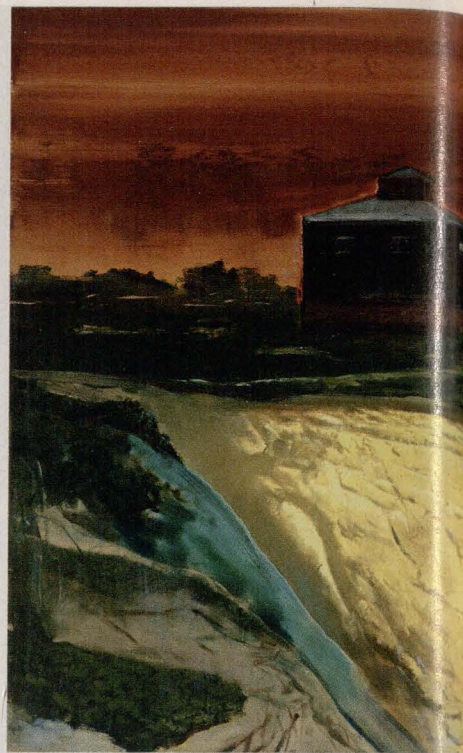


Neo Rauch w pigułce: pomieszanie historii z przyrodą, biblijnych motywów z malarską tradycją. „Torfowisko” (2009)

Dzięki uprzejmości Galerie EIGEN + ART Leipzig/Berlin and David Zwirner, New York; fot. Uwe Walter



Obrazy Raucha spaja podszyty tragizmem nastrój melancholii charakterystyczny dla całej Szkoły Lipskiej. 1. „Rtęć” (2003) i 2. „Kopalnia złota” (2007)



Generacja malarza przeżyła najpierw krach socjalistycznej (anty)utopii NRD, a potem konfrontację z kapitalistycznym światem, który okazał się nowy, ale nie wspinały. 3. „Stój” (2005) i 4. „Wieśniacy” (2009)

→ luźny kontakt ze światem liczb, którego nie rozumiem. Muszę trzymać się od niego z daleka.

Rzeczywiście Rauch nie musi tak bardzo się przejmować, czy galeryjne ceny jego prac poszły w kierunku miliona, czy „tylko” kilkaset tysięcy dolarów, nie musi finansować kosztownego życia gwiazdy sztuki, bo go nie prowadzi. Niemieccy malarze z generacji Nowych Dzikich, którzy załapali się na poprzedni boom na rynku sztuki w latach 80., kupowali sobie zamki i tracili fortuny na kolekcje sportowych aut. Neo Rauch nie wyprowadził się z Lipska do Malibu, stawia się codziennie w przędzalni i przez osiem godzin maluje.

Jestem z Lipska

Jego obrazy są psychodeliczne, ale wizjonerstwo Raucha nie wypływa z nasiąknięcia środkami halucynogennymi, lecz kulturą. – Lipsk to miasto o wielkich tradycjach intelektualnych i artystycznych, bardzo ważne dla niemieckiej kultury – mówi Joanna Kiliszek, kuratorka wystawy Raucha w Zachęcie, która w latach 90. kierowała Instytutem Polskim

w Lipsku. W istocie postacie robotników zaludniające jego obrazy zdają się pochodzić z socrealistycznych plakatów propagandowych, ale tuż obok mogą pojawić się figury jakby wyjęte z romantycznych obrazów Caspara Davida Friedricha. Motywy kojarzące się z modernistyczną estetyką Bauhausu zderzają się z odwołaniami do pop-artu, a te z kolei z surrealizmem. W tle trwa nieprzerwany dialog Raucha ze starymi mistrzami. Postmodernizm? Oczywiście, ale Neo Raucha nie da się zbyć tak łatwo. Potężne, potrafiące mierzyć trzy na cztery metry płótna niemieckiego artysty to malarskie teatrum, Rauch zaludnia je aktorami, przebiera w kostiumy, projektuje scenografię, wreszcie występuje w roli reżysera. Co jest przedmiotem spektaklu Raucha? Światy, które maluje mistrz z Lipska, wydają się dramatyczne, ale jednocześnie zastygłe w osobliwym bezruchu. Bohaterowie jego obrazów pracują, próbują coś budować, konstruować, ale ich wysiłki wydają się bezowocne, a cele nonsensowne. W scenariach Raucha łatwo rozpoznać postindustrialny krajobraz wschodnich Niemiec znaczone socjalistycznymi zakładami

przemysłowymi i klockowymi domami. Ale to jednocześnie pejzaż posthistoryczny, w którym wszystkie czasy i epoki istnieją równocześnie, w chaotycznej teraźniejszości. Wszystko spaja podszyty tragizmem nastrój melancholii charakterystyczny dla całej Szkoły Lipskiej. Czy to smutek wschodnich landów napędzany podwójnym rozczarowaniem, które stało się udziałem pokolenia Neo Raucha? Jego generacja przeżyła najpierw krach socjalistycznej utopii, a potem konfrontację z kapitalistycznym światem, który okazał się nowy, ale nie wspinały. Ambiwa-

lentne wschodnioniemieckie doświadczenie jest wpisane w dzieła Raucha. Świat sztuki pełen jest artystycznych nomadów mówiących uniwersalnym, globalnym językiem, ale Rauch nie jest jednym z nich – mówi po niemiecku, a dokładniej rzecz ujmując, po wschodnioniemiecku, i sprzeciwia się tłumaczeniu tytułów swoich prac na inne języki. – Artystyczne esperanto, wykorzenienie, kulturalny bigos – to wszystko osłabia moc sztuki – twierdzi malarz. – Są artyści, którzy jak Luc Tuymans czy Mirosław Bałka są organicznie związani z miejscami, z których pochodzą – dodaje Joanna Kiliszek. – Odcięci od swoich korzeni być może w ogóle nie byłoby w stanie tworzyć. Z Neo Rauchem jest podobnie.

Milczenie obrazów

Rauch jest konserwatystą i jako taki wierzy w czystość sztuki – dlatego bezpośrednie

odniesienia do polityki kończą się dla niego w miejscu, w którym zaczyna się malarstwo. Jednoznaczne zaangażowanie nazywa artystyczną publicystką należąca, jak mówi, do świata „agitatorów i komisarzy politycznych”. Rauch broni prawa sztuki do nieprzejrzystości. Jest wielkim odnowicielem malarstwa narracyjnego, ale jego opowieści są niejasne. – Jeżeli ktoś zrozumiał moje obrazy, to był to wypadek. To nie powinno się zdarzyć – powiedział rok temu Neo Rauch na konferencji prasowej wielkiej wystawy uświetniającej jego 50. urodziny. Wzorem dawnych mistrzów buduje złożone alegorie, zdaje się kodować w swoich obrazach tajemne przesłania. Te obrazy domagają się odczytania, prowokują, by je rozszyfrować. Okazuje się to jednak niemożliwe. Czy w takim razie te płótna nie mówią nic? Przeciwnie, malarstwo Raucha mówi bardzo wiele, tyle że czyni to, zachowując absolutne milczenie.

„Neo Rauch. Mit realizmu”, kurator Joanna Kiliszek, Zachęta, Warszawa, 11 marca–15 maja, www.zacheta.art.pl

TV5MONDE

5 edycja
**Franco
phonic
Festival**
18-25 III 2011
Warszawa



Brodka 18 III
Oh la la! / Poney Express 18 III
Melissa Laveaux 19 III
Feloche / Pako Sarr 19 III
Nouvelle Vague 24 III
La Boetie 24 III
Turzi / Acid Washed 25 III
www.francoiphonic.pl

Partnerzy /
Canada / Institut Français /
Organizatorzy /
Patroni medialni /
TVP KULTURA / gazeta / PRZEKROJ

FILM

Stan nieważkości

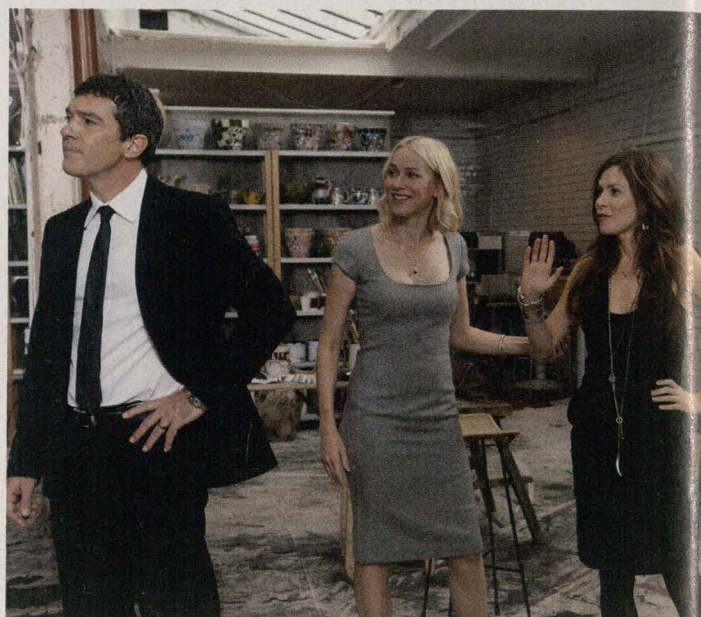
Woody Allen tym razem nas nie kręci ani nie podnieca

WOJTEK KALUŻYŃSKI

Allen regularnie, jak w zegarku, robi jeden film rocznie i konsekwentnie przeplata te zabawne z poważniejszymi. Zgodnie z tą regułą po powrocie do swego emblematycznego stylu w „Co nas kręci, co nas podnieca” tym razem proponuje coś zupełnie innego – swego rodzaju mariaż „Match Point” z „Vicky, Cristina, Barcelona”. Allen przyjmuje punkt widzenia wszechwiedzącej wróżki. Sam wymyśla problemy gromady bohaterów, zna od podszewki ich najszybsze sekrety, namiętności, marzenia i wie od Szekspira, że „życie jest opowieścią idioty, pełną wrzasku i wściekłości, lecz nic nieznaczącej”. Znow jesteśmy w Londynie. Niby współczesnym, ale jakoś też niedziśniej, wiktoriańskim. Oto po 40 latach pożycia przerażony perspektywą starości Alfie (Anthony Hopkins) porzuca swą żonę Helenę (Gemma Jones) i niebawem żeni się z byłą prostytutką kochającą luksusy. Tymczasem Helena szuka pomocy u wróżki szarlatanki, która przepowiada jej świetlaną przyszłość u boku przystoj-

nego bruneta. W przystojnym brunecie – właścicielu galerii (Antonio Banderas) – zakochuje się córka Heleny Sally (Naomi Watts), przeżywająca kryzys w małżeństwie z niezrealizowanym pisarzem Royem (Josh Brolin). Ten po obiecującym debiucie od lat nie może skończyć drugiej powieści, a odkąd w sąsiedztwie zamieszkała piękna Dia (Freida Pinto), myśli tylko o niej. Bohaterowie Allena są rozczarowani życiem, karierą, związkami. Wszyscy gonią za straconymi latami, wyblakłymi uczuciami, niezrealizowanymi ambicjami. Nerwowo szarpia się z losem i tak jak oni rozdragnana jest cała opowieść.

Allen zza kulis podrzuca błyskotliwe dialogi, piętrzy zbiegi okoliczności, aranżuje rozmaite qui pro quo. Historia od początku wzięta w cudzysłów z czasem sama się unieważnia, a w końcu porzuca ją i reżyser. Intelligentne to, ale i jałowe, zbyt ostentacyjnie obnoszące własną nieważkość. Za wiele tu konceptu i póź, by ostateczna, szekspirowska z ducha konstatacja głosząca, że jedynym



Brunet Antonio Banderas i Naomi Watts wypatrują wieczorowej pory

przystojnym brunetem, jakiego można spotkać w życiu, jest śmierć, zabrzmiąca wystarczająco przekornie. By była czymś więcej niż tylko uszlusnym bon motem.

*** „Poznasz przystojnego bruneta”, reż. Woody Allen, USA 2010, 98', Kino Świat, premiera 11 marca

Organiści

„Nie opuszczaj mnie” to science fiction z ambicjami. Ale choć ma mózg i serce, zabrakło w nim duszy



Bez serc, bez nerek. Dawców ludy też chciałyby dostać coś od życia

Nie mam nic przeciw temu, by po śmierci pobrano te z moich wyeksploatowanych organów, które mogą przydać się komuś innemu. Problem się pojawia, gdy człowiek zostaje sprowadzony wyłącznie do funkcji dawcy. Tak się dzieje w noweli Kazuo Ishigury, wedle której nakręcił swój film Mark Romanek. W „Nie opuszczaj mnie” hodowla klonów na narządy ze sfery science fiction awansowała do miana pytania niemalże o dzień dzisiejszy. Przez kwadrans mamy wrażenie, że przenosimy się w lata 70., do prywatnej szkoły z internatem. Jednak tylko do momentu, gdy niesubordynowana opiekunka wyzna wychowankom, że są żywymi magazynami serc, wątrob i nerek, a ich własne życie nie potrwa długo. Dzieci dorastają w całkowitej izolacji od świata, z czasem przenoszą się w ustronie przypominające kampus studencki, potem do swego rodzaju sanatorium, a w końcu do luksusowego hospicjum. Żyją do trzeciej, czwartej operacji, a społeczeństwo nie jest skłonne przyznać

im statusu istot ludzkich, zaklinając grzech w eufemizmach: życie nazywając inkubacją, pozbawianie organów donacją, a śmierć – spełnieniem. Oto troje przymusowych darczyńców staje przed problemami wieku dojrzewania, odkrywa miłość, seks, przyjaźń, a ich przeznaczenie sprawia, że są bardziej ludzcy niż ci „normalni” milcząco godzący się na humanitarną rzeź.

Film co chwila wprowadza w konfuzję, zastawia emocjonalne haczyki, wymusza empatię. Bez ostentacji zadaje trafne pytania ze sfery etyki. Gorzej jest z udzielaniem odpowiedzi. Romanek nie zdołał do końca wykorzystać potencjału znakomitej powieści. Tak bardzo chciał pokazać, że dzieci z próbówki mają dusze, iż już nie zdążył głębiej w nie zajrzeć.

WOJTEK KALUŻYŃSKI

**** „Nie opuszczaj mnie”, reż. Mark Romanek, USA 2010, 104', Imperial CinePix, premiera 11 marca

RECENZJE

MUZYKA

Lionel Richie jest hardkorem

W kurortach popularne są koszulki z nadrukiem „Jestem hardkorem”. Tak jak Mogwai

ŁUKASZ DUNAJ



Mogwai grają zwykle oszczędnie. Jak to Szkoci

Mogwai to zespół grający muzykę piękną i smutną zarazem. Ich skłonność do nadawania piosenkom dziwnych tytułów (tym razem między innymi „You're Lionel Richie” lub „George Square Thatcher Death Party”, a cała płyta nazywa się „Hardcore nigdy nie umrze, ale ty owszem”) kontrastuje z onirycznymi, leniwie sączącymi się dźwiękami. Klasycy nurtu zwanego post-rockiem na siódmej płycie dalecy są od rewolucyjności. Grają po prostu swoje, cierpliwie i mozolnie rozwijając głównie instrumentalne, transowe tematy. Mogwai bawi się dynamiką, nawarstwianiem napięcia, ale pozwala sobie także na uni-

ki wobec hermetycznej konwencji. Takie „San Pedro” jest chyba najbardziej pogodną i przebojową piosenką w ich dorobku. Obok niej zespół zamieszcza, jakby dla kontrastu, prawdziwą perłę, czyli przejmująco nostalgiczne „Letters to the Metro”, które sprawi, że podróż zatłoczonym metrem będzie mogła się wydać przeżyciem niemal mistycznym.

Mogwai czasami zagryza gitarowym hałasem, kiedy indziej zawiesi się na repetycji kilku pozornie banalnych dźwięków, ale zawsze jest to działanie prowadzące do celu. Na „Hardcore Will Never Die...” jest trochę więcej niż kiedyś elektroniki, pojawiają się nawet subtelne nawią-

zania do synthpopu czy zimnej fali, ale w gruncie rzeczy niby nie dzieje się na tej płycie nic spektakularnego. Na szczęście kwintet z Glasgow posiada rzadką umiejętność malowania całych muzycznych pejzaży przy użyciu nader skromnych środków. A dla prawdziwych hardkorów przygotował specjalną edycję albumu zawierającą drugi dysk z kompozycją trwającą, bagatela, 26 minut. Nie szkodzi, że długo. Z Mogwai czas się i tak zakrzywia.

**** Mogwai „Hardcore Will Never Die, But You Will”, Rock Action/Sub Pop

Uwaga! Śpiewa Clare Maguire!

Lepszego głosu w tym sezonie nie usłyszycie. Lepsze piosenki – na pewno

Pamiętacie Ellie Goulding? To ona miała być największym objawieniem ubiegłego roku. I co? Nic. Skończyło się na hucznych zapowiedziach. Ellie owszem, wydała niezłe przyjęty debiut, błysnęła jednym czy dwoma przebojowymi singlami, ale kariery nie zrobiła.

Rolę panny Goulding w tym sezonie gra właśnie Clare Maguire. W prestiżowym plebiscycie BBC „Sound of 2011” musiała wprawdzie zadowolić się dopiero piątym miejscem, ale już nagroda magazynu „Q” dla tak zwanej Następnej

Dużej Rzeczy powędrowała w jej ręce. Kciuki trzymają za nią między innymi Jay-Z i Jarvis Cocker z Pulp, o przyszłość 23-letniej wokalistki z Birmingham można być spokojnym.

Tymczasem na „Light After Dark” Clare powieliła wszystkie błędy poprzedniczki. Zamiast nadać swojemu debiutowi autorski sznyt, poświęca siebie na rzecz fabrycznie produkowanego tanecznego popu, jakiego mnóstwo wokół. Zamiast rzeczywiście napędzić stracha Florence Welch, w parady częściej wchodzi raczej Robyn, a i to z różnymi skutkami. Jest

jednak coś, czym Maguire bije na głowę Ellie Goulding i mimo wszystko pozwala wierzyć, że odniesie sukces. To jej głos – mocny, głęboki, dojrzwały. Coś jak krzyżówka Kate Bush, Alison Moyet, Fever Ray i wspomnianej Florence. Tylko czy to wystarczy, kiedy piosenki nie zawsze dotrzymują kroku temu kapitalnemu głosowi?

BARTEK WINCZEWSKI

*** Clare Maguire „Light After Dark”, Polydor

Chillwave pogrzebany

Premiera poprzedniego albumu Toro Y Moi „Causers of this” zbiegła się z apogee mody na chillwave, czyli gatunek zrodzony ze wspomniania i przetwarzania lat 80. przez osoby zbyt młode, by tę dekadę rzeczywiście pamiętać. Kolejną płytą Chaz Bundick postanowił dowiedzieć, że dobrą muzykę potrafi tworzyć także samodzielnie, a nie tylko pięknie kleić z cudzych sampli. „Underneath the Pine” – tytuł nawiązuje tyleż do żywej sosny, co do wieka trumny – ze stylistyką chillwave praktycznie nic nie łączy.

24-letni producent z Karoliny Południowej dobrał sobie prawdziwy zespół i napisał prawdziwe piosenki, z których znakomicie udały mu się dokładnie trzy: z lekka funkujące „New Beat”, eksperymentujące z harmonią „Go with You” i chwytliwa „Still Sound”. Reszta materiału każe powątpiewać w kreatywność autora, a czasem i w jego dobry smak.

Ale założenia zrealizował: żadnych sampli i studyjnych fałszerstw, żadnych stylistycznych czy chronologicznych jednoznaczności; jeśli kombinować, to tylko na żywo. I na żywo będzie się go pewnie lepiej słuchało, chociażby na dwóch majowych koncertach w Warszawie i Poznaniu.

MARIUSZ HERMA



*** Toro Y Moi „Underneath the Pine”, Carpark

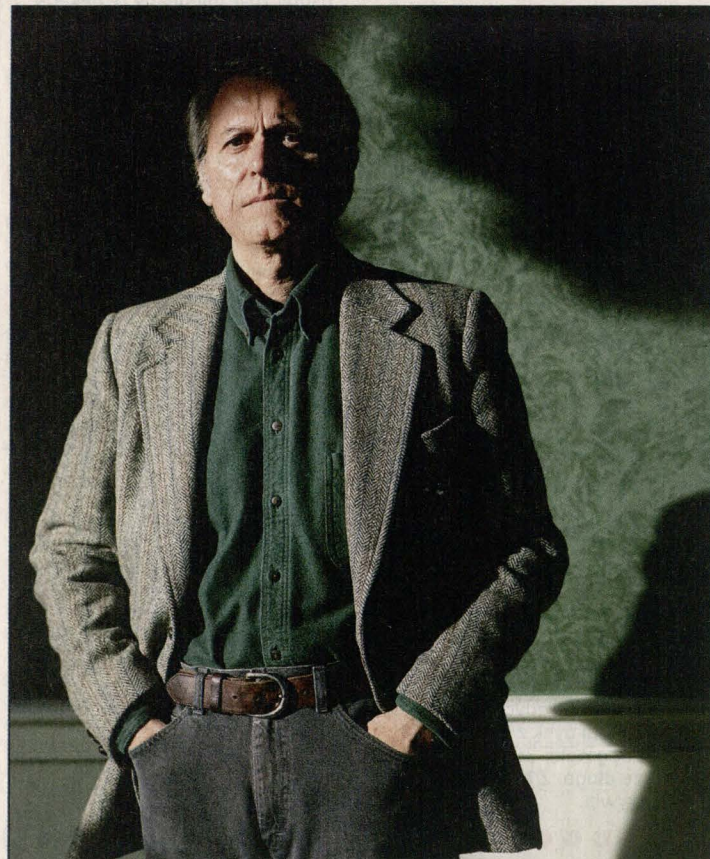


Chazowi Bundickowi tym razem samplowanie nie w głowie

Trzeba uważnie patrzeć

Nowy Don DeLillo: Irak, dyskurs, psychoza

MARCIN SENDECKI

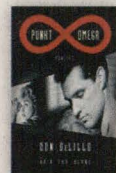


Don DeLillo jak zwykle zagląda pod podszewkę Ameryki i jej mitów

DeLillo, jeden największych mózgowców współczesnej prozy, tę ma wspaniałą właściwość, że nawet zajmując się paranoją, spiskiem i innymi przerażającymi sprawami (a zajmuje się nimi nader często), pisze zasadniczo bardzo klarownie i, by tak rzec, jest pobierany do ostatniego przecinka, a jego historie ujęte są w precyzyjne tekstowe konstrukcje. A jednocześnie są to zwykłe historie wysoce enigmatyczne, których sens sami musimy sobie dopowiedzieć, a w każdym razie natężyć uwagę i podjąć taką próbę. Jest trochę tak, jakby DeLillo zapraszał czytelnika do powtórzenia własnej drogi poznania – oto pisarz zagląda pod podszewkę świata i wpatrując się w kłębiące się tam demony, próbuje odczytać ukryte, na co dzień niedostrzegane sensory naszej współczesności, a wynik tych badań wtapia w prozę, którą nam daje do odczytania. „Trzeba bardzo uważnie patrzeć, żeby dostrzec to, co dzieje się na naszych oczach. Trzeba pracy, nabożnego trudu, żeby widzieć to, na co patrzymy” – to zdanie pada w „Punkcie Omega”, najnowszej książce DeLillo, ale wyjęte z kontekstu jak ułt pasuje do całej jego twórczości. Trzeba przy tym pamiętać o napięciu między „patrzeniem” a „dostrzeganiem” – każdy widzi trochę inaczej, a czasem mimo wysiłków nijak nie potrafimy dojrzeć tego, co nam pokazują. Może stąd, między innymi, bierze się hipnotyczny niemal efekt pisarstwa DeLillo: każde

jego zdanie jest „zrozumiałe”, lecz całość pozostaje niedocieczona.

W „Punkcie Omega” ta hipnotyczność jest chyba nieco mniejsza niż w najlepszych dziełach Amerykanina. Ramę opowieści stanowi (autentyczna) artystyczna instalacja: „Psychoza” Hitchcocka spowolniona tak, by trwała 24 godziny, pokazywana na ekranie w pustej sali muzealnej, oraz anonimowy narrator, który ją bezustannie ogląda. W środku zaś mamy starego naukowca, który przez jakiś czas pomagał rządowi „konceptualizować” iracką wojnę, wysłał dla niej wygodną władzom narrację – i filmowca, który chce zrobić dziwny dokument, w którym profesor opowiedziałby o swoich doświadczeniach w tej roli. Jest tu sporo świetnych fragmentów, ale to, co widać (co ja widzę?) na samym wierzchu, przekonuje umiarkowanie – począwszy od wojny w Iraku jako granicznego punktu ludzkiej ewolucji, aż po napięcie między przemocą „opowiadaną” słowem i obrazem a przemocą rzeczywistą. Zdaje mi się więc, że czytaliśmy już lepszego DeLillo. Ale może po prostu źle patrzeć?



Don DeLillo „Punkt Omega”, przeł. Michał Kłobukowski, Noir sur Blanc, Warszawa 2011, s. 118, 18 zł

Dandys zwiedza piekła

...czyli jednorazowe arcydzieło rosyjskiego imażynizmu

Nie możliwi byli ci rosyjsko-radzieccy pisarze! Wasilij Grossman w „Życiu i losie” zwrócił komunizm z hitleryzmem i był szczerze zdziwiony, że mu władza książkę skonfiskowała – choć co innego mogła zrobić? Podobno zaskoczony był też Marienhof, gdy w 1929 roku ukazał się „Cynicy” i jak najstuszej uznano ich za powieść antyradziecką. Pisarz tłumaczył, że wcale tak nie jest, i kajał się, ale – mimo że żył jeszcze 30 lat – był to kres jego kariery. Marienhof, dandys, wielbiciel Wilde’a, wierny druh Jesienina i współtwórca ima-

żynizmu, efemerycznego rosyjskiego prądu w poezji operującego słownym obrazem, napisał „Cyników” jako jedyną zapewne imażynistyczną powieść – przerażającą i urzekającą zarazem. Złączył w niej owe wyszukane i dobitne obrazy z filmowym montażem poszatowanego na drobne całości tekstu. Wplótł w opowieść o nieszczęsnych małżonkach (i dziwnych losach ich związku) wycinki z gazet i wypisy z dzieł historycznych – i dał wysoce oryginalną całość, której taką metodą chyba nie da się powtórzyć w innej opowieści (stąd jednorazo-

wość imażynistycznego arcydzieła). A przy okazji dał jeden z najoryginalniejszych i najbardziej ponurych obrazów początków bolszewickiej władzy i Rosji w ogóle.

MARCIN SENDECKI



Anatolij Marienhof „Cynicy”, przeł. Henryk Chłystowski, PIW, Warszawa 2011, s. 192, 30 zł



Anatolij Marienhof (z lewej) z Sergejem Jesieninem

Naród się doczekał

Marta Podgórnica zgotowała polskiej poezji nie lada inferno

DAREK FOKS



Wiersze Podgórnica są nieprzyjemne? A świat jest przyjemny?

Eden z wierszy z najnowszej zbioru Marty Podgórnica zaczyna się krótkim poleceniem: „Pisz wiersze, naród czeka”. Mniejsza z tym, czy owo polecenie wydał jakiś wyposzczony czytelnik, czy też może poetka cytuje samą siebie, ważne, że ostatecznie zostało ono wykonane w najlepszy z możliwych sposobów i z dala od popapranego krainy, o której autorka pisze w wierszu „Gorzkie żale”: „Tak, kotki, Bóg istnieje. Teraz słucham Waszych przewidywań wierszy / i wiem, że istnieje, bo człowiek nie mógłby sam z siebie być tak / perfidnie samozachwycony tym, że potrafi jako tako skleić trzy albo / cztery zdania i ktoś mu to wyda”.

Naród z utęsknieniem czekał na nowe wiersze Podgórnica, ponieważ został zmierzony totem „Pięć opakowań” (2008) gromadzącym cały ówczesny dorobek poetki i z jakiegoś powodu przyjętym jako zapowiedź długiego milczenia albo nawet całkowitego zamilknięcia. Tak podkreślony naród z niecierpliwością czekał, zapominając o tym, że autorka jest wciąż młodą autorką, a „wiersze zebrane” wydane przed trzydziestką to po prostu chwila na oddech albo próba „wierszy zebranych”, na które przyjdzie jeszcze czas po sześćdziesiątce. „Rezydencja surykatek” jest tego najlepszą ilustracją. A co do chwili na oddech, to Podgórnica pisze o niej w tych samych „Gorzkich żalach”: „Tak, czasami udaję głupszą, niż jestem, żeby kolegom nie robić / przykrości. To jak zwalniać bieg, kiedy się z kimś ścigasz, z kimś, kto / jest Ci zbyt drogi, żebyś chciał z nim wygrać”.

Skąd u Podgórnica ta twarda postawa wobec świata literackiego, porównywalna chyba tylko z postawą Johna Berrymana zaprezentowaną w poetyckich arcydziełach „The Dream Songs” i „Love & Fame”? Skąd bezlitosne, precyzyjne uderzenia w naszą kulturę, którymi „Rezydencja surykatek” skrzy się jak dyskotekowa kula? Skąd tak radykalne spojrzenie na tych, którzy jak w wierszu „Angelus”: „U prądnicyki siedzą Bo chcą miejsko-wiejską / Powieść skonstruować mitteleuropejską”? Odpowiedź jest bardzo prosta: z inteligencji, obycia, spostrzegawczości i talentu. No i z dramatu, który najpiękniej i najbardziej złowrogo brzmi w zakończeniu wiersza „Zawsze”: „Na splewiałych rzęsach brylantowy diadem. Ktoś gdzieś posiał burzę i wracała gradem”.

Dawno nikt tak nie ustawił głosu i nie zaśpiewał w naszej poezji. Dawno nikt tak nie testował swojej pieśni na ludziach. Ta wirtuozersko skomponowana melodia długo chodzi za czytelnikiem; przyczepi się nawet do tego, któremu lekturowe przyzwyczajenia i zgnębiona tradycja mówią, że chwilami jest za ostro, że ktoś tu się chyba myli. Tylko że Marta Podgórnica jest poetką, więc nie myli się nawet wtedy, kiedy się myli, co najwymowniej świadczy o sile jej poezji i pozwala z czystym sumieniem nazwać „Rezydencję surykatek” książką wybitną.



Marta Podgórnica „Rezydencja surykatek”, Biuro Literackie, Wrocław 2011, s. 72, 27 zł

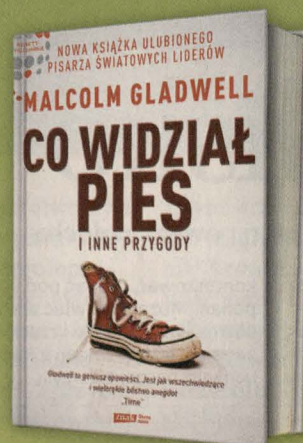
REKLAMA

Eduardo Mendoza
Trzy żywoty świętych

Święty, który nie chodzi do kościoła i nie czyni cudów? Niemożliwe?

PATRONAT INTERIA.PL

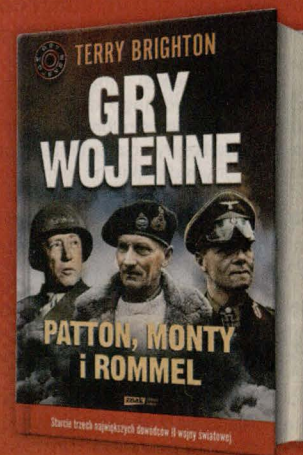
Seria PUNKTY PRZEŁOMOWE – ULUBIONE KSIĄŻKI ŚWIATOWYCH LIDERÓW



Przygotuj się na olśnienie!

MALCOLM GLADWELL
to guru marketingu, autor Błysku i Punktu przełomowego!

NOWA SERIA GRY WOJENNE



Starcie trzech największych dowódców II wojny światowej
Stawką jest WYGRANIE WOJNY!

znak litera nova

Zrobiona przez Polaków gra kosztowała więcej niż film „Quo Vadis”



Weselisko

„Bulletstorm” – czysta, nieskrępowana radocha

Są jeszcze takie wesela. Trzystu gości, ciepła wódka, obowiązkowa garmazetka, no i zabawy. Gorące krzesła, tańce na gazecie, przepychanie jajka przez spodnie. Można

kontestować, stanąć pod ścianą i być ponad. Można też wlać w siebie stosowną ilość gorzałki i rzucić się w wir zabawy, licząc, że pan z kamerą nie uchwyci naszej twarzy.

„Bulletstorm” to takie właśnie weselisko. Z ekranu nieustannie lecą strumienie krwi, rozerwane flaki i potok błuzgów – przyznać trzeba, że całkiem pomysłowych, bo autorzy zdołali się wyrwać poza standardowe „Fuck you, fuckin’ motherfucker”.

Polskie tłumaczenie jobów nie dorównuje wersji angielskiej, co może być o tyle zastanawiające, że to przecież polska produkcja. Gra powstała w studiu People Can Fly kierowanym przez Adriana Chmielarza. Jedno jest pewne – pisząc o niej,

nie można używać sformułowania „dobre, bo polskie”. Dobre, bo dobre – w „Bulletstorm” nie ma niczego, co odstawałoby od światowej czołówki.

Jest więc pięknie zrobiona grafika oparta na silniku graficznym Unreal Engine 3.0, jest całkiem sensowny (jak na strzelankę) scenariusz, a przede wszystkim pomysł. Koncepcja nie brzmi wybitnie – oto rozwalamy w drobny mak przeciwników, a im efektowniej, bardziej pomysłowo i krwawo to zrobimy, tym więcej dostajemy punktów. Za punkty kupujemy, a jakże, broń, dzięki której możemy bardziej efektownie, pomysłowo i krwawo rozwalać przeciwników. No właśnie, to jest ten moment, w którym trzeba podjąć decyzję – stoję pod ścianą czy rzucam się w wir rozrywki.

Jeśli jednak damy się uwieść tej subtelnej zabawie, szybko okaże się, że i w weselisku można się kompletnie zatracić. Przemoc w „Bulletstorm”, choć przedstawiona całkiem dosłownie, robi tak karykaturalne wrażenie, że nie sposób brać jej serio. Mocno rubaszny humor nieźle pasuje do całości i ani się obejrzymy, jak zegar wskaże trzecią w nocy. A przecież o to właśnie chodziło. No i rano nie ma kaca.

PIOTR STANISŁAWSKI

„Bulletstorm” People Can Fly/Epic, Electronic Arts, Windows, PS3, Xbox 360, 130–200 zł

Wstań z fotela i walcz!

Przykucnąć za murkiem, wychylić się, strzelić i do przodu. „Killzone 3” stawia na testosteron, rozgrywka nie zaskakuje. Różnicę czynią technologiczne nowinki

Planeta Helgan. Przetrzebione siły inwazyjne, w których skład wchodzi, wycofują się pospieszenie, niebezpiecznie rozproszone, w stronę miejsca ewakuacji. W ruinach metropolii zniszczonej atomową eksplozją czają się Helgaści. Tacy jak ja, z pnia rasy ludzkiej, ale twarze kryją pod maskami, przesłony oczu gorącą piekielną żarą. Start trick – odczłowieczyć, zdemonizować, aby zabijanie przychodziło łatwiej. A „Killzone 3”, zgodnie z nazwą, to przede wszystkim hurtowe zabijanie. Uderzam kolbą lub biję ze strzelby z przyłożenia niczym ołowianym młotem. Na krótkim dystansie pruję serią z karabinka szturmowego, na średnim mierzę dokładniej przez celownik taktyczny. Snajperką zdejmę gołębiarzy, wyrzucię raket lub granatami zlikwiduję osłonięte gniazdo

broni ciężkiej. Zmasowanym ogniem ze zdobycznego kaemu utoruję drogę dla towarzyszy broni. Wbity w czterometrowy egzoszkielet z podwieszonym działkiem i wyrzutnią rakiet lub obsługując wieżyczkę strzelniczą wozu bojowego, dysponuję jeszcze większą siłą ognia.

Wszystko już było, ale twórcy „K3” wiedzą, jak zaprojektować ogródek jordanowski dla dorosłych chłopców. Tempo nie słabnie, poziom adrenalin nie opada. Jest i nadobne dziewczę, któremu trzeba przyjść z pomocą – krótko mówiąc, banał doskonały. Ale za to z wyróżniającą tę grę na tle średniej prezencją. Zasnawające pole bitwy dymy, skry od kul trzaskających w pancerz i dobre udźwiękowanie ułatwiają wczucie się w rolę frontowego bohatera. Nie ułatwiają tego: sztapowa konstrukcja po-



„Killzone 3”, czyli strzelanie na okrągło. Z przerwami na rzut granatem

staci, także scenariusz (od patosu aż mdli), a także dubbing. „K2” śmieszyło nadmiernie purytańskim językiem, „K3” – zwrótem w drugą stronę. Żaden wojak nie przeklina tu „Motyla nogą!”, ale wypowiedziane z namaszczeniem, na teatralnym koturnie: „Ja pie...le!” brzmi żenująco sztucznie.

Mimo zachowawczości i potknięć „Killzone 3” jest jaskółką nowego. Kontrolery Move wpięte w atrapę zaprojektowanego z my-

ślą o PlayStation 3 karabinka Strzelec (Sharp Shooter) dają złudzenie, że biorąc wroga na cel, mierzymy z prawdziwej broni. Przy wykorzystaniu specjalnych monitorów i okularów migawkowych można też grać w „Killzone 3” w trybie trójwymiaru – ale tego nie polecamy, szkoda oczu.

OLAF SZEWCZYK

„Killzone 3”, Guerrilla Games, Sony, PlayStation 3, 199 zł

Śmiech na ostrzu brzytwy

Zmarła IRENA KWIATKOWSKA. Można powiedzieć o niej, że stworzyła nowy gatunek sztuki, i nazwać go jej nazwiskiem

JACEK WAKAR

Ostatnie lata wielkiej aktorki były pogodnym gaśnięciem. Jak wcześniej z Kabaretem Starszych Panów albo Dudkiem, tak teraz zrosła się z Domem Aktora Weterana w Skolimowie. Bywałem tam dość często i niemal za każdym razem ją widywałem. Siedziała na ławce przed budynkiem albo na krześle przy recepcji. Wystarczyło popatrzeć chwilę dłużej, by zrozumieć, że jest w swoim świecie. Zawsze się uśmiechała, często witała gości. Któregoś razu przyjechałem z dziećmi. Zaczęła mówić do nich z rozbrajającą radością. Potem opowiedziałem chłopcom, kto to był. Oby zapamiętali.

Grała, do kiedy mogła. W maju 2000 roku Jarosław Kilian wystawił w Teatrze Polskim w Warszawie „Zieloną Gęś” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Irena Kwiatkowska znowu wcielała się w specjalnie dla niej napisaną przez poetę rolę Hermenegildy Kociubińskiej. Obok pojawiali się niemal wyłącznie młodzi aktorzy. Kabaretowy seans dzięki niej był czymś więcej niż repetycją dobrze znanego materiału. Taka „Sierotka” na przykład. „Isia ma tatusia, Basia – mamusię, Ciocia – ciocie, Zosia – stryja. Ja jestem niczyja. Biedna sierotka” – Kwiatkowska śpiewała te nieśmiertelne frazy, nie chcąc udawać, że czas stanął w miejscu. Ciągłe akcentowała tembr głosu, który przez lata stał się jej znakiem rozpoznawczym. Ale tu i ówdzie zabrakło oddechu, głos stał się odrobinę bardziej zachryp-

nięty. A jednak z każdej piosenki stworzyła zamknięte w trzech minutach arcydzieło. Nie dało się, i ciągle się nie da, zrobić tego lepiej.

Po tym, jak usłyszałem o śmierci aktorki, posłuchałem „Sierotki” raz jeszcze z płyty DVD. A potem utworów z Kabaretu Starszych Panów, na czele z „Tangiem Kat”. I przypomniałem sobie, co kiedyś o Kwiatkowskiej mówił zachwycony jej charyzmą Gustaw Holoubek: „Kunst komediowy jest o wiele trudniejszy od dramatycznego. Zresztą granica jest prawie żadna, ale na ostrzu brzytwy. Poczucie komizmu jest pewnym typem wyobraźni, który uwzględni absurd i jakąś destrukcję realizmu. Irena Kwiatkowska operuje tym typem wyobraźni perfekcyjnie, ale przejście do tragedii, jestem tego pewien, nie stanowi dla niej trudności”. Trafił w sedno. Kiedy patrzy się na sceniczne miniatury Kwiatkowskiej, znać, że pod śmiechem jest drugie dno. Nuta nostalgii, ledwo wyczuwalny smutek. Dlatego dziś warto powiedzieć, że straciliśmy aktorkę niewykorzystaną. Choćby to brzmiało nawet najbardziej niedorzecznie.

No bo jak? Ponad 70 lat na scenie – czy ktoś zna drugi taki dorobek? Ponad 120 teatralnych i filmowych ról, a wśród nich wiele takich, które stały się kultowe – wymieńmy tylko „Wojnę domową”, „Czterdziestolatka”, „Halo Szpicbródka...”. Oba wspaniałe kabarety, w których obok Przybory, Wasowskiego i Dudka Dziewońskiego była ikoną. I jeszcze

arcymistrzowskie interpretacje tekstów dla dzieci, przypomnijmy „Plastusiowy pamiętnik” Kownackiej oraz „Ptasie radio” Tuwima. Więc raczej nadmiar, nie niedosyt. Gdy jednak patrzy się na kolejny komiczny *tour de force* Kwiatkowskiej, widać, że rozsądzała każdą narzuconą jej formę. Była mistrzynią groteski, która potrafi zburzyć każdy jednoznaczny obraz. Dlatego łatwo znaleźć role, których Kwiatkowska nie zagrała, i próbować je sobie wyobrazić w jej wykonaniu. Mam wśród nich jedną ulubioną – to Janina Węgorzewska, tytułowa Matka z dramatu Witkacego. Widzę w tej partii Kwiatkowską. Zagrałaby ją, tak sądzę, jak nikt inny. Łamiąc tragiczne tony opętaniczym śmiechem, uciekając przed zaszufładowaniem, które stało się jej udziałem.

Kiedy odchodzą wielcy artyści, powtarza się ciągle te same slogany. Tyle że wobec Kwiatkowskiej nawet frazy o nieśmiertelności nie tchną kliwym banałem. Żyła 98 lat, zatem myślało się o niej jak o punkcie stałym. Mogła milczeć w swoim świecie w Skolimowie, a jednak wydawało się, że jest, będzie, być musi. Gdy idzie o kabaret czy komedię, nie miała sobie równych. A przy tym graniu przychodziło jej z bezwstydną łatwością, choć ceną za to była wytężona, trwająca lata praca. „Najtrudniejsza w sztuce jest łatwość” – napisał kiedyś Witold Gombrowicz. Irena Kwiatkowska mogła podpisać się pod tymi słowami.

Zostanie ze mną jej uśmiech.



1912–2011

For. Zygmunt Januszewski/TVP/East News



ŁADNE RZECZY

Espresso, ekspresem!

Są w życiu rzeczy ważne, ważniejsze oraz kawa

OLA SALWA



Do Presso wlewasz wodę z czajnika i dostajesz kawę z ekspresu ciśnieniowego. Obok – urządzenie do spieniania mleka

Mała czarna to najlepiej wylansowany produkt świata. Materiał dowodowy stanowią wszelkiej maści filmy oraz seriale. Jeśli bohaterowie ze sobą rozmawiają, to oczywiście tylko przy kawie, jeśli umawiają się na randkę, to na kawę (często zresztą spotkanie kończy się przy śniadaniu, do którego jest podana, a jakże, kawa), jeśli nie wiedzą, co ze sobą zrobić, najpierw piją kawę. Znajomość cudzych kofeinowo-mleczno-cu-

krowych preferencji świadczy o głębokim uczuciu i przywiązaniu, przekonuje – głównie samego siebie – Kurt z „Glee”. A rozmowy o życiu najlepiej smakują przy małej czarnej i papierosie, co wiemy oczywiście od Jima Jarmuscha.

Co znamienne, za tą miłością i promocją nie stoi żadna złowieszczą korporacja – w przeciwieństwie do setek innych produktów pojawiających się na ekranach marki kawy nie

znamy nigdy, co jest dowodem jej prawdziwej potęgi i naszego uzależnienia. Zazdrościmy od lat próbują zdetronizować czarną królową, przekonując masy, że ta rujnuje serca i nadmiernie eksploatuje lokalne złoża magnezu i potasu. Od lat trwa historyczna kampania zielonej herbaty, rzekomo korzystniejszej



Do wyboru, do koloru, czyli ekspres na kapsułki A Modo Mio włoskiego potentata Lavazzy



Ekspres dla Pinokia, czyli drewniany Øystein Helle Husby

od kawy pod każdym względem. Nie zamierzamy dyskutować z argumentami zdrowotno-naukowymi, jesteśmy tylko ciekawi, czy ktoś wyobraża sobie pobudkę w domu, w którym pachnie jaśminową senchą? Randkę przy naporze z banchy albo spotkanie biznesowe przy filiżance „alkalizującej organizm” kuki-cho? Dla pobudzenia fantazji muszę się chyba napić kawy.

PS Tekst powstał przy współpracy cappuccino namleku sojowym.



Brunopasso PD-1 ożywia nie tylko zaparzoną kawą, ale także soczystym kolorem obudowy

OBYCZAJÓWKA

Kebab i beton

...czyli Polaka widok z okna w Hamburgu



MICHAŁ WITKOWSKI

Nie wiem dlaczego, ale czuję niechęć do Polaków z emigracji. Do nikogo konkretnego, fakt, ale w Polaku na emigracji jest coś nieprawdziwego. Ma głębię. Ani tu, ani tam. Kto był, ten wie. A z całej emigracji ci z Niemiec wydają mi się najstraszniejsi, jacyś tacy cwaniakowaci. Z tych zaś „Polak z Hamburga” przyprowadza mnie o prawdziwy ból zębów. Jeśli jeszcze mieszka w dzielnicy „również między innymi polskiej” Billstedt, uciekam, gdzie pieprz rośnie. Wiem, że tam może mieszka ktoś, kto mnie czyta, lubi i jest fanem na moim Facebooku. I po przeczytaniu tego felietonu nie przyjdzie na mój wieczorek autorski w Kunsthausie. Albo wrzuci tam bombę. Bóg mi świadkiem – nie podlizuję się emigracji. Jestem gotów poleć za prawdę. Z góry ją (mam target wyłącznie żeński) przepraszam. Ale Polak na emigracji w Hamburgu, zamieszkały w dzielnicy Billstedt, to horror, a już dziewczyny stamtąd w ogóle sobie nie wyobrażam.

Co różni nasze blokowiska od niemieckich? Polskie betonowe dzungle są jednokulturowe – to ich wada i zaleta. Wada, bo nudno tam jak diabli, śmierdzi tylko wszystkimi obiadami z wywietrzników i spać się chce. Czasem wywieszę coś o trutce na szczury świeżo wysypanej w piwnicy i to jest odmiana. Ale przede wszystkim jest to zaleta. Ponieważ nie wyglądają jak Billstedt. Po co w ogóle emigrować, żeby wylądować w piekle? Wyobrażam sobie Polaka na emigracji, stojącego w oknie, palącego

papierosa i patrzącego na bloki ohydnej dzielnicy Billstedt, na trawniki, place zabaw, anteny satelitarne na balkonach, na cały ten racjonalny krajobraz płaskiej jak stół Północy. Na dole otwarty kebab, przed nim chłopcy na motorach, Arabstwo, ich dzieci z tornistrami, ich żony zakwefione, ich kuchnie zbyt ostre. Neon nad stacją U-Bahnu U2 jak księżyc. Rosjanie, Turcy, Polacy. Kebab, wódka, beton. Całe morze wódki i całe morze betonu, a w tym beton nie rozlega się dudnienie muzyki puszczanej na ful w autach. Cerkiew, Allah, kasa. Arabcy w weekend parkują na trawniku pod domem Polaka, rozkładają żarcie na masce samochodu, otwierają na oścież wszystkie drzwi, żeby muzyczka grała „Habibi, habibi” i kupią się wokół. Porzuć wszelką nadzieję, który tu przybywasz. Wśród betonowej pustyni roznosi się nie tylko dudnienie, ale i strzępy niespełnionych pragnień, kubki ze słomkami z McDonald'sa, zużyte kondomy, zapach psiego gówna, tanich, słodkawy jak kadzidełko indyjskich perfum. Bo nie pomogą przetrwać: ludzi jest za dużo i będzie jeszcze więcej. Arabska sperma i ruski pot. Mróz. Zamarznęte gówno. Zamarznęte wszystkie płyny ustrojowe poza łzami. Bo nikt nie ma czasu się rozklejać, gdy trzeba być twardym. Niedzielną nudą. Z każdego okna inne odgłosy. Znowu popisali w windzie, posprejowali, i jeszcze te swastyki. Znowu napadli z kijem bejsbolowym. Nie ma zmiłuj. Co to za Północ, kiedy tyle kolorowych wokoło – myśli Polak, który od urodzenia jest nietolerancyjny. Choćbyś był Duchem Świętym, w Billstedt po tygodniu zostaniesz rasistą i ofiarą. Naraz.

W ogóle niemieckie osiedla emigracji, takie, jakie znamy z Berlina, są niehumanitarne i rodzą zło. Opisem takiego właśnie molochu Christiane F. zaczęła swoją książkę „My, dzieci z dworca ZOO”. Przeprowadziła się ze wsi na betonową pustynię i pięknie pokazuje, jak bloki i nienawiść doprowadziły ją do heroiny. A wtedy, w latach 70., co drugi bezrobotny był jeszcze na obfitym socjału. Te czasy, jak wiadomo, minęły i będzie tylko gorzej.

Czasami przed zaśnięciem wyobrażam sobie, że mieszkam w Billstedt. Moje dzieci dojeżdżają U-Bahnem do polskiej szkoły, a żona pracuje w Aldim przy kasie. Ja zaś jestem bezrobotny i patrzę przez okno. Zaspam, śniąc mi się koszmary.

ROMAN KURKIEWICZ

Polska
a przyczepka
rowerowaLEWO
MYŚLNIE

Być może już wkrótce będzie można wozić dzieci, psy i małe słonie przyczepkami rowerowymi. Na razie, choć bezpieczniejsze od krzesłek, są one nielegalne



Sejm znowelizował prawo o ruchu drogowym tak, że wkrótce legalne będzie korzystanie z przyczep do rowerów, w których mogą podróżować chociażby dzieciaki. Zabrało to posłom lata ciężkiej pracy. Przyczepki mają same wady, w odróżnieniu od obowiązujących fotelików. Kiedy rower się przewraca albo jest przewracany, przyczepka twardo stoi na swoich kołach. Można w niej przewozić nie tylko jedno dziecko – można wozić dziecko i zwierzątko. Przyczepki są duże i jasne, dobrze widoczne z daleka. Dzieciaki z psem może jechać taką przyczepką o każdej niemal porze roku i w dowolnej aurze. Widzi, co się dzieje wokół. To wszystko wciąż nielegal. To wszystko wykroczenie, przestępstwo.

Ale sprawa przyczepki to coś więcej. Pokazuje, że nawet niewielkie poprawki w przepisach mogą sporo zmienić, ale nie ma woli, żeby je wprowadzać. Jest tyle ważniejszych kwestii: niepodległość Białorusi, ustawa antyhazardowa, antydopalaczowa, budowa koszarów boiskowych, rozgrywanie wewnątrzformacyjnych pojedynków, nieokazywanie słabości rządzących przez nieodwoływanie ministrów złych, słabych i nijakich. Nie ma czego zmieniać, bo tak przygotowujemy grunt pod powrót Jarosława. A Jarosław rączki zaciera, oczkiem błyska, wigor mu wraca.

Ostatnio premier powiedział, że ktoś tu musi rządzić. Naprawdę? Dlaczego 40-milionowym krajem mają rządzić jacyś tacy, którzy tak są przywiązani do fotelików, że nie widzą, iż nadchodzi czas przyczepki? Te rowerowe zaczepki nie dotyczą tylko obecnego premiera. Dotyczą też, albo bardziej, poprzedniego. I co najdziwniejsze, kolejnego, ktokolwiek nim zostanie. Ale przyczepki nadjeżdżają. Jak byśmy to kiedyś powiedzieli: z historyczną koniecznością.

NIE TAK: JANEK KOZA



Autor: Jerzy Buczek

JOLKA NR 10

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

K11 H11 G6 F1 D10 B8 A2 H12 C11 I9 K2 E6 A7 C8 A4 B10 D1 C12 E5 F8 G2 I4

A6 D12 E9 C2 H D4 C7 G7 B3 K5 J12.

Wyrazy
10-literowe:

- POCZWARKA ŻONY
- CIĄGNIĘ SIĘ Z WENEZUELI

Wyrazy
8-literowe:

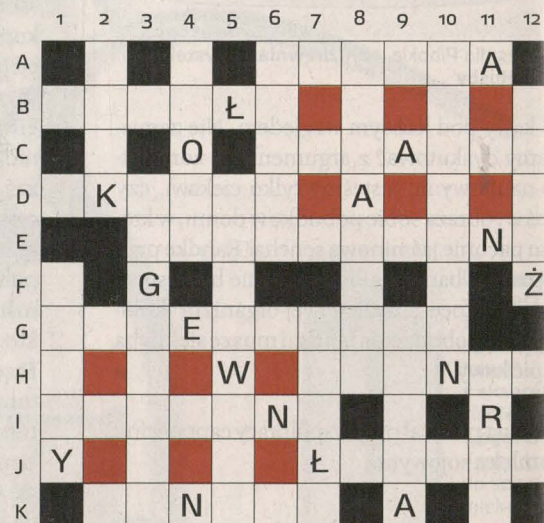
- ŚWIĘTEMU JANOWI PRZYŚWIECA
- ZWYCZAJNY GONIONY
- THE NAUCZYCIEL
- CO LIPIEC SZCZĘKA

Wyrazy
7-literowe:

- ZAKŁADANY DLA ŚMIECHU
- ALA PRZEKŁADA ASA

Wyrazy
6-literowe:

- FRYZ NA WYNOS
- KROPKA NAD MI
- OPIERA SIĘ STOŁOWI
- NA PULPICIE DIAKA
- AMOR ZAMÓWIŁ STOŁIK
- SĄSIADKA WNIOSKU

Wyrazy
5-literowe:

- PRZED PAŃSTWEM – ZRĘCZNOŚĆ!
- DO DARTA TOTO
- CZARNE DWUNASTOCALÓWKI
- UNIOŚŁA WANDE OD NIECHCENIA

- ULUBIONE MIEJSCE KLAUSTROFOBA
- PRZY VERY IMPORTANT BOKU

Wyrazy
4-literowe:

- GORĄCA ZALEWA
- SCHOWAŁ TATCE KALAFONIĘ

ROZWIĄZANIA Z NR. 8

Krzyżówka: SZWADRON
Poziomo: 1. ZA TWOIM PRZEWODEM – PRZELĄCZNIK 7. BIERZE WSZYSTKO DO SIEBIE – SOBEK 8. CIĄGNIĘ KONIA POD GÓRĘ – POWÓZ 9. CZERWONA WYSYPKA – KORT 10. EFEKT BICIA – WYPŁYW 12. Z PIONOWO DO POZIOMO – NOKAUT 14. DOKTOR N. – DREN 17. PROSZĘ SIĘ UBRAC – NAKAZ 18. KOLEJANKI PO PIÓRZE – REWIA 19. O OBROTACH CIAŁ NIEBIESKICH, ZIELONYCH, CZERWONYCH I ŻÓŁTYCH – KALEJDOSKOP
Pionowo: 2. MIENIA IMIENIA JANOSIKA – ZABÓR 3. HAUSTO – LYKO 4. SZPIKI Z WŁOSKIEGO BUTA – CYPRYS 5. ZABAWA BEZ KAR – NAWAL 6. OPODAŁ

KRZĄCZKA – KRZEWINKA 7. ZAWSZE NA CYKU – SEKUNDNIK 11. HERBACJANY STRUMIEN – RUCZAJ 13. DODAJE KOLORYTU ŻYTU – KĄKOL 15. ŚCIEŻKA DŹWIKOWA – ROWEK 16. 3 NA CZTERY LITERY – TRIO

Jolka: PODRÓŻ DONIKAD TEŻ ZACZYNA SIĘ OD PIERWSZEGO KROKU (z „Rozbítka” Chyba Palahniuka)
Rzędami: PRZEKOP, STWORZY, PLAŻA, DOMOKRĄCZA, KRAM, GROSIK, ASYŻ, SANECZKARZ, DZWON, FISKUS, KOMÓDKA
Kolumnami: PEPEK, ROGALIK, ZWADA, ZONGLERKA, KRAM, ODZYSK, PSIKUS, ADAM, ŚWIĄTKARZ, SZWED, TRZCINY, ŻONKA

LAUREACI Z NR. 7

Krzyżówka:

Urszula Kilarska, Wrocław;
Anna Miziewicz, Gorzów Wlkp.;
Agnieszka Turska, Łuków;
Lidia Wasyluk, Olsztyn;
Paweł Wawrzyniak, Płońsk

Jolka:

Izabela Kowalska-Wieczorek, Toruń;
Marian Michałowski, Poznań;
Jolanta Pawlak, Łódź;
Barbara Psujek, Gorzów;
Maria Szwałko, Warszawa

JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA



Pyszne, choć niedopuszczalne

Opowiadałem już Państwu o nie-zwykłej liczbie robionych w mojej restauracji befsztyków tatarskich. Pewnego razu odwiedził nas gość, jak się później okazało, hodowca orzeszków ziemnych z Karoliny Południowej. Gdy kucharz skończył siekać dla niego mięso i przyrządził tatar, poprosił go o wrzucenie gotowej, jak nam się wydawało, porrawy na ruszt i usmażenie jej. Tak go jadł z nadzwyczajnym smakiem. Krzychał, że to najlepszy hamburger w jego życiu. Od tej pory co kilka miesięcy zagląda w tę stronę świata na to danie. Czasami to, co dla jednych jest niedopuszczalne, dla innych jest niebem w gębie. Pierw-

szym dorosłym smakiem, który pamiętam z mego dzieciństwa, była smażona na maśle polędwica. Podaję ją w mojej restauracji, nazywa się Przekąska Gesslera. Potrzebujemy dwóch patelni (to pierwsza tajemnica). Na jedną i drugą wlewamy sklarowane masło. Na jednej smażyć będziemy pokrojoną w piórka cebulę, na drugiej polędwicę. Z tej wykrajamy trzy 1,5-centymetrowe plastry, obtłukujemy raz z dwóch stron tłuczkiem do mięsa (to ten fragment o niedopuszczalności. Każdy bowiem wie, że aby usmażyć stek, mięso po ucięciu ubija się pięścią, a nie tłuczkiem, by nie rozerwać włó-

kien). Tajemnica mojej przekąski tkwi chyba w tym tłuczku. Gdy masło na obu patelniach jest już bardzo rozgrzane, kładziemy na jednej mięso, a na drugiej cebulę. Smażymy. Cebula ma być złota, a plastry polędwicy obustronnie obsmażone. Zdejmujemy mięso z patelni, kładziemy na nagrzaną talerz, oblewamy sosem z podsmażenia, na nie kładziemy zdjętą z patelni cebulę, polewamy wszystko masłem z cebulowej patelni, solimy grubą morską solą. Ja do tego podaję białą bułkę grubo posmarowaną masłem. Co będę Państwu opowiadał – pyszne! Zapraszam do kuchni i do stołu.

Program „Wściekle gary” Adama Gesslera oglądajcie w soboty o 14.10 w TVP Polonia

BRACIA M

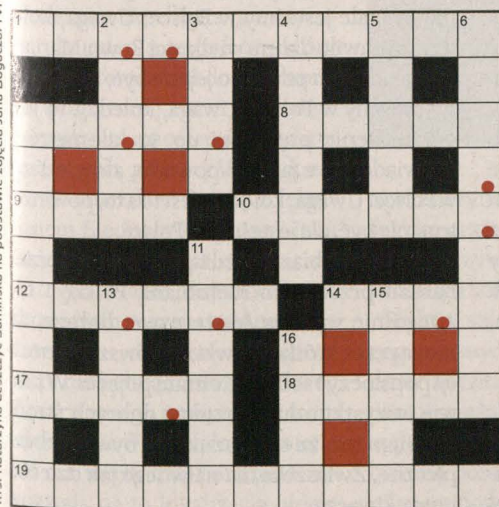
BARTOSZ
I TOMASZ
MINKIEWICZWWW.FACEBOOK.COM/
WILQSUPERBOHATERMYŚLNIK
KRZYSZTOF
BILICA

Taniec
na linie
powinien
być
solowy.

Przygotowuje: Zespół KALIBER 45

KRZYŻÓWKA NR 10

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.



POZIOMO:

- PLYWANIE W ZA DUŻYCH BUTACH
- BOI SIĘ WODNIKA
- ROZKŁADA SIĘ NA SŁOŃCU
- JE SIANO
- DETAL METAL
- POSPIESZNY Z GNIEWU DO WRZESZCZA
- DUŻA PARTIA
- KREWNY CZŁOWIEKA
- SŁOMIANA PANNA
- NIE JEST SUPER

PIONOWO:

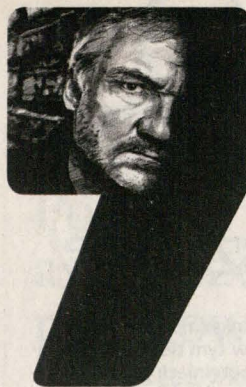
- TYLKOT STAROPOLSKIE
- PROSTOCIASTOŚCIAN FOREMNY
- SPA TAK, SPANIE
- BOI SIĘ ZASTRZYKÓW
- WPUSZCZONA W KANAŁ
- CZŁOWIEK PEŁNĄ GĘBĄ
- CIĄGNIĘ SZNUR
- RÓWNO POD SUFITEM
- OBERWANIE GÓRY
- TA JAJA



Nagrodą w tym tygodniu jest książka **Petera Conrادية i Marka Logue'a** „Jak zostać królem?” (Świat Książki)

Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 14 marca 2011. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również zgłoszenia ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.



Książę Kościoła modlił się i kroczył w osobiwie – rzekłbym – sportowo wojskowym rytmie, marsz, zwrot, marsz, zwrot i tak w koło, nawet kacerska mysz by się nie przesliznęła

24 LUTEGO

Nie roniąc ani krztyny z niechęci do podróży, byłem zarazem całe życie pewien, że najdoskonalszym w tej mierze środkiem jest kolej. Zalety wiadome: można nawiązać jakiś ciekawy, a nawet intensywny kontakt towarzyski, można poczytać, pogadać, posłuchać, wyjść na korytarz, by rozprostować kości; można całą drogę próbować zgadnąć, jaką to książkę – z całkowicie skandalicznymi wypiekami – czyta siedząca pod oknem towarzysza podróży. Można też było – to prawda – natknąć się na jakąś minę czy inny niewybuch, ale w tamtych czasach i takie niebezpieczeństwa bywały – bo ja wiem – z jednej strony łagodniejsze, z drugiej komiczniejsze.

Pamiętam, raz byłem w silnej potrzebie pójścia do warsu, potrzeba była neurotyczna, o kanapkę z serem mi nie szło – wszystko jedno – do rytualnej wędrówki nie doszło. Dlaczego? Nie zgadniecie nigdy. Choćbyście milion lat zgadywali, nie zgadniecie. O co szło? A oto, że przez większą część jazdy korytarzem wte i wewte krążył kardynał Macharski i zmawiał różaniec. Klęska zupełna, droga odcięta, o jakimś niezauważalnym przemknięciu się szkoda marzyć. Książę Kościoła modlił się i kroczył w osobiwie – rzekłbym – sportowo wojskowym rytmie, marsz, zwrot, marsz, zwrot i tak w koło, nawet kacerska mysz by się nie przesliznęła. Poza tym jakże to tak? Człowiek na ratunkowe piwo pomyka, a tu rozmodlony kardynał nadciąga! Rozmodlony i darem ducha obdarzony, nie trzeba mu psychologizmu, widzi wszystko.

Może gdybym był katolikiem, dałbym jakoś – Szczęść Boże! Szczęść Boże! – radę. Może dla rzymskich współbraci spotkanie kardynała w pociągu czy wręcz na wagonowym korytarzu to byłaby rzecz prostsza – dla mnie nie do przejścia.

Cytowałem już kiedyś pewnego bystrego watykanistę, który zauważył, że owszem, przez bramy Watykanu najprzeróżniejsze grupy z rozmaitym nabożnością przechodzą – najbardziej nabożnie czynią to jednak protestanci

i socjaldemokraci. Tak jest, bracia ewangelicy – po tym też nas w świecie poznać: po specjalnym skuleniu, z jakim progi katolickiej stolicy przekraczamy! Jednakże wtedy w pociągu nie stać mnie było ani na pokorę, ani na skulenie, ani na nabożność. Kombinowałem, jak się ratować – niczego nie wykombinowałem. Jakimś cudem – bez wzmocnienia, a może przeciwnie, w szczególnie mocnym, bo duchowym wzmocnieniu – do Krakowa dojechałem.

25 LUTEGO

Inne jeszcze przygody w pociągach się trafiały, różne historie ludzie opowiadali, najśmieszniejszą chyba Piotrek Pytlakowski – zapytajcie go, jeśli grono będzie wystarczająco wąskie, może opowie. Literatura wagonowa literaturą wagonową, rzeczywistość kolejowa rzeczywistością kolejową, ale ich walory zaczęły maleć i to w prawie galopującym – jak wszystko teraz – tempie. Książek w pociągu dawno nie da się czytać, gazety ledwo, ledwo, zajmujący narratorzy wymarli albo emigrowali. Słuchać czyjegoś szebisztu czy zrzędzenia – korzystniej oknem wyskoczyć; zawrżeć jakąś znajomość – lepiej od razu na policję. Elementarne marzenie: pusty przedział – zwłaszcza od czasu zakazu palenia – to jest marzenie ściętej głowy; dostojnicy kościelni też nie bardzo wiadomo gdzie się podzieli, ich miejsce zajęli znacznie groźniejsi wajdeloci komórkowi, nie tylko nie wstyd im śpiewać przy ludziach, publicyści chyba specjalnie szukają. Słowem – czasy heroizmu i liryzmu minęły. Z tych i – nie byłbym sobą, gdybym nie dodał – z paru jeszcze innych powodów coraz częściej wybieram przejażdżki samochodem; wspomniany już na tych kartach Edziu Pilch prowadzi, trasy mamy nieprzesadnie urozmaicone, ale jak na nasze potrzeby aż nadto obfite. Warszawa, Kraków, Wisła. Kolejność dowolna.

26 LUTEGO

Na debiut – że powiem coś od siebie – nigdy nie jest za późno. Jeżdżąc z Edkiem, uświadomiłem sobie dwie rzeczy. Pierwsza to banał

nad banaliami, ale widać, że w moim wypadku i elementaria potrzebują czasu. Uświadomiłem sobie mianowicie rzecz, którą od dawna znałem doskonale, uświadomiłem sobie rzecz, którą od blisko 60 lat mam we krwi i w sercu, ale która w czasie ostatniej jazdy dotarła do mnie z wyjątkową – rzekłbym nawet tajemniczą – siłą. Uświadomiłem sobie mianowicie, że mój świat, moje strony, moja – niech będzie – ojczyzna zaczyna się i kończy jakoś koło Bielska. Widać góry – jesteśmy w chałupie. Góry znikają – wjeżdżamy w Polskę. Równą, rozległą i – myślcie o tym epitecie, co chcecie – płaską. Druga sprawa kłopotliwa, sentymentalizm pierwszej łamie, może mianowicie być odwrotnie: góry wasze, równiny moje. O remisie nie wspominam nawet – remisy są nudne.

Tak czy tak, podróżujemy jak gdyby nigdy nic. Edziu ma w aucie urządzenie, które teraz wszyscy w swoich autach mają, najchętniej nazwałbym to krótkofalówka, ale wstydzę się archaizmu, wiecie zresztą doskonale, o czym mowa – jest to aparatura, która czyni trasę i mapę podróży czytelniejszą i swobodniejszą. Ludzie ostrzegają się przed policją, radarami, objazdami, korkami i czym tam jeszcze.

Z początku bawiło mnie słuchanie tej dziwacznej siatki wywiadowczo – podsłuchowej, z czasem jednak pojawił się element irytacji, a nawet niechęci. Wkradła się monotonia, i to klasyczna, przez swe malkontenctwo straszna, polska monotonia.

Uwaga, koledzy, tu a tu jest zwężenie, dawno powinno go nie być, ale jesteśmy w Polsce. Uwaga, koledzy, za niecały kilometr objazd w prawo, dawno powinno go nie być, ale jesteśmy w Polsce. Uwaga, koledzy, za Częstochową prace drogowe, dawno powinno ich nie być, ale jesteśmy w Polsce. Uwaga, koledzy, za chwilę dziura wielkości Rowu Mariańskiego, dawno powinno jej nie być, ale niestety jesteśmy w Polsce. Uwaga, koledzy, tu jest ograniczenie prędkości do 50 kilometrów, nie wiadomo, z jakiego powodu, ale jesteśmy w Polsce. Uwaga, koledzy, jest to a to, powinno tego nie być, ale jesteśmy w Polsce.

Może to drobiazg? Jeżdżą sobie Polacy przez bardzo przez nich nielubianą Polskę i nic z tego nie wynika? Może nawet dobrze, że mogą przez krótkofalówki najnowszej generacji popsioczyć sobie? Nie mam pojęcia. W prawie wszystkim lubię szukać dobrych stron, ale wiem też, że takie szukanie bywa niebezpieczne. Zwłaszcza dla naiwnego jak dziecko poszukiwacza.

Tu była synagoga

Bożnice zamienione w kina, hurtownie okien albo kluby bokserskie, czyli **WOJCIECHA WILCZYKA** podróż śladami tego, czego nie ma i nie będzie

KUBA DĄBROWSKI

Rok 2006, Polska. Krajo-
wa siódemka z Krakowa do Warszawy to stała trasa podróży fotografa Wojciecha Wilczyka. Droga, jakich w Polsce wiele – nudna, z dziurami i korkami. – W tej trasie miałem kilka punktów, które wybudzały mnie z monotonii: Słomniki, Książ Wielki i Wodzisław, a w nich budynki dawnych synagog stojące w pobliżu drogi – opowiada. Zaczyna obserwować te budynki. – To był zawsze dla mnie silny wizualny impuls, jakiś rodzaj znaku zapytania. W końcu kiedyś zboczyłem z trasy, żeby obejrzeć je dokładniej – opowiada Wilczyk. – Rok 2006 to był dziwny czas w polskiej polityce. Przeżywalismy szczytowy okres koalicji PiS, LPR i Samoobrony. Populistyczna prawica zaostrzyła język debaty publicznej, więc natychmiast odezwały się stare resentymenty.

Fotograf postanawia znaleźć podobne budynki w całej Polsce i sprawdzić, co się z nimi stało. – Moje zdjęcia z projektu „Niewinne oko nie istnieje” to wypowiedź par excellence artystyczna, ale jeden z impulsów, który mnie sprowokował do działania, był politycznej natury – mówi. Początkowo na oślep i za radami znajomych, później Wilczyk zaczyna objeżdżać Polskę z leksykonem Eleonory Bergman i Jana Jagielskiego. Jego celem staje się sfotografowanie wszystkich zachowanych w kraju synagog i żydowskich domów modlitwy, które nie pełnią funkcji kultowej. Z pierwotnego pomysłu na frontalne ujęcia w neutralnym świetle nic nie wychodzi, ponieważ nie pozwala na to lokalizacja obiektów.



FOT. Wojtek Wilczyk

Widzę. Zaczyna w czerni i bieli, ale szybko przerzuca się na odzierający rzeczywistość z romantyki i nostalgii kolor.

Podróż szlakiem byłych synagog okazuje się wstrząsającym doświadczeniem. Nie chodzi tu o przerażające opowieści o czasach Zagłady – bardziej o to, jak historia poradziła sobie z wypełnieniem powstałej po niej pustki.

Bożnica zamieniona w hurtownię okien czy kino Strumyk ciągle pozostaje dziwnie obca. Druga kwestia to mechanizmy rządzące ludzką pamięcią o tych miejscach. – W Jędrzejowie, w części miasta zamieszkałej kiedyś przez Żydów, wstąpiłem do piekarni. A tam na ścianie wywieszono panoramę miasta z napisem: „Tradycje od 1943 roku”. Pocz-

łem się, jakbym dostał w głowę – to rok zniknięcia Żydów z tego miasta – mówi Wilczyk.

Podróż trwa dwa i pół roku, powstaje 300 zdjęć. Przejechanych kilometrów i pieniędzy wydanych na noclegi fotograf nawet nie próbuje liczyć. – Pracowałem za własne, nikt mi tego nie finansował. Gdybym zaczął liczyć, pewnie przestałbym to robić.

Płatna wyższa edukacja?

Tak, pora przestać kształcić pseudo magistrów!

AIESEC UW: „Uważamy, że wyższa edukacja powinna być płatna.”

Na temat stanu i poziomu polskiej edukacji wyższej padło już wiele słów. To, że sytuacja daleka jest od ideału, wiemy wszyscy. Przeszarżowane programy nauczania, wiedza teoretyczna zamiast praktycznej, kształcenie magistrów i inżynierów niedostosowanych do rynku pracy oraz kierunki studiów niezwiązane z zapotrzebowaniem rynku. To tylko kilka z licznych bolączek systemu oświaty wyższej. Kolejnym ważnym punktem na liście zażaleń jest brak kadry – odpowiednio wykształconej, zaangażowanej i oferującej najwyższy poziom zajęć. Z drugiej strony mamy do czynienia z rzeszą młodych ludzi, studiujących dla papierka, zniżek i innych korzyści, zajmujących miejsca na państwowych uczelniach oraz w akademikach osobom zdolnym i faktycznie dążącym do uzyskania fachowego wykształcenia.

Środowisko akademickie, a także postronni obserwatorzy widzą, że najwyższa pora na zmiany. Domagają się tego studenci niezadowoleni z obecnej sytuacji i świadomi, jak wiele należałoby zmienić, aby czas studiów był etapem przygotowującym do życia i odnalezienia się na dynamicznym i wymagającym rynku pracy.

Organizacja AIESEC UW wychodzi naprzeciw studentom, a oni nam podają najlepsze rozwiązania. Dlatego za pośrednictwem serwisu ideosfera.pl zwracają się o poparcie idei, która może zrehabilitować system edukacji. Proponują płatną edukację wyższą. Płatną, ale z rozbudowanym systemem kredytów studenckich. Za wzór stawiają angielski system kredytów dla studentów, spłacanych po przekroczeniu pewnego progu zarobków. Zmiany te skutkują przede wszystkim wzrostem poziomu edukacji tak, aby absolwenci owe zarobki rzeczywiście osiągnęli. Kolejną rewolucją byłaby reforma systemu obowiązkowych praktyk – zwiększenie nacisku na kształcenie praktyczne oraz ograniczenie liczby osób, które idą na studia z braku alternatywy, wybierając kierunek z góry zakładając, że wkrótce z niego zrezygnują lub blokują miejsca na innych wydziałach (dwa kierunki studiów są w modzie), faktycznie się w studia nie angażując.



Zapraszamy do serwisu ideosfera.pl, gdzie można poprzeć ideę płatnej wyższej edukacji. Każde wsparcie ze strony internautów jest mile widziane. Im więcej osób zabierze głos w tej sprawie, tym większa szansa, że sytuacja studentów może się znacząco się poprawić.



Poznaj siłę swoich idei!

[Ideosfera.pl](http://ideosfera.pl) jest miejscem, gdzie porusza się ważne problemy oraz przedstawia konkretne propozycje zmian. To serwis, gdzie wspólnie szuka się rozwiązań, a idee przekuwają na konkretne działania. Jeśli masz pomysł, który może zmienić otaczającą rzeczywistość, wejdź na ideosfera.pl. Wsparcie od użytkowników, opinie specjalistów i przełomowe debaty mogą wypromować Twoje idee i wprowadzić je w życie! Dołącz do nas, wyrażaj swoje poglądy, popieraj pomysły innych.

Uwaga konkurs!

Zgłoś swoją ideę do konkursu w serwisie ideosfera.pl. Wśród najpopularniejszych jury wybierze zwycięską, której autor zostanie nagrodzony kampanią reklamową. Nie zwlekaj! Z Ideosferą masz szansę zrealizować swoje pomysły!



SVR

SOINS COSMÉTIQUES
DE HAUTE-PRÉCISION

SPÉCILIFT 35+

DODAJ WIGORU SWOJEJ SKÓRZE

Masz co najmniej 35 lat, jesteś kobietą ...



... sukcesu



... aktywną



... towarzyską



*... ale potrzebujesz
kuracji
przeciwzmarszczkowej?*

Laboratorium SVR poleca gamę przeciwzmarszczkową dla kobiet po 35 roku życia **SPÉCILIFT 35+**

Opatentowana* receptura **TRI-VEGETAL RETINOL** łączy w sobie aktywne substancje roślinne, które stymulują aktywność komórkową i chronią DNA, przy jednoczesnym zachowaniu optymalnej tolerancji.

Skuteczność potwierdzona badaniami pod kontrolą dermatologiczną:

- Redukcja głębokości zmarszczek (-36%)**
- Gładka i bardziej jędrna skóra (100%***)

Preparaty Specilift 35+ posiadają wyjątkowo przyjemną konsystencję i zapach. Nie zawierają parabenów ani sztucznych barwników. Nie powodują powstawania zaskórników.



SPÉCILIFT 35+
KREM

SPÉCILIFT 35+
LEKKI KREM

SPÉCILIFT 35+
KONTUR OKA

NOWOŚĆ

Produkty dostępne w aptekach

WWW.SVR.PL

* Zgłoszony patent nr FR-10 51549.

** Pomiar odcisku kurzych łapek na grupie 20 kobiet przed i po 28 dniach, dwie aplikacje dziennie.

*** Test kliniczny na grupie 19 kobiet, dwie aplikacje dziennie, % satysfakcji po 28 dniach.